

Harry Potter™

I KAMIEŃ
FLOTOFICZNY



J. K. ROWLING

J. K. ROWLING

**HARRY POTTER
I KAMIEŃ
FILOZOFICZNY**

Tłumaczył: Andrzej Polkowski

**ROZDZIAŁ
PIERWSZY**

**CHŁOPIEC,
KTÓRY PRZEŻYŁ**



Państwo Dursleyowie spod numeru czwartego przy Privet Drive mogli z dumą twierdzić, że są całkowicie normalni, chwała Bogu. Byli ostatnimi ludźmi, których można by posądzić o udział w czymś dziwnym lub tajemniczym, bo po prostu nie wierzyli w takie bzdury.

Pan Dursley był dyrektorem firmy Grunnings produkującej świdry. Był to rośli, otyły mężczyzna pozbawiony szyi, za to wyposażony w wielkie wąsy. Natomiast pani Dursley była drobną blondynką i miała szyję dwukrotnie dłuższą od normalnej, co bardzo jej pomagało w życiu, ponieważ większość dnia spędzała na podglądaniu sąsiadów. Syn Dursleyów miał na imię Dudley, a rodzice uważali go za najwspanialszego chłopca na świecie.

Dursleyowie mieli wszystko, czego dusza zapagnie, ale mieli też swoją tajemnicę i nic nie budziło w nich większego przerażenia, jak myśl, że może zostać odkryta. Uważali, że znaleźliby się w sytuacji nie do zniesienia, gdyby ktoś dowiedział się o istnieniu Potterów. Pani Potter była siostrą pani Dursley, ale nie widziały się od wielu lat. Prawdę mówiąc, pani Dursley udawała, że w ogóle nie ma siostry, ponieważ pani Potter i jej żałosny mąż byli ludźmi całkowicie innego rodzaju. Dursleyowie wzdrygali się na samą myśl, co by powiedzieli sąsiedzi, gdyby Potterowie pojawili się na ich ulicy. Oczywiście wiedzieli, że Potterowie też mają synka, ale nigdy nie widzieli go na oczy i z całą pewnością nie chcieli go nigdy oglądać. Ten chłopiec był jeszcze jednym powodem, by Dursleyowie trzymali się jak najdalej od Potterów; nie życzyli sobie, by Dudley przebywał w towarzystwie takiego dziecka.

Kiedy Dursleyowie obudzili się rano w pewien nudny, szary wtorek, od którego zaczyna się nasza opowieść, w zachmurzonym niebie nie było niczego, co by zapowiadało owe dziwne i tajemnicze rzeczy, które miały się wkrótce wydarzyć w całym kraju. Pan Dursley nucił coś pod nosem, zawiązując swój najnudniejszy krawat, a pani Dursley wyrwała się na chwilę z domu na plotki, gdy tylko udało się jej wepchnąć wrzeszczącego Dudleya do dzieciennego krzesła na wysokich nogach.

Żadne z nich nie zauważyło wielkiej, brązowej sowy, która przeleciała za oknem.

O wpół do dziewiątej pan Dursley chwycił neseser, musnął wargami policzek pani Dursley i spróbował pocałować na pożegnanie Dudleya, ale mu się to nie udało, bo Dudley miał akurat napad szału i opryskiwał ściany owsianką.

— Nieznośny bachor — zarechotał pan Dursley, wychodząc z domu. Wsiadł do samochodu i wyjechał tyłem sprzed numeru czwartego na Privet Drive.

Na rogu ulicy dostrzegł pierwszą oznakę pewnej nienormalności — kota studiującego jakąś mapę. Dopiero po chwili do pana Dursleya dotarło to, co zobaczył, więc obrócił gwałtownie głowę, by spojrzeć jeszcze raz. Na rogu

Privet Drive rzeczywiście stał bury kot, ale nie studiował żadnej mapy. Co mógł sobie pomyśleć pan Dursley? To, co pomyślałby każdy rozsądny człowiek — że musiało to być jakieś złudzenie optyczne. Zamrugał parę razy i utkwiał spojrzenie w kocie, a kot utkwiał spojrzenie w nim. Pan Dursley skręcił na rogu ulicy i wjechał na szosę, obserwując kota w lusterku. Kot odczytywał teraz napis PRIVET DRIVE — nie, tylko wpatrywał się w tabliczkę z tym napisem, bo przecież koty nie potrafią czytać, a tym bardziej studiować map. Pan Dursley otrząsnął się lekko i wyrzucił kota z myśli. Kiedy zbliżał się do miasta, po głowie chodziło mu już tylko wielkie zamówienie na świdry, które miał dzisiaj otrzymać.

Na skraju miasta został jednak zmuszony do zapomnienia o świdrach. Kiedy utkwiał w normalnym porannym korku ulicznym, nie mógł nie zauważyć, że naokoło jest mnóstwo dziwnie ubranych ludzi. Ludzi w pelerynach. Pan Dursley nie znosił ludzi ubierających się śmiesznie, na przykład młodych ludzi w tych wszystkich cudacznych strojach. Doszedł do wniosku, że to jakaś nowa, głupia moda. Zabębnił palcami w kierownicę i wówczas jego spojrzenie padło na

stojącą w pobliżu grupkę tych dziwaków. Szeptali między sobą, wyraźnie podnieceni. Pan Dursley stwierdził z oburzeniem, że niektórzy wcale nie są młodzi; o, ten mężczyzna na pewno jest starszy od niego, a ma na sobie szmaragdowozieloną pelerynę! Trzeba mieć naprawdę czelność! Po chwili przyszło mu jednak na myśl, że to jakiś wygłup — ci ludzie po prostu przeprowadzają zbiórkę na jakiś równie bzdurny cel... tak, na pewno o to chodzi. Sznur samochodów ruszył i kilka minut później pan Dursley wjechał na parking firmy Grunnings, a w jego myślach z powrotem zagościły świdry.

W swoim gabinecie na dziewiątym piętrze pan Dursley zawsze siedział plecami do okna. Tego dnia okazało się to okolicznością sprzyjającą, bo gdyby siedział przodem, trudno by mu było skupić się na świdrach. Nie widział sów przelatujących jawnie w biały dzień, choć widzieli je ludzie na ulicy; pokazywali je sobie palcami i gapili się na nie z otwartymi ustami. Większość z nich jeszcze nigdy nie widziała sowy, nawet w nocy. Natomiast pan Dursley przeżył normalne, całkowicie wolne od sów przedpołudnie. Na—wrzeszczał po kolei na pięciu pracowników. Odbył kilka ważnych rozmów telefonicznych, a potem znowu na kogoś nawrzeszczał. Był w wyśmienitym nastroju aż do pory lunchu, kiedy pomyślał, że dobrze by było wyprostować nogi, przejść się na drugą stronę ulicy i kupić sobie w piekarni bułkę z rodzynkami.

Dawno już zapomniał o ludziach w pelerynach, kiedy nagle natknął się na nich tuż obok piekarni. Zmierzył ich gniewnym spojrzeniem. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale budzili w nim niepokój. W tej grupce również szeptano o czymś z ożywieniem, ale nie zauważył, by ktoś miał w ręku puszkę do zbierania datków. Dopiero kiedy wyszedł ze sklepu, niosąc torbę z wielkim kawałem ciasta z orzechami, usłyszał strzępy rozmowy.

— ...Potterowie, zgadza się, ja też o tym słyszałem...

— ...tak, to ich syn, Harry...

Pan Dursley zatrzymał się, jakby mu nogi wrosły w chodnik. Poczuł falę lęku. Spojrzał przez ramię na dziwnie ubranych osobników, jakby chciał ich o coś zagadnąć, ale się rozmyślił.

Przeszedł pośpiesznie przez ulicę, wjechał windą na dziewiąte piętro, warknął na swoją sekretarkę, żeby mu nikt nie przeszkadzał, złapał za słuchawkę telefonu i już prawie wykręcił numer do domu, kiedy znowu się rozmyślił. Odłożył słuchawkę i zaczął gorączkowo myśleć, szarpiąc wąsy. Nie, nie dajmy się zwariować... W końcu nie ma w tym nic niezwykłego! Mnóstwo ludzi może się nazywać Potter i mieć syna Harry'ego. A kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, doszedł do wniosku, że nie jest nawet pewny, czy syn jego szwagierki ma na imię Harry. Nigdy go nie widział. Bardzo możliwe, że nazywa się Harvey. Albo Harold. Nie ma powodu, by niepokoić panią Dursley; każde wspomnienie o siostrze zawsze ją przygnębiało. Nie miał jej tego za złe — ostatecznie, gdyby on miał taką siostrę... Ale mimo wszystko, ci ludzie w pelerynach...

Tego popołudnia było mu trochę trudniej skupić się na świdrach, a kiedy o piątej opuszczał firmę, był w takim stanie, że wpadł na kogoś tuż za drzwiami.

— Przykro mi — mruknął, gdy drobny staruszek, na którego wpadł, zatoczył się i prawie upadł. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że staruszek ma na sobie fioletową pelerynę. I wcale nie sprawiał wrażenia rozgniewanego tym, że ktoś o mało co nie powalił go na ziemię. Przeciwnie, na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech i zaskrzeczał tak, że przechodnie zaczęli się oglądać:

— Niech szanownemu panu nie będzie przykro, bo dzisiaj nic nie może zepsuć mi humoru! Ciesz się pan ze mną, bo już

nie ma Sam—Wiesz—Kogo! Wszyscy powinni się cieszyć, nawet mugole tacy jak pan! Bo to szczęśliwy, ach, jak szczęśliwy dzień!

Po czym uściskał pana Dursleya serdecznie i odszedł.

Pana Dursleya całkowicie zamurowało. Został uściskany przez zupełnie nieznanego człowieka! I nazwano go mugolem, cokolwiek miało to znaczyć. Był wstrząśnięty. Pobiegł do samochodu i ruszył w drogę do domu, mając nadzieję, że coś mu się przywidziało, a zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu, bo nie pochwałaj wybujałej wyobraźni. Kiedy wjechał na podjazd przed numerem czwartym, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył — i wcale mu to nie poprawiło nastroju — był bury kot, którego spostrzegł dzisiaj rano. Teraz kot siedział na murku otaczającym ich ogród. Był pewny, że to ten sam kot, bo miał takie same ciemniejsze obwódki wokół oczu.

— Siooo! — krzyknął pan Dursley.

Kot nawet nie drgnął, tylko zmierzył go chłodnym spojrzeniem. Czy tak się zachowują normalne koty? Pan Dursley wzdrygnął się i wszedł do domu. Nadal nie zamierzał wspominać o tym wszystkim żonie.

Pani Dursley spędziła normalny, całkiem miły dzień. Podczas obiadu opowiedziała mu o problemach, jakie ma sąsiadka ze swoją córką, i o tym, że Dudley nauczył się nowego słowa ("nie chcę!"). Pan Dursley starał się zachowywać normalnie. Kiedy w końcu udało im się zapakować Dudleya do łóżeczka, wszedł do saloniku i zdążył na koniec dziennika wieczornego.

— I ostatnia wiadomość. Obserwatorzy ptaków donoszą o bardzo dziwnym zachowaniu krajowych sów. Choć normalnie sowy polują w nocy i nie widzi się ich w ciągu dnia, z setek doniesień wynika, że dzisiaj sowy latały we wszystkich kierunkach od samego rana. Specjaliści nie są w stanie wyjaśnić, dlaczego sowy tak nagle zmieniły swoje zwyczaje. —

Tu spiker pozwolił sobie na uśmiech. — To bardzo tajemnicza sprawa. A teraz posłuchajmy, co Jim McGuffin ma do powiedzenia o pogodzie. Jim, czy tej nocy zanoszą się na jakiś deszcz sów?

— No cóż, Ted — odpowiedział facet od pogody — nie bardzo się na tym znam, ale wiem, że nie tylko sowy zachowywały się dziś bardzo dziwnie. Dzwonili do mnie telewidzowie z Kentu, Yorkshire i Dundee, mówiąc, że zamiast obiecanego przez mnie deszczu mieli prawdziwą ulewę meteorytów! Może niektórzy wcześniej zaczęli obchodzić Noc Sztucznych Ogniów? Ludzie, to dopiero w przyszłym tygodniu! Ale mogę wam obiecać, że w nocy będzie padało.

Pan Dursley poczuł się bardzo niepewnie. Meteoryty nad całą Anglią? Sowy latające w biały dzień? Tajemniczy osobnicy w pelerynach? I to szeptanie... szeptanie o Potterach...

Do saloniku weszła pani Dursley, niosąc dwie filiżanki herbaty. Nie, tak nie można. Powinien z nią porozmawiać. Odchrząknął nerwowo.

— Eee... Petunio, kochanie... nie miałaś ostatnio wiadomości od swojej siostry?

Jak się spodziewał, pani Dursley spojrzała na niego wzrokiem zdumionego bazyliuszka. Zwykle udawali, że nie ma siostry.

— Nie — odpowiedziała ostrym tonem. — Dlaczego pytasz?

— Dziwne rzeczy były w dzienniku — wymamrotał pan Dursley. — Sowy... spadające gwiazdy... a w mieście widziałem mnóstwo cudacznie poubieranych ludzi...

— No i co? — warknęła pani Dursley.

— Cóż, tak sobie pomyślałem... może... może to ma coś wspólnego z... no wiesz... jej towarzystwem.

Pani Dursley wessała łyk herbaty przez zaciśnięte wargi. Pan Dursley zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że słyszał

nazwisko "Potter". Uznał, że byłoby to zbyt śmiałe posunięcie. Zamiast tego powiedział, siląc się na obojętność:

— Ich syn... musi być teraz w wieku Dudleya, prawda?

— Tak przypuszczam — odpowiedziała sucho pani Dursley.

— Zaraz, jak on ma na imię? Howard, tak?

— Harry. Obrzydliwe, pospolite imię.

— Och, tak... — mruknął pan Dursley, a serce w nim zamarło. — Tak, zgadzam się z tobą całkowicie.

Poszli na górę i więcej już o tym nie wspominał. Kiedy pani Dursley zamknęła się w łazience, pan Dursley podkraść się do okna sypialni i zerknął na ogród przed domem. Kot wciąż tam siedział. Wpatrywał się w Privet Drive, jakby na coś czekał.

Czyżby miał halucynacje? I czy może to mieć coś wspólnego z Potterami? Bo gdyby tak... gdyby się okazało, że są spokrewnieni z jakimiś... Nie, tego by chyba nie zniósł.

Położyli się do łóżka. Pani Dursley szybko zasnęła, ale pan Dursley leżał i rozmyślał o tym wszystkim. W końcu doszedł do wniosku, że nawet gdyby Potterowie mieli z tym coś wspólnego, nie było powodu, by niepokoili jego i panią Dursley. Dobrze wiedzieli, co on i Petunia myślą o nich i o ludziach ich pokroju... Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób on i Petunia mogliby zostać wplątani w coś, do czego może dojść... Poczul ulgę, ziewnął i przewrócił się na bok. Nie, nas to nie może dotyczyć...

Jak bardzo się mylił!

Pan Dursley zapadł w niezbyt zresztą spokojny sen, ale kot na murku nie okazywał najmniejszych oznak senności. Siedział tam, nieruchomy jak posąg, z oczami utkwionymi w dalekim końcu Privet Drive. Nawet nie drgnął, kiedy w sąsiedniej uliczce trzasnęły drzwi samochodu, ani kiedy dwie sowy przeleciały mu nad głową. Nie poruszył się aż do północy.

Na rogu, który z taką uwagą obserwował kota, pojawił się jakiś człowiek. Pojawił się tak nagle i bezszelestnie, iż można było pomyśleć, że wyrósł spod ziemi. Ogon kota drgnął, a oczy mu się zwięziły.

Jeszcze nigdy ktoś taki nie pojawił się na Privet Drive. Był to wysoki, chudy mężczyzna, bardzo stary, sądząc po brodzie i srebrnych włosach, które opadały mu aż do pasa. Miał na sobie sięgający ziemi purpurowy płaszcz i długie buty na wysokim obcasie. Zza połówek okularów błyskały jasne, niebieskie oczy, a bardzo długi i zakrzywiony nos sprawiał wrażenie, jakby był złamany w przynajmniej dwóch miejscach. Nazywał się Albus Dumbledore.

Albus Dumbledore zdawał się nie mieć zielonego pojęcia o tym, że właśnie przybył na ulicę, na której to wszystko — od jego nazwiska po dziwaczne buty — było bardzo źle widziane. Z zapalem grzebał w płaszczu, najwyraźniej czegoś szukając. Nie zdawał sobie też sprawy z tego, że od dłuższego czasu jest obserwowany, aż nagle podniósł głowę i zobaczył kota, który wciąż wpatrywał się w niego z drugiego końca uliczki. Zacmokał i mruknął:

— Mogłem się tego spodziewać.

Znalazł to, czego szukał, w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyglądało jak srebrna zapalniczka. Otworzył to, uniósł i pstryknął. Najbliższa latarnia zgasła z lekkim trzaskiem. Pstryknął znowu — następna latarnia mrugnęła i zgasła. Pstrykał wygaszaczem dwanaście razy, aż jedynymi światłami na ulicy pozostały dwa maleńkie punkciki — oczy obserwującego go kota. Gdyby ktoś wyjrzał teraz przez okno — nawet gdyby to była pani Dursley — nie byłby w stanie dostrzec, co się dzieje na ulicy. Dumbledore wsunął wygaszacz za pazuchę i ruszył w kierunku numeru czwartego, gdzie przysiadł na murku obok kota. Nie spojrzął na niego, ale po chwili przemówił:

— Co za spotkanie, profesor McGonagall!

Odwrócił głowę, by uśmiechnąć się do burego kota, ale ten gdzieś zniknął. Zamiast tego uśmiechał się do nieco srogo wyglądającej kobiety w prostokątnych okularach, których kształt był identyczny z ciemnymi obwódkami wokół oczu kota. Ona też miała na sobie długi płaszcz, tyle że szmaragdowy. Czarne włosy upięła w ciasny, bułeczkowaty kok. Wyglądała na bardzo wzburzoną.

— Skąd pan wiedział, że to ja? — zapytała.

— Ależ, droga pani profesor, nigdy nie widziałem kota, który by siedział tak sztywno.

— Sam by pan zeszywniał, gdyby panu przyszło siedzieć na murze przez cały dzień — odpowiedziała profesor McGonagall.

— Cały dzień? I w ogóle pani nie świętowała? Idąc tutaj, musiałem wpaść na chyba z tuzin biesiad i przyjąć. Profesor McGonagall prychnęła ze złością.

— Och, tak, wiem, wszyscy świętują. Można by pomyśleć, że powinni być trochę ostrożniejsi, ale nie... Nawet mugole zauważyli, że coś się święci. Mówili o tym w wieczornych wiadomościach. — Wskazała podbródkiem ciemne okna salonu państwa Dursleyów. — Sama słyszałam. Stada sów... spadające gwiazdy... Nie są aż takimi głupcami. Muszą coś zauważyć. Spadające gwiazdy w Kencie! Mogę się założyć, że to sprawka Dedalusa Diggle. Nigdy nie odznaczał się rozsądkiem.

— Trudno mieć do niego pretensję — stwierdził łagodnie Dumbledore. — W końcu przez całe jedenaście lat niewiele mieliśmy okazji do świętowania.

— Wiem — powiedziała ze złością profesor McGonagall. — To jednak nie powód, żeby całkowicie tracić głowę. Ludzie nie zachowują najmniejszej ostrożności, łążą po ulicach w biały

dzień, nawet nie raczą się przebrać w stroje mugoli, wymieniają pogłoski.

Spojrzała na Dumbledore'a z ukosa, jakby oczekiwała, że coś na to powie, ale milczał, więc ciągnęła dalej:

— Tego tylko brakuje, żeby w tym samym dniu, w którym w końcu zniknął Sam—Wiesz—Kto, mugole dowiedzieli się o nas wszystkich. Dumbledore, mam nadzieję, że on naprawdę zniknął, co?

— Na to wszystko wskazuje — odpowiedział Dumbledore. — Mamy za co być wdzięczni. Może ma pani ochotę na cytrynowego dropsa?

— Na co?

— Na cytrynowego dropsa. To takie cukierki mugoli, które bardzo lubię.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała chłodno profesor McGonagall, jakby chciała podkreślić, że nie jest to odpowiedni moment na cytrynowe dropsy. — Jak mówię, nawet jeśli Sam—Wiesz—Kto rzeczywiście zniknął...

— Droga pani profesor, czy taka rozsądna osoba jak pani nie mogłaby dać sobie spokoju z tą dziecinadą? Przez jedenaście lat walczyłem z tym bzdurnym "Sam—Wiesz—Kto", próbując ludzi nakłonić, by używali jego właściwego nazwiska: Voldemort. — Profesor McGonagall wzdrygnęła się, ale Dumbledore, który akurat usiłował odkleić z rolki dwa dropsy, zdawał się tego nie zauważyć. — To wszystko staje się takie mętne, kiedy wciąż mówimy "Sam—Wiesz—Kto". Nigdy nie widziałem powodu, by bać się wypowiedzenia prawdziwego nazwiska Voldemorta.

— Wiem — powiedziała profesor McGonagall tonem, w którym irytacja mieszała się z podziwem. — Ale pan to co innego. Każdy wie, że jest pan jedyną osobą, której boi się Sam—Wie... no, niech już będzie... Voldemort.

— Pochlebia mi pani — rzekł spokojnie Dumbledore. — Voldemort ma do dyspozycji moce, jakich ja nigdy nie będę miał.

— Bo pan jest... no... zbyt szlachetny, by się nimi posługiwać.

— Wielkie szczęście, że jest ciemno. Nie zarumieniłem się tak od czasu, kiedy pani Pomfrey powiedziała, że podobają się jej moje nauszniki.

Profesor McGonagall rzuciła na niego ostre spojrzenie i powiedziała:

— Sowy to nic w porównaniu z pogłoskami, jakie wszędzie krążą. Wie pan, o czym wszyscy mówią? O przyczynie jego nagłego zniknięcia? O tym, co go w końcu powstrzymało?

Wyglądało na to, że profesor McGonagall poruszyła wreszcie temat, o którym bardzo chciała podyskutować, a był to prawdziwy powód, dla którego czekała na niego na zimnym, twardym murze przez cały dzień. W każdym razie do tej chwili ani jako kot, ani jako kobieta nie utkwiała w Albusie Dumbledore tak świdrującego spojrzenia, jak teraz. Było oczywiste, że cokolwiek mówili “wszyscy”, nie zamierzała w to uwierzyć, póki Dumbledore nie powie jej, że to prawda. Lecz Dumbledore odkleił sobie jeszcze jednego dropsa i milczał.

— A mówią — naciskała profesor McGonagall — że zeszłej nocy Voldemort pojawił się w Dolinie Godrika. Chciał odnaleźć Potterów. Krążą pogłoski, że Lily i James Potter... że oni... nie żyją.

Dumbledore pokiwał głową. Profesor McGonagall westchnęła głęboko.

— Lily i James... Nie mogę w to uwierzyć... Nie chciałam w to uwierzyć... Och, Albusie...

Dumbledore wyciągnął rękę i poklepał ją po ramieniu.

— Wiem... wiem... — pocieszał ją cicho.

— To nie wszystko — oznajmiła profesor McGonagall roztrzęsionym głosem. — Mówią, że próbował zabić syna Potterów, Harry'ego. Ale... nie mógł. Nie był w stanie uśmiercić małego chłopczyka! Nikt nie wie dlaczego ani jak, ale mówią, że od tego momentu potęga Voldemorta jakby się załamała... i właśnie dlatego gdzieś zniknął.

Dumbledore pokiwał ponuro głową.

— A więc to... to prawda? — wyjąkała profesor McGonagall. — Po tym wszystkim, co zrobił... Tylu ludzi pozabijał... i nie mógł zabić małego dziecka? To wprost zdumiewające... Tyle się robiło, żeby go powstrzymać, aż tu nagle... Ale... na miłość boską, jak temu Harry'emu udało się przeżyć?

— Pozostaje nam tylko zgadywać — powiedział Dumbledore. — Może nigdy się nie dowiemy.

Profesor McGonagall wyciągnęła koronkową chusteczkę i zaczęła sobie osuszać oczy pod okularami. Dumbledore wyjął z kieszeni złoty zegarek, przyjrzał mu się i mocno pociągnął nosem. Był to bardzo dziwny zegarek. Miał dwanaście wskazówek, a nie miał w ogóle cyfr; zamiast tego po obwodzie tarczy krążyły maleńkie planety. Dumbledore musiał jednak coś z niego odczytać, bo włożył go z powrotem do kieszeni i rzekł:

— Hagrid się spóźnia. Nawiasem mówiąc, to chyba on ci powiedział, że tutaj będę, tak?

— Tak — przyznała profesor McGonagall. — A możesz mi powiedzieć, dlaczego znalazłeś się akurat tutaj?

— To proste. Chcę zainstalować Harry'ego u jego ciotki i wuja. To jedyna rodzina, jaka mu pozostała.

— Ależ, Dumbledore... przecież nie możesz mieć na myśli ludzi, którzy mieszkają tutaj! — zawołała profesor

McGonagall, zrywając się na równe nogi i wskazując na numer czwarty. — Dumbledore... przecież to niemożliwe. Obserwowałam ich przez cały dzień. Trudno o dwoje ludzi,

którzy tak by się od nas różnili. I mają syna... sama widziałam, jak kopał matkę na ulicy, wrzeszcząc, żeby mu kupiła cukierki. I Harry Potter miałby tutaj zamieszkać?

— Tu mu będzie najlepiej — oświadczył stanowczo Dumbledore. — Jego ciotka i wuj będą mogli mu wszystko wytłumaczyć, kiedy trochę podrośnie. Napisałem do nich list.

— List? — powtórzyła profesor McGonagall, siadając z powrotem na murku. — Dumbledore, czy naprawdę sądzisz, że zdołasz im wszystko wyjaśnić w liście? Przecież ci mugole nigdy go nie zrozumieją! Będzie sławny... stanie się legendą... wcale bym się nie zdziwiła, gdyby odtąd ten dzień nazywano Dniem Harry'ego Pottera... będą o nim pisać książki... każde dziecko będzie znało jego imię!

— Święta racja — powiedział Dumbledore, spoglądając na nią z powagą ponad połówkami swoich szkielek. — Dość, by zawróciło w głowie każdemu chłopcu. Słynny, zanim nauczy się chodzić i mówić! Słynny z czegoś, czego nawet nie pamięta! Nie rozumiesz, że będzie lepiej, jak najpierw trochę podrośnie, a dopiero później dowie się o tym wszystkim?

Profesor McGonagall otworzyła usta, ale zmieniła zamiar, przełknęła ślinę i powiedziała:

— Tak... tak, masz rację, oczywiście. Ale jak on tutaj trafi?

Zerknęła na jego płaszcz, jakby pomyślała, że może pod nim ukrywać Harry'ego.

— Hagrid go przyniesie.

— I myślisz, że to... mądre... powierzać Hagridowi tak ważną misję?

— Powierzyłbym mu swoje życie — odparł Dumbledore.

— Nie twierdzę, że ma serce po złej stronie — powiedziała z niechęcią profesor McGonagall — ale nie można przymykać oczu na to, że jest trochę... no... beztroski. Nie ma skłonności do... Co to było?

Ciszę wokół nich przerwał jakiś warkot. Spojrzeli na ulicę, wypatrując odbłasku reflektorów, a warkot narastał i narastał, aż zamienił się w ryk, kiedy oboje spojrzeli w niebo, bo właśnie stamtąd nadleciał wielki motocykl, który wylądował tuż przed nimi.

Motocykl miał naprawdę imponujące rozmiary, ale na człowieku, który go dosiadał, nie mogło to robić żadnego wrażenia. Wzrostem dwukrotnie przewyższał normalnego człowieka, a szerszy był przynajmniej pięciokrotnie. Trudno było uwierzyć w jego wymiary, a był przy tym niesamowicie dziki — długie, zmierzwione czarne włosy i broda prawie całkowicie przykrywały mu twarz, dłonie miał wielkości pokryw od pojemników na śmieci, a stopy w wysokich, skórzanych butach przypominały małe delfiny. W przepastnych, muskularnych ramionach trzymał małe zawiniątko.

— Hagrid! — powitał go z ulgą Dumbledore. — Nareszcie. Skąd wytrzasnąłeś ten motocykl?

— Pożyczyłem go, panie psorze — odpowiedział olbrzym, zlążąc ostrożnie z motocykla. — Od młodego Syriusza Blacka. Mam go, panie psorze.

— Nie było żadnych trudności?

— Nie, panie psorze... Dom był całkiem rozwalony, ale go wyciągiem, zanim zaroilo się od mugoli. Zasnął, bidula, jak przelatywaliśmy nad Bristolem.

Dumbledore i profesor McGonagall pochylili się nad zawiniątkiem. Wyłaniała się z niego buzia uśpionego niemowlęcia. Na jego czole, pod kępką kruczoczarnych włosów, zobaczyli dziwną bliznę, przypominającą błyskawicę.

— To właśnie tu?... — wyszeptała profesor McGonagall.

— Tak — odrzekł Dumbledore. — Zostanie mu na zawsze.

— Nie możesz czegoś z tym zrobić?

— Nawet gdybym mógł, to bym nie zrobił. Blizny mogą się przydać. Sam mam jedną nad lewym kolaniem, jest doskonałym planem londyńskiego metra. No dobrze... daj mi go, Hagrid... miejmy to już za sobą.

Dumbledore wziął Harry'ego w ramiona i zwrócił się w stronę domu Dursleyów.

— Może... mógłbym się z nim pożegnać, panie psorze? — zapytał Hagrid.

Pochylił swoją wielką, kudłatą głowę nad Harrym i obdarzył go czymś, co musiało być bardzo drapiącym, włochatym pocałunkiem. A potem nagle zawył jak zraniony pies.

— Ciiicho! — syknęła profesor McGonagall. — Obudzisz mugoli!

— Prz—e—e—p—ra—a—a—szam — załkał Hagrid, wydobywając z kieszeni wielką chustkę w kropki i chowając w nią twarz. — Ale n—n—ie mogę w—w—wytrzymać... Lily i James nie żyją... a bidny mały Ha—a—rry ma tu mieszkać z mugolami...

— Tak, tak, to bardzo przygnębiające, ale weź się w garść, Hagrid, bo nas wszystkich złapią — wyszeptała profesor McGonagall, klepiąc go energicznie po ramieniu, a tymczasem Dumbledore przełazi przez niski murek i podszedł do frontowych drzwi. Położył Harry'ego ostrożnie na schodkach, wyjął z płaszcza list, wsunął go między koce, po czym wrócił. Wszyscy troje stali przez równą minutę, patrząc na zawiniątko; ramiona Hagrida dygotały, profesor McGonagall mrugała zawzięcie, a ogniki, które zwykle jarzyły się w oczach Dumbledore'a, przygasły.

— No cóż — powiedział w końcu Dumbledore — to by było na tyle. Nie ma co tutaj sterczeć. Trzeba gdzieś iść i przyłączyć się do świętowania.

— Taaa — odezwał się Hagrid stłumionym głosem. — Chiba wezmę i oddam motor Syriuszowi. Dobranoc, pani psor... dobranoc, panie psorze.

Otarłszy oczy rękawem kurtki, Hagrid wskoczył na motocykl i kopnął w pedał zapłonu. Silnik zaryczał i po chwili wehikuł wzniósł się w powietrze i zniknął w ciemnościach nocy.

— Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy, profesor McGonagall — powiedział Dumbledore, chyląc przed nią głowę.

Profesor McGonagall wydmuchała hałaśliwie nos.

Dumbledore odwrócił się i pomaszerował ulicą. Na rogu przystanął i wyjął wygaszacz. Tym razem pstryknął nim tylko raz i natychmiast dwanaście świetlistych rac pomknęło ku swoim latarniom, tak że na Privet Drive zrobiło się nagle pomarańczowo. W tym samym momencie zobaczył burego kota, znikającego właśnie za rogiem na drugim końcu uliczki. Dostrzegł też tobołek na schodkach przed drzwiami numeru czwartego.

— Powodzenia, Harry — mruknął pod nosem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł, szumiąc połamami płaszcz.

Lekki wiaterek zatrzepotał listkami równo przyciętego żywopłotu przy Privet Drive. Uśpiona, schludna uliczka nie kojarzyła się ani na trochę z miejscem, w którym mogłyby się dziać tak zdumiewające rzeczy. Harry Potter przewrócił się na bok wewnątrz tobołka, ale nawet nie otworzył oczu. Mała rączka zacisnęła się na liście i spał dalej, nie wiedząc, że jest kimś niezwykłym, nie wiedząc, że jest sławny, nie wiedząc, że za kilka godzin zostanie obudzony wrzaskiem pani Dursley, otwierającej drzwi, by zabrać butelki z mlekiem, ani tego, że przez następne kilka tygodni będzie szturchany i szczypany przez swojego kuzyna Dudleya... Nie mógł wiedzieć, że w tym samym momencie różni ludzie, spotykający się potajemnie w

różnych miejscach kraju, wznosili szklanki i mówili przytłumionym głosem:

— Za Harry’ego Pottera... za chłopca, który przeżył!

ROZDZIAŁ

DRUGI

ZNIKAJĄCA SZYBA



Od czasu, gdy Dursleyowie znaleźli pod drzwiami swojego siostrzeńca, minęło już prawie dziesięć lat, a Privet Drive wcale się nie zmieniło. Słońce wzeszło nad tym samym schludnym frontowym ogródkiem i oświetliło mosiężną czwórkę na drzwiach domu Dursleyów, a potem wśliznęło się do ich salonu, który był dokładnie taki sam, jak w ów wieczór, kiedy to w wieczornym dzienniku pojawiły się złowróżbne doniesienia o sowach. Ile czasu minęło, można się było zorientować tylko po fotografiach stojących na obramowaniu kominka. Dziesięć lat temu było tam mnóstwo zdjęć czegoś, co przypominało wielką, różową piłkę plażową w różnokolorowych czepkach, ale Dudley Dursley już dawno przestał być berbeciem i teraz fotografie przedstawiały tęgiego chłopca o jasnych włosach: a to na swoim pierwszym rowerze, a to na karuzeli w wesołym miasteczku, przy komputerze z ojcem czy

w ramionach matki. W salonie nie było absolutnie nic, co by świadczyło, że w tym domu mieszka jeszcze jakiś inny chłopiec.

A jednak Harry Potter tam był i w tym momencie spał, choć nie miało to trwać długo. Ciotka Petunia już wstała i wkrótce rozległ się jej wrzaskliwy głos:

— Wstawaj! Dosyć tego spania! Już! Harry obudził się i podskoczył na łóżku. Ciotka znowu załomotała w drzwi.

— Wstawać! – zaskrzeczała.

Harry usłyszał jej kroki zmierzające w kierunku kuchni, a potem brzęk patelni stawianej na kuchence. Przetoczył się na plecy i próbował przypomnieć sobie sen, z którego go wyrwano. To był dobry sen. Był w nim latający motocykl. Harry miał dziwne wrażenie, że śniło mu się to nie po raz pierwszy.

Ciotka powróciła pod drzwi.

— Wstałeś już? – zapytała.

— Prawie – odpowiedział Harry.

— No to wstawaj, chcę, żebyś przypilnował bekonu. I żeby mi się nie przypalił! Są urodziny Dudziaczka i wszystko ma być jak należy!

Harry jęknął.

— Co powiedziałeś? – warknęła przez drzwi jego ciotka.

— Nic, nic...

Urodziny Dudleya – jak mógł o tym zapomnieć! Zwlókł się z łóżka i zaczął szukać skarpetek. Znalazł je pod łóżkiem i zanim włożył, wyciągnął z jednej pająka. Harry był przyzwyczajony do pajaków, bo w komórce pod schodami było ich pełno, a tam właśnie sypiał.

Ubrał się i poszedł do kuchni. Stołu prawie nie było widać spod prezentów dla Dudleya. Wyglądało na to, że jest tam nowy komputer, który Dudley chciał dostać, a także telewizor i rower wyścigowy. Harry nie miał pojęcia, po co mu ten rower,

bo Dudley był gruby i nie uprawiał żadnego sportu – chyba że za dyscyplinę sportową uzna się bicie słabszych. Jego ulubionym workiem treningowym był właśnie Harry, ale nieczęsto udawało mu się go złapać. Harry był bardzo szybki, choć wcale na to nie wyglądał.

Być może miało to coś wspólnego z mieszkaniem w ciemnej komórce, ale Harry był bardzo mały i chudy jak na swój wiek. A sprawiał wrażenie jeszcze mniejszego i szczuplejszego niż w rzeczywistości, bo nosił wyłącznie stare ubrania po Dudleyu, który był prawie cztery razy od niego większy. Harry miał drobną buzię, kościste kolana, czarne włosy i jasne, zielone oczy. Nosił okrągłe okulary, zawsze poklejone celuloidową taśmą, bo od czasu do czasu Dudleyowi udawało się jednak trafić go w nos. Jedyną rzeczą, którą Harry lubił w swoim wyglądzie, była bardzo cienka blizna na czole, przypominająca zygzak błyskawicy. Miał ją od dawna i pamiętał, że kiedy był bardzo mały, zapytał ciotkę Petunię, skąd ją ma.

— To pamiątka po wypadku samochodowym, w którym zginęli twoi rodzice – odpowiedziała. – I nie zadawaj pytań.

Nie zadawaj pytań – to była pierwsza zasada rządząca spokojnym życiem państwa Dursleyów.

Wuj Vernon wszedł do kuchni, gdy Harry przewracał bekon na drugą stronę.

— Uczesz się! – warknął wuj na dzień dobry.

Przynajmniej raz w tygodniu wuj Vernon spoglądał znad gazety i donośnym głosem oznajmiał, że Harry powinien się ostrzyc. Harry musiał się strzyc o wiele częściej niż reszta chłopców z jego klasy razem wzięta, ale niewiele to pomagało – włosy natychmiast mu odrastały.

Harry smażył już jajka, kiedy do kuchni wszedł Dudley z matką. Dudley był bardzo podobny do wuja Vernona.

Miał duży, różowy nos, wodniste niebieskie oczy i gęste jasne włosy, przylizane gładko na wielkiej głowie. On też

prawie nie miał szyi. Ciotka Petunia często mówiła, że Dudley wygląda jak amerek, natomiast Harry często mówił, że Dudley wygląda jak prosię w peruce.

Harry postawił talerze z jajkami i bekonem na stole, co nie było łatwe z powodu ilości prezentów, które Dudley właśnie żmudnie przeliczał. Kiedy skończył, twarz mu się wyciągnęła.

— Trzydzieści sześć – oznajmił, patrząc na matkę i ojca. – O dwa mniej niż w zeszłym roku.

— Kochanie, nie policzyłeś prezentu od cioci Marge. Widzisz, jest pod tym wielkim od mamusi i tatusia.

— No dobra, więc trzydzieści siedem – powiedział Dudley, czerwony na twarzy. Harry, który zorientował się już, że nadchodzi jeden z napadów złości Dudleya, zaczął szybko połykać swój bekon, na wypadek, gdyby Dudley przewrócił stół.

Ciotka Petunia najwyraźniej też wyczuła niebezpieczeństwo, bo powiedziała szybko:

— I kupimy ci dzisiaj jeszcze dwa prezenty. Co ty na to, misiaczku? Jeszcze dwa prezenty. W porządku?

Dudley zastanawiał się w milczeniu. Sprawiał wrażenie, jakby go to kosztowało wiele wysiłku.

— Więc będę miał trzydzieści... — zaczął powoli – trzydzieści...

— Trzydzieści dziewięć, cukiereczku – dokończyła za niego ciotka Petunia.

— Aha. – Dudley usiadł ciężko przy stole i chwycił najbliższą paczkę. – No to w porządku. Wuj Vernon zacmokał.

— Nasz mały spryciarz potrafi dbać o swoje interesy!

Zupełnie jak jego ojciec. Tak trzymać, Dudley! – Poczochrał synowi włosy.

W tym momencie zadzwonił telefon i ciotka Petunia poszła go odebrać, a Harry i wuj Vernon obserwowali, jak Dudley rozpakowuje rower wyścigowy, kamerę wideo, zdalnie

sterowany samolot, szesnaście nowych gier komputerowych i magnetowid. Rozpakowywał właśnie złoty zegarek na rękę, kiedy wróciła ciotka Petunia. Na jej twarzy malował się gniew i niepokój.

— Złe nowiny, Vernon – oznajmiła. – Pani Figg złamała nogę. Nie może go zabrać – wskazała głową Harry’ego.

Dudley otworzył usta z przerażenia, a Harry’emu mocniej zabiło serce. W każde urodziny rodzice zabierali Dudleya i któregoś z jego kolegów na cały dzień do miasta, do wesołego miasteczka, McDonalda albo do kina. W każde urodziny Dudleya Harry’ego zostawiano u pani Figg, lekko zwariowanej staruszki, która mieszkała dwie ulice dalej. Harry nienawidził tego domu. Śmierdziało tam kapustą, a pani Figg zmuszała go do oglądania zdjęć wszystkich swoich kotów.

— No i co? – zapytała ciotka Petunia, patrząc na Harry’ego, jakby on to zaplanował.

Harry wiedział, że powinno mu być przykro z powodu złamania nogi przez panią Figg, ale nie było to łatwe, bo bardzo się cieszył, że dopiero za rok będzie zmuszony do ponownego oglądania Maleństwa, Śnieżki, Pazurka i Czubatka.

— Możemy zadzwonić do Marge – podsunął wuj Vernon.

— Nie bądź głupi, Vernon, ona go nie znosi.

Dursleyowie często rozmawiali o Harrym tak, jakby go nie było – albo raczej jakby był opóźniony w rozwoju i nie mógł ich zrozumieć.

— A ta jak—jej—tam, twoja przyjaciółka... Yvonne?

— Jest na urlopie na Majorce – warknęła ciotka Petunia.

— Możecie mnie po prostu zostawić tutaj – zaproponował z nadzieją w sercu Harry (mógłby oglądać, co zechce w telewizji, a może nawet dorwać się do komputera Dudleya).

Ciotka Petunia wyglądała, jakby właśnie przełknęła cytrynę.

— I po powrocie zastać dom w ruinach? – prychnęła.

— Nie wysadzę domu w powietrze – zapewnił Harry, ale nikt go nie słuchał.

— Może zabierzemy go do zoo – powiedziała wolno ciotka Petunia – i... zostawimy w samochodzie...

— To nowy samochód i nie pozwolę, by siedział w nim sam...

Dudley zaczął głośno płakać. Tak naprawdę nie płakał – minęło już wiele lat, odkąd płakał naprawdę – ale wiedział, że jeśli się wykrzywi i zawyje, dostanie od matki wszystko, czego zapragnie.

— Nie płacz, mój buziaczku, mamusia nie pozwoli zepsuć ci twojego święta! – zawołała, biorąc go w ramiona.

— Ja... nie... chcę... żeby on... sz—sz—szedł z naaaami!

— zawył Dudley pomiędzy dwoma głośnymi szlochami.

— On zawsze wszystko psuuuuje! – I wykrzywił się złośliwie do Harry'ego spod ramienia matki. Właśnie wtedy rozległ się dzwonek.

— Och, mój Boże, już są! – powiedziała gorączkowo ciotka Petunia i w chwilę później wszedł najlepszy przyjaciel Dudleya, Pierś Polkiss, ze swoją matką. Pierś był kościstym chłopcem o szczurzej twarzy. Zwykle to on trzymał ofiary z tyłu za ręce, kiedy Dudley je bił. Dudley natychmiast przestał udawać, że płacze.

Pół godziny później Harry, nie wierząc we własne szczęście, siedział z Piersem i Dudleyem na tylnym siedzeniu samochodu Dursleyów, po raz pierwszy w życiu jadąc do zoo. Ciotka i wuj nie byli w stanie wymyślić, co z nim zrobić, więc, chcąc nie chcąc, musieli go zabrać. Przed odjazdem wuj Vernon wziął go jednak na bok.

— Ostrzegam cię, chłopcze – powiedział, przysuwając swoją wielką purpurową twarz do twarzy Harry'ego – wystarczy

jeden głupi dowcip... a nie wyjdiesz z komórki aż do Bożego Narodzenia.

— Nic nie zrobię – zarzekał się Harry. – Naprawdę...

Ale wuj Vernon wcale mu nie uwierzył. Nikt mu nigdy nie wierzył.

Problem polegał na tym, że wokół Harry'ego często zdarzały się dziwne rzeczy, a Dursleyów trudno było przekonać, że to nie jego wina.

Kiedyś ciotka Petunia wściekła się na niego, bo wrócił od fryzjera, wyglądając tak, jakby w ogóle u niego nie był, więc złapała nożyce kuchenne i obcięła mu włosy tuż przy głowie, pozostawiając tylko grzywkę, "żeby przykryć tę okropną bliznę". Dudley pękał ze śmiechu na jego widok, a Harry spędził bezsenłą noc, wyobrażając sobie, co się będzie działo w szkole. Następnego ranka stwierdził jednak, że włosy całkowicie mu odrosły, jakby ciotka Petunia wcale ich nie obcinała. Za karę przesiedział przez tydzień w komórcie, chociaż próbował im wytłumaczyć, że nie potrafi wyjaśnić, w jaki sposób tak szybko odrosły.

Innym razem ciotka Petunia próbowała go zmusić do włożenia ohydneho starego swetra (brązowego z pomarańczowymi pomponikami). Im ostrzej się zabierała do włożenia mu go przez głowę, tym bardziej sweter się kurczył, aż w końcu pasował znakomicie na lalkę, ale z pewnością nie na Harry'ego. Ciotka Petunia uznała, że musiał się skurczyć w praniu i tym razem, ku jego uldze, Harry nie został ukarany.

Wpadł natomiast w spore kłopoty, kiedy pewnego razu stwierdzono, że siedzi na dachu szkolnej kuchni. Jak zwykle ścigała go banda Dudleya, kiedy nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, nie wyłączając samego Harry'ego, znalazł się na kominie. Państwo Dursleyowie otrzymali bardzo niemiły list od dyrektorki szkoły, w którym żaliła się, że Harry łązi po dachach. A próbował tylko (jak krzyczał do wuja Vernona

przez zamknięte drzwi komórki) wskoczył za wielki zbiornik na śmieci tuż obok drzwi do kuchni. Harry przypuszczał, że to silny podmuch wiatru musiał go porwać aż na dach.

Ale dzisiaj miało być inaczej. Warto było znieść nawet towarzystwo Dudleya i Piersa, żeby być w miejscach, które nie przypominają szkoły, ciemnej komórki pod schodami albo śmierdzącego kapustą saloniku pani Figg.

Podczas jazdy wuj Vernon użalał się przed ciotką Petunią. A lubił użalać się na wszystko: na ludzi w pracy, na Harry'ego, na radę nadzorczą, na Harry'ego, na bank, na Harry'ego, a była to tylko drobna część jego ulubionych tematów. Tym razem uskarżał się na motocykle.

— ...rozbijają się wszędzie jak maniacy... ci młodzi chuligani – powiedział, kiedy wyprzedził ich jakiś motocykl.

— Śnił mi się motocykl – powiedział Harry, przypominając sobie nagle swój sen. – Leciał w powietrzu.

Mało brakowało, a wuj Vernon uderzyłby w samochód jadący przed nimi. Odwrócił się z twarzą przypominającą olbrzymi burak z wąsami i ryknął na Harry'ego:

— MOTOCYKLE NIE LATAJĄ! Dudley i Piers zachichotali.

— Wiem, że nie latają – oświadczył Harry. – To był tylko sen.

Prawdę mówiąc, żałował, że w ogóle się odezwał. Jednego tylko Dursleyowie nie znosili jeszcze bardziej od zadawania im pytań: kiedy mówił o czymś, co zachowywało się nie tak, jak powinno, bez względu, czy było to we śnie, czy w kreskówce. Uważali to po prostu za niebezpieczne.

Była to bardzo słoneczna sobota i zoo odwiedziło mnóstwo rodzin. Przy wejściu Dursleyowie kupili Dudleyowi i Piersowi wielkie lody czekoladowe, a potem kupili taniego cytrynowego loda Harry'emu, ponieważ nie zdążyli go odciągnąć od samochodu z lodami, zanim uśmiechnięta sprzedawczyni zapytała go, co sobie wybrał. Nie jest zły, myślał Harry, liżąc

loda i obserwując goryla, który drapał się po głowie i wyglądał zupełnie jak Dudley, tyle że nie miał jasnych włosów.

Harry już dawno nie przeżył tak cudownego przedpołudnia. Trzymał się blisko Dursleyów, więc Dudley i Pierś, których wkrótce znudziło oglądanie zwierząt, nie mogli oddać się swojemu ulubionemu hobby, jakim było poszturchiwanie, kopanie i szczypanie Harry'ego. Lunch zjedli w miejscowej restauracji, a kiedy Dudley dostał ataku złego humoru, bo na jego ciastku było za mało kremu, wuj Vernon kupił mu drugie, a Harry'emu pozwolono skończyć pierwsze.

Po zjedzeniu deseru Harry poczuł, że to wszystko jest za piękne, aby trwało długo.

Potem poszli do pawilonu z gadami. W środku było zimno i ciemno; wzdłuż ścian biegł rząd podświetlonych okien. Za nimi pełzały po pniach, gałęziach i kamieniach jaszczurki i węże najróżniejszych gatunków. Dudley i Pierś chcieli zobaczyć wielkie jadowite kobry i grube pytony, mogące zmiążdżyć człowieka. Dudley szybko wypatrzył największego gada. Wyglądał, jakby mógł owinać się wokół samochodu wuja Vernona i zmiążdżyć go tak, by przypominał pojemnik na śmieci, ale w tym momencie wyraźnie nie był w odpowiednim nastroju. Prawdę mówiąc, po prostu mocno spał. Dudley przycisnął nos do szyby, wpatrując się w połyskujące brązowe sploty.

— Zrób, żeby się poruszył – poprosił ojca płaczącym tonem.

Wuj Vernon zastukał palcami w szybę, ale wąż ani drgnął.

— Zrób to jeszcze raz – zajęczał Dudley. Wuj Vernon zabębnił w szybę knykциями, ale wąż drzemał dalej.

— To jest okropnie nudne – oświadczył Dudley i odszedł.

Harry podszedł do szyby i wpatrzył się intensywnie w węża. Nie byłby wcale zaskoczony, gdyby okazało się, że wąż po prostu zdechł z nudów – nie miał żadnego towarzystwa prócz

tych wszystkich głupich ludzi, którzy przez cały dzień bębniłi palcami w szybę, starając się zakłócić mu spokój. To jeszcze gorsze od spania w komórcie pod schodami, do której zbliżała się tylko ciotka Petunia, żeby rano załomotać w drzwi. No i mógł z niej wychodzić...

Nagle wąż otworzył paciorkowate oczy. Powoli, bardzo powoli podniósł głowę – teraz jego oczy znalazły się na poziomie oczu Harry’ego.

Mrugnął do niego.

Harry wytrzeszczył oczy, a potem rozejrzał się szybko dookoła, żeby się upewnić, czy nikt tego nie widział. Upewniwszy się, spojrział znów na węża i też puścił do niego oko.

Wąż wskazał głową na wuja Vernona i Dudleya, a potem spojrział na sufit. Harry’emu wydało się oczywiste, że znaczy to: “Muszę to znosić przez cały czas”.

— Wiem – mruknął Harry, chociaż nie był pewny, czy wąż go słyszy. – To musi być naprawdę przykre. Wąż żywo pokiwał głową.

— Skąd pochodzisz? – zapytał Harry. Wąż dźgnął ogonem niewielką tabliczkę tuż za szybą. Harry zerknął na nią. Boa dusiciel, Brazylia.

— Fajnie tam było?

Boa dusiciel dźgnął ponownie tabliczkę, a Harry przeczytał: Ten okaz wyhodowany został w zoo.

— Aha, rozumiem... więc nigdy nie byłeś w Brazylii?

Kiedy wąż potrząsnął głową, za plecami Harry’ego rozległ się ogłuszający wrzask, który sprawił, że obaj podskoczyli.

— DUDLEY! PANIE DURSLEY! CHODŹCIE I POPATRZCIE NA TEGO WĘŻA! NIE UWIERZYCIE, CO ON ROBI!

Dudley pospieszył ku nim swoim kaczkowatym krokiem.

— Zjeżdżaj – rozkazał, uderzając Harry’ego w żebra. Harry, zaskoczony, upadł na betonową posadzkę. To, co wydarzyło się

w następnej chwili, stało się tak szybko, że nikt nie zauważył, jak w jednej sekundzie Pierś i Dudley wlepiali nosy w szybę, w następnej odskoczyli do tyłu, wrzeszcząc z przerażenia.

Harry usiadł i aż go zatkało: przednia szyba zniknęła. Wielki wąż odwinął się błyskawicznie i ześliznął na posadzkę. Wszyscy obecni w terrarium zaczęli krzyczeć i tłoczyć się do wyjścia.

Harry mógłby przysiąc, że kiedy wąż prześlizgiwał się obok niego, usłyszał syczący głos:

— Brazylio, przybywam... Graciasss, _migo. Opiekun terrarium był w stanie silnego szoku.

— Ale ta szyba – powtarzał w kółko. – Gdzie się podziała szyba?

Dyrektor zoo osobiście nalał ciotce Petunii filiżankę mocnej, słodkiej herbaty, przepraszając ją nieustannie. Pierś i Dudley coś bełkotali. Harry był pewny, że wąż, przesuwał się obok nich po podłodze, tylko żartobliwie chapnął ich w pięty, ale zanim doszli do samochodu, Dudley opowiadał, że niewiele brakowało, a straciłby nogę, podczas gdy Pierś przysięgał, że wąż owinał się wokół niego, chcąc go zmiażdżyć. Najgorsze było jednak to, że kiedy Pierś trochę się uspokoił, powiedział:

— Harry akurat z nim rozmawiał. Prawda, Harry?

Wuj Vernon odczekał, aż Pierś znajdzie się bezpiecznie w swoim domu, po czym zabrał się za Harry'ego. Był tak wściekły, że ledwo mógł mówić. Udało mu się tylko wybełkotać:

— Precz... do komórki... siedzieć tam... bez jedzenia – po czym opadł na fotel. Ciotka Petunia musiała mu natychmiast podać dużą brandy.

Harry leżał w swojej ciemnej komórce, żałując, że nie ma zegarka. Nie miał pojęcia, która może być godzina, i nie wiedział, czy Dursleyowie już zasnęli. Dopóki nie zasnęli, nie

mógł ryzykować wymknięcia się do kuchni po coś do zjedzenia.

Mieszkał u Dursleyów już prawie dziesięć lat, dziesięć żalonych lat od czasu, gdy był niemowlęciem, a jego rodzice zginęli w wypadku. Nie pamiętał, czy był wtedy z nimi w tym samochodzie. Czasami, kiedy wyteżał pamięć podczas długich godzin spędzanych w ciemnej komórce, miewał dziwną wizję: oślepiający błysk zielonego światła i palący ból w czole. Przypuszczał, że mogło to być wspomnienie tego wypadku, nie potrafił sobie jednak wyobrazić, skąd pochodziło zielone światło. Nie pamiętał też w ogóle swoich rodziców. Ciotka i wuj nigdy o nich nie mówili, a jemu nie wolno było zadawać pytań. W domu nie było ani jednej ich fotografii.

Kiedy był młodszy, wciąż marzył o jakimś nieznanym krewnym, który przybędzie i zabierze go z tego domu, ale nigdy nic takiego się nie wydarzyło; Dursleyowie byli jego jedyną rodziną. Czasami jednak myślał (albo raczej miał nadzieję), że znają go niektórzy spotykani na ulicy obcy ludzie. Sami byli bardzo dziwni, to fakt. Kiedyś ukłonił mu się jakiś człowieczyna w fioletowym kapeluszu, kiedy Harry towarzyszył ciotce Petunii i Dudleyowi na zakupach. Ciotka Petunia zapytała Harry'ego ze złością, czy zna tego człowieka, a potem wygoniła ich ze sklepu, choć niczego jeszcze nie kupiła. Innym razem pomachała mu wesoło z autobusu jakaś dziwaczna kobieta ubrana na zielono. Raz jakiś łysy facet w długiej purpurowej pelerynie uścisnął mu rękę na ulicy, po czym oddalił się bez słowa. Najdziwniejsze było to, że ci wszyscy ludzie zdawali się znikać, gdy tylko Harry próbował im się lepiej przyjrzeć.

W szkole Harry nie miał przyjaciół. Wszyscy wiedzieli, że banda Dudleya poluje na tego dziwoląga Harry'ego Pottera, w tych jego workowatych spodniach i z połamanymi okularami, a bandzie Dudleya nikt nie chciał się narażać.

ROZDZIAŁ TRZECI

LISTY OD NIKOGO



Za ucieczkę brazylijskiego boa dusiciela Harry zarobił najdłuższą jak dotąd karę. Kiedy pozwolono mu wreszcie wyjść z komórki, zaczęły się już letnie wakacje, a Dudley zdążył zepsuć swoją nową kamerę wideo, rozbić swój zdalnie sterowany samolot i podczas swojej pierwszej przejażdżki rowerem wyścigowym wpaść na starą panią Figg, która o kulach przechodziła właśnie przez Privet Drive.

Harry cieszył się, że nie musi już chodzić do szkoły, ale nie uchroniło go to od napaści bandy Dudleya, która codziennie odwiedzała jego dom. Pierś, Dennis, Malcolm i Gordon byli wielcy i głupi, ale Dudley, największy i najgłupszy z nich, był ich przywódcą. Pozostali członkowie bandy z rozkoszą przyłączyli się do ulubionej dyscypliny sportowej Dudleya: polowania na Harry'ego.

Harry starał się więc spędzać jak najwięcej czasu poza domem, wałęsając się po okolicy i czekając na koniec wakacji, w czym dostrzegał promyk nadziei. We wrześniu miał pójść do gimnazjum i po raz pierwszy w życiu pozbyć się towarzystwa

Dudleya, bo ten został przyjęty do prywatnej szkoły Smeltinga, tej samej, do której uczęszczał kiedyś wuj Vernon. Miał tam również chodzić Piers Polkiss. Natomiast Harry'ego zapisano do Stonewall, miejscowego gimnazjum publicznego. Dudley uważał, że to bardzo zabawne.

— W Stonewall pierwszego dnia wpychają ci głowę do muszli klozetowej — powiedział Harry'emu. — Chcesz pójść ze mną na górę, żeby potrenować?

— Nie, dziękuję — odrzekł Harry. — Biedna muszla jeszcze nigdy nie widziała czegoś tak okropnego jak twoja głowa, więc może ją zemdlić. — I zwiął, zanim sens tych słów dotarł do Dudleya.

Pewnego lipcowego dnia ciotka Petunia zabrała Dudleya do Londynu, żeby mu kupić szkolny mundur, a Harry został oddany na przechowanie do pani Figg. Tym razem u pani Figg nie było tak nudno jak zwykle. Okazało się, że nogę złamała, potykając się o jednego ze swoich kotów, i już nie wyrażała się o nich tak czule jak dawniej. Pozwoliła Harry'emu oglądać telewizję i dała mu kawałek czekoladowego tortu, który smakował, jakby leżał w kredensie od kilku lat.

Tego wieczora Dudley paradował po salonie w swym nowym mundurku. Chłopcy ze Smeltinga nosili kasztanowe surduty, pomarańczowe pumpy zapinane pod kolanami i płaskie słomkowe kapelusze zwane wioślarkami. Mieli też sękate kije zwane smeltingami, którymi okładali się nawzajem, kiedy żaden nauczyciel nie patrzył. Uznawano to za dobrą szkołę przygotowującą ich do dorosłego życia.

Patrząc na Dudleya w jego nowym mundurku, wuj Vernon burknął, że to najwspanialsza chwila w jego życiu. Ciotka Petunia zalała się łzami i wyznała, iż nie może uwierzyć, że to jej maleńki Dudlejek, tak już wyrósł i taki jest przystojny, naprawdę. Harry nie dowierzał sobie aż tak, żeby wyrazić

swoją opinię. Trochę się bał, że kiedy starał się powstrzymać od śmiechu, pękły mu dwa żebra.

Kiedy następnego ranka Harry wszedł do kuchni, poczuł jakiś okropny zapach. Smród zdawał się buchać z wielkiego kotła stojącego w zlewie, więc podszedł do niego i zajrzał do środka. W kotle było pełno szarej wody, w której pływały jakieś brudne szmaty.

— Co to jest? — zapytał ciotkę Petunię. Ściągnęła wargi, jak zawsze, kiedy ośmielił się o coś zapytać.

— Twój nowy mundurek szkolny — odpowiedziała. Harry ponownie zajrzał do kotła.

— Och, nie wiedziałem, że ma być mokry.

— Nie bądź głupi — warknęła ciotka Petunia. — Farbuję ci na szaro stare ubranie Dudleya. Jak skończę, będzie wyglądało jak normalny szkolny mundurek.

Harry poważnie w to wątpił, ale uznał, że lepiej nie wyrażać swojego zdania. Usiadł przy stole i starał się nie myśleć o tym, co będzie, kiedy w czymś takim wkroczy po raz pierwszy do gimnazjum Stonewall — jakby miał na sobie płyty skóry słonia.

Wszedł Dudley, a za nim wuj Vernon, obaj marszcząc nosy z powodu zapachu bijącego z nowego mundurka Harry'ego. Wuj Vernon jak zwykle otworzył gazetę, a Dudley zaczął bębnić po stole swoim kijem, z którym już się nie rozstawał.

Usłyszeli szcęk klapki osłaniającej szczelinę w drzwiach i pacnięcia listów spadających na matę.

— Przynieś pocztę, Dudley — powiedział wuj Vernon znad gazety.

— Niech Harry przyniesie.

— Przynieś pocztę, Harry.

— Niech Dudley przyniesie.

— Dudley, przyłóż mu smeltingiem.

Harry umknął przed smeltingiem i poszedł do drzwi. Na macie leżały trzy przesyłki: pocztówka od siostry wuja Vernona, Marge, która wyjechała na urlop na wyspę Wight, brązowa koperta, wyglądająca na rachunek, i — list do Harry'ego.

Harry podniósł go, czując, że serce zadygotało mu jak gigantyczna gumowa taśma. Jeszcze nigdy nie otrzymał listu. Bo i od kogo? Nie miał przyjaciół, nie miał innych krewnych, nie był zapisany do żadnej biblioteki, więc nigdy nie otrzymywał nawet zwykłych ponagleń, by oddać książki. A jednak ta koperta była zaadresowana tak wyraźnie, że nie było mowy o pomyłce:

Pan H. Potter

Komórka pod Schodami

Privet Drive 4

Little Whinging

Surrey

Koperta była gruba i ciężka, z żółtawego pergaminu, a adres wypisano szmaragdowozielonym atramentem. Nie było żadnego znaczka.

Odwróciwszy kopertę drżącą ręką, Harry dostrzegł woskową pieczęć z herbem: lew, łabędź, borsuk i wąż wokół dużej litery H.

— Pospiesz się, chłopcze! — krzyknął z kuchni wuj Vernon.
— Co ty tam robisz? Sprawdzasz, czy w listach nie ma bomby?
— Zachichotał z własnego dowcipu.

Harry wrócił do kuchni, wciąż wpatrując się w swój list. Wręczył wujowi Vernonowi rachunek i pocztówkę, usiadł i zaczął powoli otwierać żółtą kopertę.

Wuj Vernon rozerwał rachunek, chrząknął z niesmakiem i rzucił okiem na pocztówkę.

— Marge jest chora — poinformował ciotkę Petunię. — Jadła jakieś trąbiki...

— Tato! — zawołał Dudley. — Tato, Harry coś dostał!

Harry rozkładał już list, napisany na takim samym grubym pergaminie, kiedy mu go wyrwała ręka wuja Vernona.

— To do mnie! — powiedział Harry, próbując odzyskać list.

— Tak? A niby kto miałby do ciebie napisać? — zarechotał wuj Vernon, otwierając list jednym ruchem. Jego twarz zmieniła się z czerwonej na zieloną szybciej niż światła na rogu ulicy. A na tym się nie skończyło. Po kilku sekundach poszarzała już jak stara owsianka.

— P—P—Petunio! — wyrzucił z siebie wraz z oddechem.

Dudley próbował złapać list, żeby go przeczytać, ale wuj Vernon trzymał kartkę z dala od niego. Ciotka Petunia łapczywie chwyciła list i przeczytała pierwszą linijkę. Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała zemdleć. Złapała się za szyję i wydała kilka dźwięków charakterystycznych dla osób, które się krztuszą.

— Vernon! O Boże... Vernon!

Wpatrywali się w siebie, jakby zapomnieli, że Harry i Dudley są nadal w kuchni. Dudley nie był do tego przyzwyczajony. Pacnął ojca smeltingiem w głowę.

— Chcę to przeczytać — oznajmił głośno.

— Nie, ja chcę to przeczytać — krzyknął Harry — bo to list do mnie!

— Wynoście się obaj — zaskrzeczał wuj Vernon, wsuwając list do koperty.

Harry nie drgnął.

— CHCĘ MÓJ LIST! — krzyknął.

— Muszę go zobaczyć! — wrzasnął Dudley.

— WYNOCHA! — ryknął wuj Vernon, po czym chwycił Harry'ego i Dudleya za karki i wyrzucił ich do przedpokoju, zatrzasnąwszy za nimi drzwi do kuchni. Harry i Dudley rzucili się na siebie w milczeniu, walcząc o to, kto przyłoży ucho do dziurki od klucza. Zwyciężył Dudley, więc Harry, z okularami

wiszącymi mu na jednym uchu, położył się płasko na brzuchu, drugim uchem przywierając do szczeliny między drzwiami a podłogą.

— Vernonie — mówiła ciotka Petunia rozdygotanym głosem — spójrz na ten adres... skąd oni mogli wiedzieć, gdzie on sypia? Myślisz, że obserwują nasz dom?

— Obserwują... szpiegują... może za nami łążą — mruknął wuj Vernon.

— Więc co powinniśmy zrobić, Vernonie? Odpisać? Powiedzieć im, że nie chcemy...

Harry widział czarne, błyszczące półbuty wuja Vernona, maszerujące tam i z powrotem po kuchni.

— Nie — oznajmił w końcu. — Nie, po prostu to zignorujemy. Jeśli nie otrzymają odpowiedzi... Tak, to najlepsze wyjście... po prostu nic nie zrobimy...

— Ale...

— Petunio, nikogo takiego nie ma w naszym domu! Czy kiedy go przygarnęliśmy, nie przysięgliśmy sobie, że wypłenimy z niego te niebezpieczne bzdury?

Tego popołudnia, po powrocie do domu, wuj Vernon zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił: odwiedził Harry'ego w jego komórcie pod schodami.

— Gdzie jest mój list? — zapytał Harry, gdy tylko wuj Vernon przecisnął się przez drzwi. — Kto do mnie napisał?

— Nikt. List zaadresowano do ciebie przez pomyłkę — oświadczył krótko wuj Vernon. — Spaliłem go.

— To nie była pomyłka — powiedział ze złością Harry. — Była na nim moja komórka.

— MILCZ! — ryknął wuj Vernon, a kilka pajaków spadło z sufitu. Wziął parę głębokich oddechów, a potem zmusił się do uśmiechu, który wyglądał tak, jakby go rozboleł brzuch.

— Eee... tak, Harry... co do tej komórki... Twoja ciotka i ja pomyśleliśmy sobie... że jesteś już taki duży... No więc

uważamy, że może by ci było wygodniej w drugiej sypialni Dudleya.

— Dlaczego? — wyjąkał Harry.

— Nie zadawaj pytań! — warknął wuj. — Zabierz swoje rzeczy i idź na górę.

Dursleyowie mieli cztery sypialnie: jedną dla wuja Vernona i ciotki Petunii, jedną dla gości (zwykle nocowała tam Marge, siostra wuja Vernona), jedną, w której spał Dudley, i jedną, w której trzymał swoje stare zabawki i rzeczy, które nie mieściły się w jego pierwszej sypialni. Harry'emu wystarczyło przejść z komórki na pierwsze piętro tylko raz, aby przenieść wszystko, co posiadał. Usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju. Prawie wszystko było połamane lub zepsute. Stara kamera wideo leżała na małym czołgu na baterie, którym Dudley wjechał kiedyś w psa sąsiadów; w kącie stał pierwszy telewizor Dudleya, który rozwalił kopniakiem, kiedy przestano nadawać jego ulubiony program; była też wielka klatka dla ptaków, w której kiedyś mieszkała papuga, ale pewnego dnia Dudley wymienił ją w szkole na prawdziwą wiatrówkę. Klatka stała na półce, której jeden koniec zwisał smętnie, bo Dudley kiedyś na niej usiadł. Inne półki zawalone były książkami. Były to jedyne przedmioty w tym pokoju, które wyglądały, jakby ich nikt nigdy nie dotykał.

Z dołu dobiegły jęki Dudleya, skarżącego się matce:

— Nie chcę go tam... Ten pokój jest mi potrzebny... Wywal go stamtąd...

Harry westchnął i wyciągnął się na łóżku. Jeszcze wczoraj oddałby wszystko, żeby tu zamieszkać. Dzisiaj wolałby siedzieć w swojej komórce z tym listem, niż tutaj bez niego.

Następnego dnia przy śniadaniu było dość spokojnie. Dudley pogrążony był w głębokim szoku. Nie pomogło wycie, grzmocenie ojca smeltingiem, symulowanie wymiotów, kopanie matki, rzucenie żółwiem w ściankę terrarium, tak że

wpadł przez zbitą szybę do środka. Drugiej sypialni nie odzyskał. Harry wspominał wczorajszy poranek i przeklinał sam siebie, że nie otworzył listu w przedpokoju. Wuj Vernon i ciotka Petunia spoglądali na siebie ponurym wzrokiem.

Kiedy przyszła poczta, wuj Vernon, który sprawiał wrażenie, jakby chciał być miły dla Harry'ego, kazał Dudleyowi ją przynieść. Najpierw usłyszeli łomot, kiedy walił smeltingiem we wszystko, co było w przedpokoju, a potem jego okrzyk:

— Jest następny! “Pan H. Potter, Najmniejsza Sypialnia, Privet Drive 4...”

Wuj Vernon wydał z siebie zduszony okrzyk, zerwał się z krzesła i pobiegł do przedpokoju, a za nim pobiegł Harry. Żeby wydrzeć Dudleyowi list, wuj Vernon musiał powalić go na podłogę, co okazało się trudne, bo Harry złapał wuja Vernona od tyłu za szyję. Po minucie zażartej walki, w której jedna i druga strona oberwała smeltingiem, wuj Vernon wyprostował się, dysząc ciężko, z listem Harry'ego w ręku.

— Idź do swojej komórki... znaczy się, do swojej sypialni — wycharczał w stronę Harry'ego. — A ty Dudley... odejdz... po prostu zejdz mi z oczu.

Harry krążył po swoim nowym pokoju, nie mogąc się uspokoić. Ktoś wiedział, że przeniesiono go z komórki i że prawdopodobnie nie otrzymał pierwszego listu. Może spróbują jeszcze raz? Na pewno. Ale tym razem się nie zawiodą. Harry miał już pewien plan.

Następnego ranka zreperowany budzik zadzwonił o szóstej. Harry szybko wyłączył alarm i ubrał się po cichu. Wiedział, że nie może obudzić Dursleyów. Zszedł ostrożnie na dół, nie zapalając żadnego światła.

Miał zamiar czekać na listonosza na rogu Privet Drive i wziąć od niego listy przeznaczone dla numeru czwartego.

Serce biło mu jak młot, kiedy skradał się ciemnym przedpokojem do frontowych drzwi... — AAAAU!

Harry podskoczył w powietrze; wszedł jedną nogą na coś wielkiego i rozlazłego, co spoczywało na macie przed drzwiami — coś żywego!

Na górze pstryknęły światła i Harry, ku swemu przerażeniu, zobaczył, że to coś wielkiego i rozlazłego było twarzą jego wuja. Wuj Vernon leżał pod drzwiami w śpiworze, najwyraźniej chcąc się upewnić, że Harry nie zrobi tego, co właśnie próbował zrobić. Wrzeszczał na Harry'ego przez pół godziny, a potem kazał mu iść do kuchni i przynieść filiżankę herbaty. Zrozpaczony Harry powłókł się do kuchni, a kiedy wrócił, listy akurat wpadły przez szparę prosto w ręce wuja Vernona. Harry zdążył zauważyć trzy listy zaadresowane tym samym zielonym atramentem.

— Chcę... — zaczął, ale wuj Vernon darł już listy na kawałki.

Tego dnia wuj Vernon nie poszedł do pracy. Został w domu i zabił gwoździami szparę na listy.

— Mam na nich sposób — wyjaśnił ciotce Petunii przez zęby, którymi ścisnął kilka gwoździ. — Jeśli nie będą mogli dostarczyć listów, po prostu dadzą nam spokój.

— Nie jestem pewna, czy to poskutkuje, Vernonie.

— Och, Petunio, oni rozumują bardzo dziwnie, oni nie są tacy jak ty albo ja — powiedział wuj Vernon, próbując wbić gwóźdź w kawałek owocowego ciasta, który mu właśnie przyniosła ciotka Petunia.

W piątek przyszło aż dwanaście listów zaadresowanych do Harry'ego. Szpara w drzwiach była zabita, więc wciśnięto je przez szczelinę pod drzwiami, wetknięto w szpary po bokach, a kilka wepchnięto przez małe okienko łazienki na parterze.

Wuj Vernon znowu nie poszedł do pracy. Po spaleniu wszystkich listów wziął młotek i gwoździe, po czym pozabijał

szpary i szczeliny w drzwiach frontowych i kuchennych, tak że nikt nie mógł wyjść. Nucił pod nosem “Na palcach przez tulipany” i podskakiwał przy najcichszym odgłosie.

W sobotę wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli. Do domu przeniknęły dwadzieścia cztery listy, zwinięte w kulki i ukryte w dwóch tuzinach jajek, które zdumiony mleczarz podał ciotce Petunii przez okno w salonie. Podczas gdy wuj Vernon dzwonił, wściekły, na pocztę i do mleczarni, próbując znaleźć kogoś, komu by mógł złożyć zażalenie, ciotka Petunia miażdżyła listy na papkę w mikserze.

— Bardzo jestem ciekaw, komu może aż tak bardzo zależeć, żeby się z tobą porozumieć? — zapytał Dudley Harry’ego.

* * *

Kiedy w niedzielę rano wuj Vernon usiadł przy stole, wyglądał na człowieka zmęczonego i niezbyt zdrowego, ale szczęśliwego.

— W niedziele nie przynoszą poczty — przypomniał im radośnie, rozsmarowując dżem po gazecie. — Dziś nie będzie żadnych przeklętych listów...

Coś spadło przez komin i pacnęło go mocno w tył głowy. W następnej chwili jakieś trzydzieści albo czterdzieści listów wystrzeliło spod okapu kuchennego jak seria pocisków. Dursleyowie zrobili serię uników, ale Harry podskoczył, próbując złapać jeden list w powietrzu...

— Wynocha! WYNOCHA!

Wuj Vernon zdążył złapać Harry’ego wpół i wypchnąć do przedpokoju. Po chwili z kuchni wypadła ciotka Petunia, a za nią Dudley, osłaniając głowy rękami. Wuj Vernon szybko zatrzaskał drzwi. Wszyscy słyszeli, jak nieprzerwany strumień listów wlewa się do kuchni, odbijając od ścian i podłogi.

— Dość tego — rzekł wuj Vernon, starając się mówić spokojnie, ale jednocześnie wyrywając sobie spore kępki wąsów. — Za pięć minut macie być gotowi do opuszczenia domu. Spakujcie tylko niezbędne ubrania. Żadnych dyskusji!

Wyglądał tak groźnie, że nikt nie ośmielił mu się sprzeciwić. Dziesięć minut później udało im się wyłamać pozabijane drzwi i po chwili siedzieli w samochodzie, pędząc ku autostradzie. Dudley chlapał na tylnym siedzeniu; oberwał od ojca po głowie, kiedy próbował wcisnąć do torby sportowej telewizor, wideo i komputer.

Jechali i jechali. Ciotka Petunia nie śmiała nawet zapytać, dokąd jadą. Co chwilę wuj Vernon zakręcał ostro i przez jakiś czas jechał w przeciwną stronę niż dotychczas.

— Odczepić się od nich... zgubić ich — mruczał pod nosem za każdym razem.

Przez cały dzień nie zatrzymali się, aby coś zjeść lub czegoś się napić. Kiedy zapadł wieczór, Dudley był jak pies. Tak podłego dnia nie przeżył jeszcze nigdy w życiu. Był głodny, przepadło mu pięć programów telewizyjnych i jeszcze nigdy nie upłynęło aż tyle czasu, odkąd po raz ostatni zrobił krwawą miazgę z kilkunastu przeciwników w grze komputerowej.

Wuj Vernon zatrzymał się w końcu przed ponuro wyglądającym hotelem na przedmieściu jakiegoś dużego miasta. Dudley i Harry dostali jeden pokój z bliźniaczymi łózkami i wilgotnymi, zatęchłymi prześcieradłami. Dudley chrapał, ale Harry i tak nie spał, siedząc w oknie, patrząc na światła przejeżdżających samochodów i rozmyślając...

Następnego dnia dostali na śniadanie wyraźnie przeterminowane płatki kukurydziane i pomidory z puszki na zimnych tostach. Właśnie skończyli, kiedy do ich stolika podeszła właścicielka hotelu.

— Przepraszam, ale ktoś z państwa jest chyba panem H. Potterem? Właśnie przynieśli mi do recepcji ze sto takich

listów.

Podniosła list, tak że każdy mógł przeczytać wypisany zielonym atramentem adres:

Pan H. Potter
Pokój 17
Hotel "Dworcowy"
Cokeworth

Harry sięgnął po list, ale wuj Vernon podbił mu rękę w powietrzu i sam złapał kopertę. Kobieta wytrzeszczyła oczy.

— Ja je wezmę — powiedział wuj Vernon, zrywając się z krzesła i wychodząc za nią z jadalni.

* * *

— Kochanie, czy nie byłoby lepiej wrócić do domu? — zapytała nieśmiało ciotka Petunia kilka godzin później, ale wuj Vernon sprawiał wrażenie, że jej nie słyszy. Nikt nie miał pojęcia, dokąd właściwie jadą i czego wuj szuka. Raz zatrzymał samochód pośrodku wielkiego lasu, wysiadł, rozejrzał się, potrząsnął głową, wrócił do auta i ruszył dalej. To samo wydarzyło się pośrodku pola ornego, w połowie długiego mostu i na szczycie wielopoziomowego parkingu.

— Tatusz zwariował, prawda? — zapytał po południu Dudley ciotkę Petunię. Wuj Vernon zaparkował na plaży, zamknął ich w samochodzie i zniknął.

Zaczęło padać. Wielkie krople bębniły w dach samochodu. Dudley chlipał, cały zasmarkany.

— Dzisiaj jest poniedziałek — biadolił. — Wieczorem będzie "Wielki Humberto". Chcę się zatrzymać gdzieś, gdzie będzie telewizja.

Poniedziałek. To Harry'emu o czymś przypomniało. Jeśli jest poniedziałek — a zwykle można było polegać na Dudleyu, jeśli chodzi o dni tygodnia, z powodu wszystkich seriali, które regularnie oglądał — to jutro, we wtorek, są jedenaste urodziny Harry'ego. Oczywiście jego urodziny nigdy nie były specjalnie przyjemne — w ubiegłym roku wuj Vernon dał mu wieszak i parę starych skarpetek. No, ale nie co dzień kończy się jedenaście lat.

Wuj Vernon wrócił uśmiechnięty. Niósł jakiś długi, wąski pakunek i nie odpowiedział ciotce Petunii, kiedy go zapytała, co kupił.

— Znalazłem wspaniałe miejsce! — oznajmił. — Szybko! Wszyscy wysiadają!

Było bardzo zimno. Wuj Vernon wskazywał na coś, co wyglądało jak wielka skała wystająca z morza. Na jej szczycie widniała jakaś mizerna chałupka. Jedno było pewne: nie należało się tam spodziewać telewizora.

— Na noc zapowiadają sztorm — powiedział wuj Vernon wesoło, zacierając dłonie. — A ten zacny jegomość zgodził się pożyczyć nam łódź!

W tym momencie podszedł do nich jakiś bezzębny staruch, wskazując na starą szalupę, podskakującą na stalowo—szarej wodzie.

— Zdobyłem też trochę prowiantu — rzekł wuj Vernon — więc wszyscy na pokład!

W łodzi było przeraźliwie zimno. Lodowate rozpryski fal i krople deszczu spływały im po plecach, a mroźny wiatr chłostał im twarze. W końcu — a wydawało się, że upłynęły całe godziny — dopłynęli do owej skały, gdzie wuj Vernon, potykając się i ślizgając, powiódł ich do zrujnowanego domu.

Wewnątrz było okropnie: cuchnęło zgniłymi wodorostami, wiatr gwizdał przez dziury w drewnianych ścianach, a puste palenisko zamokło. Na dodatek dom miał tylko dwie izby.

“Prowiant” wuja Vernona okazał się czterema torebkami chipsów i czterema bananami. Próbował rozpać ogień, ale torebki po chipsach narobiły tylko trochę dymu i zwinęły się w ruloniki.

— Teraz mogą nam nakichać, co? — zagadywał wesoło.

Był w bardzo dobrym nastroju. Najwidoczniej uznał, że nikt nie dostarczy tu poczty, zwłaszcza podczas sztormu. Harry zgadzał się z tym, ale jego wcale to nie wprawiało w dobry humor.

Kiedy zapadła noc, rozpętał się zapowiadany sztorm. Olbrzymie fale chłostały ściany chatki, a dziki wiatr łomotał w brudne okna. Ciotka Petunia znalazła kilka zapleśniałych koców i zrobiła Dudleyowi posłanie na zjedzonej przez mole kanapie. Ona i wuj Vernon zajęli kulawe łóżko w sąsiedniej izbie, a Harry musiał sobie znaleźć najbardziej miękki kawałek podłogi i zwinąć się na nim w kłębek pod najcieńszym i najbardziej postrzępionym kocem.

Sztorm rozszalał się na dobre i Harry nie mógł zasnąć. Dygotał z zimna i przewracał się na twardej podłodze, czując, jak burczy mu w brzuchu z głodu. Koło północy chrapanie Dudleya zagłuszyły przetaczające się nisko grzmoty. Podświetlona tarcza elektronicznego zegarka, połyskująca na zwisającej z kanapy ręce Dudleya, powiedziała Harry’emu, że jest za dziesięć jedenasta. Leżał i patrzył, jak zbliżają się jego urodziny, rozmyślając smętnie, czy Dursleyowie będą o nich pamiętać i zastanawiając się, gdzie może być teraz nadawca listów.

Pięć minut przed północą Harry usłyszał jakieś okropne trzaski. Miał nadzieję, że sufit się nie zapadnie, chociaż z drugiej strony może byłoby mu cieplej, gdyby tak się stało. Jeszcze cztery minuty. Może w domu na Privet Drive po ich powrocie będzie tyle listów, że uda mu się jakoś skraść choć jeden?

Trzy minuty. Czy to morze tak łomocze w skałę? I (dwie minuty) co to za dziwne skrzypienie? Czyżby ta skała zapadała się w morze?

Jeszcze jedna minuta i będzie miał jedenaście lat. Trzydzieści sekund... dwadzieścia... dziesięć... dziewięć — może by tak obudzić Dudleya — trzy... dwie... jedna.

BUUM.

Cała chatka zadygotała, a Harry poderwał się, wytrzeszczając oczy w ciemności. Ktoś był na zewnątrz i najwyraźniej łomotał w drzwi.

ROZDZIAŁ

CZWARTY

STRAŻNIK KLUCZY



BUUM. Znowu łomotanie do drzwi. Dudley obudził się i usiadł na kanapie.

— Gdzie jest ta armata? — zapytał głupio.

Rozległ się głuchy trzask za nimi i do pokoju wkroczył wuj Vernon. W rękach miał strzelbę — teraz się dowiedzieli, co było w tym długim, wąskim pakunku.

— Kto tam? — krzyknął. — Ostrzegam... jestem uzbrojony! Na chwilę zrobiło się cicho, a potem...

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że wypadły z zawiasów i z okropnym łoskotem wylądowały na podłodze.

W otworze wejściowym stał olbrzymi mężczyzna. Twarz miał prawie całkowicie ukrytą pod długimi, zmierzwionymi włosami i dziką, splątaną brodą; tylko czarne oczy błyszczały jak dwa żuki spomiędzy tej plątaniny.

Olbrzym wcisnął się do środka, garbiąc się, żeby nie zawadzić o sufit. Pochylił się, podniósł drzwi i z łatwością osadził je z powrotem w zawiasach. Ryk sztormu nieco przycichł. Odwrócił się i zmierzył ich spojrzeniem.

— Może by ktoś zrobił kubek herbatki, co? Przeleciałem kawał świata. Nie było letko...

Podszedł do kanapy, na której siedział Dudley zdrętwiały ze strachu.

— Suń się, grubasie — powiedział łagodnie przybysz. Dudley zakwiczał i uciekł, żeby się schować za matką, która z kolei skuliła się, przerażona, za wujem Vernonem.

— No i jest nasz Harry! — rzekł olbrzym. Harry spojrział w tę dziką, mroczną twarz i zobaczył, że czarne oczy rozjarzyły się uśmiechem.

— Kiedy cię ostatni raz widziałem, byłeś jeszcze niemowlakiem — powiedział olbrzym. — Wykapany tata, ale oczy to masz po matce.

Wuj Vernon wydał z siebie dziwny, zgrzytliwy dźwięk.

— Żądam, aby pan się stąd wyniósł! — oznajmił. — Natychmiast! To włamanie i najście!

— Och, przymknij się, Dursley, ty wielka śliwko w occie — odparł olbrzym. Sięgnął ponad oparciem sofy, wyrwał wujowi Vernonowi strzelbę z rąk, zawiązał ją w supeł z taką łatwością, jakby była z gumy, i cisnął w kąt.

Wuj Vernon wydał z siebie jeszcze jeden dziwny dźwięk, tym razem jakby ktoś nadepnął na mysz.

— Tak czy owak, Harry — powiedział olbrzym, odwracając się od Dursleyów — mnóstwo szczęścia w dniu urodzin. Mam tu coś dla ciebie... w pewnym momencie chyba na tym usiadłem, ale smakuje wciąż tak samo.

Z wewnętrznej kieszeni czarnego płaszcza wyciągnął nieco zgniecione pudełko. Harry otworzył je drżącymi palcami. Wewnątrz był wielki, czekoladowy tort z napisem z zielonego lukru:

Harry'emu w dniu urodzin.

Harry spojrzał na olbrzyma. Zamierzał mu podziękować, ale zanim słowa dotarły mu do ust, gdzieś się pogubiły i wyjąkał tylko:

— Kim pan jest? Olbrzym zacmokał.

— Cholibka, przecież ja się nie przedstawiłem. Rubeus Hagrid, strażnik kluczy i gajowy w Hogwarcie.

Wyciągnął wielką łapę i potrząsnął całą ręką Harry'ego.

— No to jak, będzie ta herbatka? — zapytał, zacierając dłonie. — Nie odmówiłbym chlapnięcia czegoś mocniejszego, jeśli macie.

Jego wzrok padł na puste palenisko z resztkami okopconych torebek po chipsach. Chrząknął, pochylił się nad paleniskiem, tak że nikt nie zdołał zobaczyć, co tam robi, ale kiedy się wyprostował, w kominku huczał wielki ogień. Wilgotną izbę rozjaśnił migocący blask płomieni, a Harry poczuł rozkoszne ciepło w całym ciele, jakby wlażł do wanny z gorącą wodą.

Olbrzym usiadł z powrotem na kanapie, która zatrzeszczała pod jego ciężarem, i zaczął wyjmować z kieszeni płaszcza najróżniejsze przedmioty: miedziany kociołek, paczkę nieco przydeptanych kiełbasek, pogrzebacz, czajnik do herbaty, kilka wyszczerbionych kubków i butelkę z jakimś bursztynowym płynem, z której pociągnął zdrowo, zanim zabrał się do robienia herbaty. Wkrótce izba wypełniła się

zapachem skwierczących nad ogniem kiełbasek. Nikt nie wyrzekł ani jednego słowa, ale kiedy olbrzym zsunął z pogrzebacza pierwszych sześć tłustych, soczystych, lekko nadpieczonych kiełbasek, Dudley okazał pewne zaniepokojenie.

— Nie waż się niczego od niego brać, Dudley — rzucił ostro wuj Vernon.

Olbrzym zacmokał.

— Nie martw się, Dursley, ten twój budyniowaty synalek i tak już ma za dużo tłuszczu.

Podał kiełbaski Harry'emu, który był tak głodny, że czuł, jakby jeszcze nigdy w życiu nie jadł czegoś tak wspaniałego, ale przez cały czas nie odrywał oczu od olbrzyma. W końcu, kiedy jakoś nikt nie kwapił się, by wyjaśnić mu, co to wszystko ma znaczyć, ośmielił się zauważyć:

— Przepraszam, ale tak naprawdę, to nie mam pojęcia, kim pan jest.

Olbrzym przełknął głośno łyk herbaty i otarł usta wierzchem dłoni.

— Mów mi Hagrid — powiedział. — Każdy mi tak mówi. Jak już wspomniałem, jestem klucznikiem w Hogwart... Chyba wiesz wszystko o Hogwarcie, co?

— Ee... nie — wyznał Harry.

Wyglądało na to, że Hagridem naprawdę to wstrząsnęło.

— Przykro mi — dodał szybko Harry.

— Przykro? — warknął Hagrid, odwracając się, by spojrzeć na Dursleyów, którzy pochowali się po ciemnych kątach izby. — To tym mugolom powinno być przykro! Wiedziałem, że nie oddają ci listów, ale nie przyszło mi do głowy, że nie będziesz nic wiedział o Hogwarcie! I co, nigdy się nie zastanawiałeś, skąd twoi rodzice nauczyli się tego wszystkiego?

— Czego wszystkiego? — zapytał Harry.

— CZEGO WSZYSTKIEGO? — zagrział Hagrid. — Zaraz, zaraz, chwileczkę!

Zerwał się na nogi. Był tak wściekły, że w izbie zrobiło się gęsto. Dursleyowie wcisnęli się w ściany.

— Chcecie mi powiedzieć — ryknął na nich ten chłopiec... ten chłopiec!... NIC nie wie?

Harry uznał, że olbrzym posunął się trochę za daleko. Ostatecznie chodził do szkoły i wcale nie miał najgorszych stopni.

— Coś tam wiem — oświadczył. — Znam matkę i parę innych spraw.

Ale Hagrid tylko machnął ręką i powiedział:

— Mnie chodzi o nasz świat. Twój świat. Mój świat. Świat twoich rodziców.

— Jaki świat?

Hagrid wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować.

— DURSLEY! — zagrział.

Wuj Vernon, który zrobił się biały jak papier, wyjąkał coś w rodzaju "bdmwdm". Hagrid wpatrywał się w Harry'ego dzikim wzrokiem.

— Ale przecież musisz wiedzieć o swoich rodzicach. Ze byli sławni. Tak jak ty.

— Co? Moja... mama i mój tata byli... sławni?

— Ty nic nie wiesz... ty nic nie wiesz... — Hagrid czochnął się po głowie, utkwivszy w Harrym oszołomiony wzrok.

— A więc nie wiesz, kim jesteś? — zapytał w końcu. Wuj Vernon nagle odzyskał mowę.

— Stop! — krzyknął. — Ani słowa więcej! Zabraniam panu mówienia czegokolwiek temu chłopcu!

Spojrzenie, które mu rzucił Hagrid, odebrałoby odwagę dzielniejszemu od Vernona Dursleya, a kiedy olbrzym przemówił, każda sylaba drgała wściekłym gniewem.

— Nie powiedziałeś mu? Nie powiedziałeś mu, co było w liście, który przy nim zostawił Dumbledore? Ja tam byłem, Dursley! Widziałem, jak Dumbledore go zostawił! A ty ukrywałeś to przed nim przez tyle lat?

— Co przede mną ukrywał? — zapytał żywo Harry.

— STOP! ZABRANIAM CI! — ryknął przerażony wuj Vernon.

Ciotka Petunia dyszała głośno ze strachu.

— Ach, wypchajcie się... mugole — powiedział Hagrid. — Harry... jesteś czarodziejem.

W izbie zapadło milczenie. Słysząc było tylko morze i świst wiatru.

— Czym jestem? — wydyszał Harry.

— Czarodziejem, ma się rozumieć — odpowiedział Hagrid, siadając z powrotem na kanapie, która jęknęła i zapadła się jeszcze niżej — i powiedziałbym, że diabelnie dobrym, trzeba cię tylko trochę podszkolić. A niby czym miałbyś być, mając takich starych? I uważam, że już najwyższy czas, żebyś przeczytał ten list.

Harry wyciągnął rękę, by wziąć od niego żółtawą kopertę, zaadresowaną zielonym atramentem: Pan H. Potter, Podłoga, Chata na Skale, Morze. Wyjął list i przeczytał:

HOGWART

SZKOŁA MAGII i CZARODZIEJSTWA

Dyrektor: ALBUS DUMBLEDORE

(Order Merlina Pierwszej Klasy, Wielki Czar., Gł. Mag, Najwyższa Szucha, Międzynarodowa Konfed. Czarodziejów)

Szanowny Panie Potter,

Mamy przyjemność poinformowania Pana, że został Pan przyjęty do Szkoły Magii i Czarodziejstwa Hogwart. Dołączamy listę niezbędnych książek i wyposażenia.

Rok szkolny rozpoczyna się 1 września. Oczekujemy pańskiej sowy nie później niż 31 lipca. Z wyrazami szacunku,

*Minerwa McGonagall,
zastępca dyrektora ...*

Pytania eksplodowały w głowie Harry'ego jak fajerwerki i nie mógł się zdecydować, które zadać najpierw. Po kilku minutach wyjąkał:

— Co to znaczy, że oczekują mojej sowy?

— Galopujące gorgony! To mi coś przypomniało — rzekł Hagrid, uderzając się dłonią w czoło z siłą, która powaliłaby konia pociągowego, i z kolejnej kieszeni płaszcza wyciągnął sowę — najprawdziwszą, żywą, trochę rozczochraną sowę — długie pióro i rolkę pergaminu. Z językiem między zębami wyskrobał parę słów, które Harry zdołał odczytać do góry nogami:

*Drogi Profesor Dumbledore,
Oddałem Harry'emu list.
Jutro zabieram go na zakupy.
Pogoda okropna.
Ufam, żeś Pan zdrowy.
Hagrid*

Zwinął list w rulonik, podsunął sowie, która chwyciła go w dziób, podszedł do drzwi i wyrzucił ptaka w deszcz i nawałnicę. Potem wrócił i usiadł, jakby to, co zrobił, było tak normalne, jak krótka rozmowa przez telefon.

Harry zdał sobie sprawę, że ma otwarte usta, więc natychmiast je zamknął.

— O czym to ja mówiłem? — zapytał Hagrid, ale w tym momencie wuj Vernon, wciąż szary jak popiół, stanął w świetle ognia płonącego na palenisku.

— On nigdzie nie pójdzie — oświadczył stanowczo. Hagrid odchrząknął.

— Tak? Chętnie zobaczę, jak zatrzymuje go taki wielki mugol, jak ty.

— Kto? — zapytał Harry z najwyższym zainteresowaniem.

— Mugol — odrzekł Hagrid. — Tak nazywamy zwykłych, pozamagicznych gościów. Niestety, miałeś pecha dorastać w rodzinie największego mugola, jakiego oglądały moje oczy.

— Kiedy go wzięliśmy pod nasz dach, przysięgliśmy sobie, że położymy kres tym bzdurom — powiedział wuj Vernon — że wypełnimy to z niego! Czarodziej, też mi coś!

— Wiedzieliście — zapytał Harry. — Wiedzieliście, że jestem... czarodziejem?

— Wiedzieliście, wiedzieliście! — zaskrzeczała nagle ciotka Petunia. — Oczywiście, że wiedzieliśmy! A niby jak mógłbyś nim nie być, skoro moja przeklęta siostra była tym, kim była? Ona też kiedyś dostała taki list i zniknęła, żeby pójść do tego... do tej szkoły... i wracała w każde wakacje do domu z kieszeniami pełnymi żabiego skrzeku, zamieniając filiżanki w szczury. I tylko ja wiedziałam, kim ona jest naprawdę! A była potworem! Ale moja matka i mój ojciec... nic, tylko Lily to, Lily tamto... Oni byli po prostu dumni, że mają w rodzinie czarownicę!

Umilkła, żeby złapać oddech i po chwili znowu powróciła do swojej tyrady. Można by pomyśleć, że czekała wiele lat, żeby to wreszcie z siebie wyrzucić.

— Potem spotkała tego Pottera, skończyli szkołę i pobrali się, i ty im się urodziłeś, a ja oczywiście wiedziałam, że będziesz taki sam, tak samo dziwny, tak samo... nienormalny ... a potem, proszę bardzo, wyszła i wyleciała w powietrze, a ty wylądowałeś u nas!

Harry zbladł jak papier. Kiedy odzyskał mowę, zapytał:

— Wyleciała w powietrze? Mówiliście, że zginęła w wypadku samochodowym!

— W WYPADKU SAMOCHODOWYM! — ryknął Hagrid, zrywając się na nogi z taką wściekłością, że Dursleyowie szybko czmychnęli do swojego kąta. — Oni? A niby jak? Lily i James Potter w wypadku samochodowym! To stek bzdur! To skandal! Harry Potter nie wie nic o sobie, podczas gdy każdy dzieciak w naszym świecie zna jego imię!

— Ale dlaczego? Co się właściwie stało? — zapytał Harry.

Gniew spełził z twarzy Hagrida, ustępując miejsca niepokoju.

— Tegom się, cholibka, nie spodziewał — powiedział cichym głosem. — Dumbledore mówił mi, że mogą być kłopoty, ale nie miałem pojęcia, że ty o niczym nie wiesz. Ach, Harry, nie wiem, czy jestem właściwą osobą, żeby ci powiedzieć... ale ktoś musi... Nie możesz pójść do Hogwartu, nie wiedząc.

Rzucił Dursleyom wściekłe spojrzenie.

— No więc tak... opowiem ci najlepiej, jak potrafię... ale nie powiem ci wszystkiego, niech skonam, bo to wielka tajemnica...

Usiadł, popatrzył w ogień, a potem powiedział:

— To się chyba zaczęło od... od takiego gościa... ale naprawdę, trudno uwierzyć, że ty nie znasz jego imienia, każdy w naszym świecie je zna...

— Kogo?

— No... Nie lubię wypowiadać tego imienia, jak nie muszę. Nikt tego nie lubi.

— Dlaczego?

— Garbate gargulce, Harry, ludzie wciąż mają pietra. Cholibka, nie jest lekko. No więc był jeden czarodziej, który... no... zeźlił się. Znaczący się, zrobił się zły jak diabli. Gorszy. Gorszy niż gorszy. A nazywał się...

Hagrid przełknął ślinę, ale nie wypowiedział żadnego słowa.
— Może to napiszesz? — podsunął Harry.

— A czy ja wiem, jak to się pisze? No dobra... Voldemort. —
Wzdrygnął się. — Tylko nie każ mi tego powtarzać. No więc
ten... no... czarodziej, jakieś dwadzieścia lat temu, zaczął się
rozglądać za takimi, co będą go słuchać we wszystkim. No i
znalazł sobie kilku... jedni mieli stracha, drudzy pewno chcieli
móc to, co on, bo naprawdę był potęgą, niech skonam. To były
czarne dni, Harry. Nie mogliśmy się pokapować, koniu można
wierzyć, a komu nie, unikaliśmy obcych czarodziejów i
czarodziejek... mówię ci, robiło się coraz bardziej ponuro. A on
coraz bardziej się panoszył. Jasne, że byli tacy, co mu
podskoczyli... to ich pozabijał i już. Niech skonam. Zrobiło się
naprawdę przykro. Nie wiadomo było, gdzie się przed nim
ukryć. Tylko w Hogwarcie jeszcze było bezpiecznie.
Dumbledore był jedynym gościem, przed którym Sam—Wiesz
—Kto wymiękał. Tak czy owak nie śmiał zająć szkoły.

— Twoi starzy byli w czarach najlepsi. Mówię ci, w
Hogwarcie nie było na nich mocnych! Może dlatego Sam—
Wiesz—Kto nie próbował ich przedtem przekabacić... pewnie
wiedział, że są za blisko Dumbledore'a, żeby się zadawać z
Ciemną Stroną.

— Może myślał, że ich namówi... a może po prostu chciał
się ich pozbyć. Nie wiem. Wiadomo tylko, że pojawił się w
osiedlu, gdzie mieszkaliście. Dziesięć lat temu, w Noc Duchów.
Ty miałeś dopiero rok. Przyszedł do waszego domu i... i...

Nagle wyciągnął bardzo brudną chustkę w kropki i
wydmuchał nos, wydając przy tym odgłos przypominający
syrenę, którą się uruchamia podczas mgły.

— Przepraszam — powiedział. — Ale to takie przykre... ja
znałem twoją mamuszkę i twojego starego, to byli naprawdę
najfajniejsi ludzie, jakich można spotkać... No więc Sam—
Wiesz—Kto ich zakatrupił. Na śmierć. A potem... i to jest coś,

co naprawdę nie mieści się we łbie... próbował zabić i ciebie. Pewnie chciał odwalić robotę jak należy, na czysto, a może po prostu lubił zabijać, ja wiem? Ale nie mógł. Nigdy cię nie dziwiło, skąd masz ten sznyt na czole? To nie jest zwykłe rozcięcie. To się dostaje, kiedy ktoś cię łupnie jakimś złym zaklęciem... Rozwaliło twoich starych, rozwaliło cały dom... a ciebie... nic, tylko ta szrama. I właśnie dlatego, Harry, jesteś taki sławny. Jeszcze nie było takiego, co by przeżył, jak on postanowił kogoś ukatrupić, tylko ty, a trzeba ci wiedzieć, że on wykończył najlepsze czarodziejki i najlepszych czarodziejów naszych czasów... McKinnonów, Bonesów, Prewettów... a ty byłeś niemowlakiem, a jednak przeżyłeś.

W głowie Harry'ego działo się coś dziwnego i bardzo nieprzyjemnego. Kiedy opowieść Hagrida dobiegła końca, znowu ujrzał oślepiający błysk zielonego światła, ale tym razem o wiele wyraźniej, niż mu się to zdarzało wcześniej, i po raz pierwszy w życiu przypomniał sobie coś jeszcze: głośny, zimny, okrutny śmiech.

Hagrid wpatrywał się w niego ponuro.

— Ja sam wyciągnę cię z ruin domu, Harry, na rozkaz Dumbledore'a, ma się rozumieć. Zawiozłem cię do tego...

— Kupa starych bajek — oświadczył wuj Vernon.

Harry aż podskoczył; prawie zapomniawszy, że Dursleyowie są w izbie. Wuj Vernon najwyraźniej odzyskał odwagę. Spojrzał na Hagrida wściekłym wzrokiem, zaciskając pięści.

— A teraz posłuchaj mnie, chłopcze — warknął. — Zgadzasz się, że jesteś jakiś dziwny, ale porządne lanie na pewno by cię z tego wyleczyło... a co do tych bzdur o twoich rodzicach, no cóż, byli okropnymi dziwakami, to fakt, i osobiście uważam, że świat jest o wiele lepszym miejscem, odkąd się z nim pożegnali... zresztą sami się o to prosili, zadając się z tymi wszystkimi ciemnymi typkami... tego

właśnie się spodziewałem, zawsze wiedziałem, że źle skończą...

W tym momencie Hagrid zerwał się z kanapy i wyciągnął z płaszcza poobijany różowy parasol. Mierząc nim w wuja Vernona jak szpadą, powiedział:

— Ostrzegam cię, Dursley... ostrzegam cię... jeszcze jedno słowo...

Na widok ostrza parasola, które zbliżył do jego brzucha brodaty olbrzym, wuja Vernona ponownie opuściła odwaga: przywarł do ściany i zamilkł.

— Tak jest lepiej — rzekł Hagrid, dysząc ciężko i siadając z powrotem na kanapie, która tym razem zapadła się aż do podłogi.

Tymczasem w głowie Harry'ego kłębiły się setki pytań.

— Ale co się stało z Vol... przepraszam... to znaczy z Sam—Wiesz—Kim?

— Dobre pytanie, Harry. Zniknął. Rozpłynął się. Tej samej nocy, w której chciał cię zabić. Przez co stałeś się jeszcze bardziej sławny. To jest właśnie największa zagadka... przecież był już taką potęgą... dlaczego nagle gdzieś zniknął?

— Niektórzy opowiadają, że umarł. Ja uważam, że to bzdura. Skoro już prawie nie był człowiekiem, to niby co w nim miało umrzeć? Inni mówią, że wciąż gdzieś tu jest i tylko czeka na odpowiedni moment. W to też nie wierzę. Ludzie, którzy go słuchali, wrócili, przeszli na naszą stronę. Niektórzy jakby się obudzili z jakiegoś transu, czy co, mówią, że przedtem im odbiło, bo on ich zaczarował. Sam powiedz, przecież gdyby miał wrócić, to by ich tak łatwo nie puścił, nie?

— Większość nas uważa, że on gdzieś jest, ale utracił moc. Jest za słaby, żeby podskoczyć. A co go tak wykończyło? Ty, Harry. Coś w tobie. Coś się wydarzyło tamtej nocy, czego się nie spodziewałem... nie mam pojęcia, co to było, nikt tego nie wie... ale coś w tobie jest, co go skasowało, i to na fest.

W oczach Hagrida pobłykiwało ciepło i szacunek, kiedy patrzył na Harry'ego, ale ten, zamiast czuć się mile połączony, czuł tylko, że to wszystko jest jakąś okropną pomyłką. On czarodziejem? Niby jak? Dudley znęcał się nad nim, ciotka Petunia i wuj Vernon wrzeszczeli na niego od rana do wieczora; jeśli rzeczywiście jest czarodziejem, to dlaczego nie pozamieniali się w pokryte brodawkami ropuchy za każdym razem, kiedy zamykali go w komórce pod schodami? Jeśli kiedyś zwyciężył największego czarnoksiężnika na świecie, to dlaczego Dudley kopał go jak piłkę, kiedy tylko miał na to ochotę?

— Hagridzie — powiedział cicho — chyba zaszła jakaś pomyłka. Ja nie jestem żadnym czarodziejem. Ku jego zaskoczeniu, Hagrid zacmokał.

— Żadnym czarodziejem, tak? I nigdy nic się nie działo, kiedy bałeś się czegoś albo złościłeś?

Harry zapatrzył się w ogień. Teraz, kiedy o tym pomyślał... przypomniał sobie o tych wszystkich dziwnych wydarzeniach, które doprowadzały do szału ciotkę i wuja, a które rzeczywiście miały miejsce, kiedy był czymś przerażony albo wściekły... Kiedy ścigała go banda Dudleya, jakoś udawało mu się uciec... a kiedy bał się iść do szkoły z powodu tych okropnie obciętych włosów, jakoś mu odrosły... a ostatnio, jak Dudley go uderzył, czy się nie zemścił, chociaż nawet nie zdawał sobie z tego sprawy? A jak to było z tym boa dusicielem?

Spojrzał ponownie na Hagrida, uśmiechnął się i zobaczył, że olbrzym cały się rozpromienił.

— Widzisz? — powiedział Hagrid. — Harry Potterze, sam zobaczysz, że w Hogwarcie będziesz sławny, i całkiem słusznie. Wuj Vernon nie zamierzał jednak poddać się bez walki.

— Nie mówiłem ci, że on tam nie pójdzie? — syknął. — Pójdzie do gimnazjum Stonewall i będzie mi za to wdzięczny.

Czytałem te listy. Czytałem o tych wszystkich bzdurach i śmieciach, jakie niby będą mu tam potrzebne... te wszystkie księgi z zaklęciami, różdżki i...

— Już ci powiedziałem, że jak będzie chciał tam pójść, taki wielki mugol jak ty nie zdoła go powstrzymać — warknął Hagrid. — Powstrzymać syna Lily i Jamesa Potterów przed pójściem do Hogwartu, też mi coś! Całkiem ci odbiło. Był tam zapisany jeszcze przed swoim narodzeniem. Idzie do najlepszej szkoły magii i czarodziejstwa na całym świecie. Siedem lat i nie pozna samego siebie. Będzie tam razem z innymi podobnymi sobie młodziami, pod dobrą ręką największego z dyrektorów, jakich miał Hogwart, samego Albusa Dumble...

— NIE ZAMIERZAM PŁACIĆ JAKIEMUŚ ZWARIOWANEMU STAREMU GŁUPCOWI ZA UCZENIE GO MAGICZNYCH SZTUCZEK! — ryknął wuj Vernon.

Lecz tym razem posunął się za daleko. Hagrid chwycił parasol i wywinął nim młynka.

— NIGDY — zagrzmiał — NIE OBRAŻAJ... ALBUSA... DUMBLEDORE'A... W... MOJEJ... OBECNOŚCI!

Koniec parasola nagle znieruchomiał, wycelowany prosto w Dudleya. Błysnęło fioletowe światło, rozległ się suchy trzask, potem ostry kwik i w następnej sekundzie Dudley tańczył, trzymając się za swój tłusty zadek i wyjąc z bólu. A kiedy się odwrócił, Harry zobaczył zakręcony świński ogonek wystający z dziury w jego spodniach.

Wuj Vernon zaryczał. Wciągnawszy ciotkę Petunię i Dudleya do sąsiedniego pokoju, rzucił na Hagrida przerażone spojrzenie i zatrzasnął za sobą drzwi.

Hagrid spojrzął na swój parasol i pogłodził brodę.

— Nie powinienem wychodzić z nerw — powiedział spokojnie — ale i tak nie podziałało. Chciałem go zamienić w prosiaka, ale chyba jest już taką świnią, że bardziej się nie dało.

Zerknął z ukosa na Harry'ego.

— Będę ci wdzięczny, jak nie wspomnisz o tym nikomu w Hogwarcie — powiedział. — Prawdę mówiąc... ee... raczej nie powinienem używać zaklęć. Pozwolono mi tylko na parę sztuczek, żeby cię odnaleźć i jakoś ci dostarczyć te listy... i to był jeden z powodów, dla których chętnie się tego podjąłem.

— Dlaczego nie wolno ci używać zaklęć? — zapytał Harry.

— No... tego... sam byłem w Hogwarcie, ale... ee... mnie wyrzucono, prawdę mówiąc. Na trzecim roku. Złamali mi różdżkę i w ogóle. Ale Dumbledore pozwolił mi tam zostać... zrobił mnie gajowym. To równy gość, ten Dumbledore.

— Za co cię wyrzucono?

— Robi się późno, a jutro czeka nas kupa roboty — powiedział głośno Hagrid. — Musimy dostać się do miasta, kupić ci wszystkie książki i w ogóle.

Zdjął swój czarny płaszcz i podał Harry'emu.

— Przykryj się tym, będzie ci cieplej. Nie przejmuj się, jak będzie się trochę ruszało. W którejś kieszeni jest chyba parę myszy.

ROZDZIAŁ

PIĄTY

ULICA POKĄTNA



Następnego ranka Harry obudził się wcześniej. Chociaż wiedział, że już jest jasno, nie otwierał oczu.

— To był sen — powiedział sobie stanowczo. — Śnił mi się olbrzym Hagrid, który przyszedł, żeby mi powiedzieć, że mam pójść do szkoły czarodziejów. Kiedy otworzę oczy, będę znów w komórce pod schodami.

Nagle usłyszał donośne stukanie.

No tak, ciotka Petunia już stuka do drzwi, pomyślał Harry i zrobiło mu się smutno, ale wciąż nie otwierał oczu. To był taki cudowny sen.

Puk. Puk. Puk.

— No dobra — wymamrotał Harry. — Już wstaję.

Usiadł i wówczas zsunął się z niego czarny płaszcz Hagrida. Chata była pełna słońca, burza już przeszła, sam Hagrid spał na zapadniętej kanapie, a w okno stukała pazurem sowa, trzymając w dziobie gazetę.

Harry wstał, czując, że szczęście rozpiera go jak wielki balon, który ktoś w nim nadmuchuje. Podeszedł do okna i otworzył je szeroko. Sowa wleciała i upuściła gazetę prosto na Hagrida, który nawet nie drgnął, tylko spał dalej. Sowa wylądowała na podłodze i zaczęła atakować czarny płaszcz Hagrida.

— Przestań!

Harry próbował odpędzić sowę, ale kłapnęła na niego dziobem i dalej szarpała płaszcz.

— Hagrid! — zawołał Harry. — Tu jest sowa i...

— Zapłać jej — mruknął Hagrid ze swojej kanapy.

— Co?

— Chce zapłaty za dostarczenie przesyłki. Poszukaj w kieszeniach.

Płaszcz Hagrida składał się chyba z samych kieszeni — pęki kluczy, kulki chleba, miętówki, kłębki sznurków, torebki

herbaty... w końcu Harry wyciągnął garść dziwnych monet.

— Daj jej pięć knutów — powiedział Hagrid sennym głosem.

— Knutów?

— To te małe, brązowe.

Harry odliczył pięć brązowych monet, a sowa wyciągnęła nogę, do której był przywiązany skórzany woreczek, dając mu do zrozumienia, żeby włożył tam pieniądze. A potem wyleciała przez otwarte okno.

Hagrid ziewnął potężnie, usiadł i przeciągnął się.

— No, Harry, komu w drogę, temu czas, musimy się dostać do Londynu i kupić ci wszystko, czego potrzebujesz do szkoły.

Harry obracał w palcach monety. Właśnie pomyślał o czymś, co sprawiło, że poczuł się tak, jakby ktoś przekłuł ten balon.

— Mmm... Hagrid?

— Mmm? — odpowiedział Hagrid, wciągając wysokie buty.

— Ja nie mam pieniędzy... a słyszałeś, co mówił w nocy wuj Vernon... nie da ani grosza, żebym się uczył magii.

— Nie przejmuj się — rzekł Hagrid, wstając i drapiąc się po głowie. — Myślisz, że starzy nic ci nie zostawili?

— Ale skoro ich dom został zniszczony...

— Przecież nie trzymali złota w domu, chłopie! No więc najpierw do Gringotta. To bank czarodziejów. Zjedz kiełbasę, wcale nie są takie złe na zimno... a ja nie odmówiłbym też kawałka twojego urodzinowego tortu.

— Czarodzieje mają banki!

— Tylko jeden. Gringotta. Należy do goblinów. Harry upuścił kawałek kiełbasy.

— Goblinów!

— Taaa... więc tylko wariat próbowałby go obrabować, no nie? Nigdy nie zadzieraj z goblinami, Harry. Bank Gringotta to najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem, jeśli masz coś

cennego... oczywiście z wyjątkiem Hogwartu. Teraz mi się przypomniało, że i tak muszę odwiedzić Gringotta. Dumbledore mi kazał. No wiesz, sprawy szkoły. — Wypiął dumnie pierś. — Zwykle daje mi do załatwienia różne ważne sprawy. Sprowadzenie ciebie... zabranie czegoś u Gringotta... wie, że na mnie może polegać. No, mamy już wszystko? To idziemy.

Harry wyszedł za nim z chaty. Niebo było już czyste, a morze migotało w blasku słońca. Przy brzegu kołysała się łódź, którą wynajął wuj Vernon. Na dnice było pełno wody.

— Jak się tu dostałeś? — zapytał Harry, rozglądając się za jakąś inną łodzią.

— Przyleciałem.

— Przyleciałeś

— Taaa... ale wrócimy tą łajbą. Nie wolno mi używać czarów, kiedy nie muszę.

Wleźli do łodzi. Harry gapił się na Hagrida, próbując go sobie wyobrazić, jak fruwa.

— Chociaż... wstyd by było wiosłować — powiedział Hagrid, spoglądając na Harry'ego z ukosa. — Gdybym tak... tego... trochę przyspieszył... to chyba mogę liczyć na ciebie, że nie będziesz o tym gadał w Hogwarcie, co?

— Oczywiście — odpowiedział Harry, rad, że zobaczy nowe czary. Hagrid wyciągnął swój różowy parasol, stuknął nim dwa razy w burtę łodzi i pomknęli w stronę lądu.

— Dlaczego tylko wariat chciałby obrabować bank Gringotta? — zapytał Harry.

— Zaklęcia... czary — odrzekł Hagrid, rozkładając gazetę. — Mówią, że skarbcza strzegą tam smoki. No i musiałyby znać drogę, a to nie takie proste. Gringott leży setki mil pod Londynem, głęboko pod ziemią. Zdechłbyś z głodu, próbując tam się dostać, zanim byś coś stamtąd zwędził.

Harry siedział i rozmyślał nad tym, a Hagrid zabrał się do swojej gazety. Był to "Prorok Codzienny". Wuj Vernon nauczył Harry'ego, że nie wolno przeszkadzać ludziom, kiedy czytają gazetę, ale tyle było pytań... Harry z trudem się powstrzymywał, by nie zadać pierwszych dziesięciu.

— Ministerstwo Magii jak zwykle robi okropny bałagan — mruknął Hagrid, przewracając stronę.

— Więc jest Ministerstwo Magii? — zapytał Harry, zanim zdołał ugryźć się w język.

— Jasne — odrzekł Hagrid. — Oczywiście chcieli, żeby Dumbledore został ministrem, ale on nigdy by nie opuścił Hogwartu, więc zrobili nim starego Korneliusza Knota. W rzeczy samej straszny z niego partacz, co weźmie, to sknoci. Więc co rano przysłała Dumbledore'owi sowy, pytając o radę.

— Ale co to Ministerstwo Magii robi?

— No... ich główne zajęcie polega na ukrywaniu przed mugolami, że są jeszcze w tym kraju czarownice i czarodzieje.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Sam pomyśl, Harry, co by to było! Przecież każdy ma jakieś problemy i chciałby je załatwić za pomocą czarów. Nie, lepiej niech nas zostawią w spokoju.

W tym momencie łódka uderzyła łagodnie w ścianę przystani. Hagrid złożył gazetę i obaj wspięli się po kamiennych schodkach na nadbrzeże.

W drodze na dworzec Hagrid wzbudzał spore zainteresowanie wśród przechodniów, a Harry'emu trudno było mieć do nich o to pretensję. Hagrid był nie tylko dwa razy wyższy od normalnych ludzi, ale nieustannie wskazywał palcem na różne zwykłe rzeczy, takie jak parkomaty, i mówił na głos:

— Widzisz to, Harry? Widzisz, co wymyślili ci mugole, co?

— Hagridzie — powiedział Harry, lekko zadyszany, bo musiał dotrzymywać olbrzymowi kroku — więc w banku

Gringotta są smoki?

— No, tak mówią — odpowiedział Hagrid. — Cholibka, chciałbym mieć smoka.

— Chciałbyś mieć smoka?

— Zawsze chciałem mieć smoka, jeszcze jak byłem dzieckiem. No, jesteśmy.

Doszli do stacji. Pociąg do Londynu odchodził za pięć minut. Hagrid, który nie znał się na “pieniądzach mugoli”, jak je nazywał, dał kilka banknotów Harry’emu, żeby kupić im bilety.

W pociągu ludzie jeszcze bardziej wybałuszali na nich oczy. Hagrid zajął dwa miejsca i zajął się robieniem na drutach czegoś, co wyglądało jak kanarkowożółty namiot cyrkowy.

— Masz ten list, Harry? — zapytał, nie przerywając robótki.

Harry wyjął z kieszeni pergaminową kopertę.

— Dobra — rzekł Hagrid. — Tam jest lista wszystkiego, co ci będzie potrzebne.

Harry rozłożył drugi arkusz papieru, którego uprzednio nie zauważył, i przeczytał:

HOGWART

SZKOŁA MAGII i CZARODZIEJSTWA

UMUNDUROWANIE

Studenci pierwszego roku muszą mieć:

- 1. Trzy komplety szat roboczych (czarnych)*
 - 2. Jedną zwykłą spiczastą tiarę dzienną (czarną)*
 - 3. Jedną parę rękawic ochronnych (ze smoczej skóry albo podobnego rodzaju)*
 - 4. Jeden płaszcz zimowy (czarny, zapinki srebrne)*
- uwaga: wszystkie stroje uczniów powinny być zaopatrzone w naszywki z imieniem.*

PODRĘCZNIKI

Wszyscy studenci powinni mieć po jednym egzemplarzu następujących dzieł:

Standardowa księga zaklęć (1 stopień) Mirandy Goshawk

Dzieje magii Bathildy Bagshot

Teoria magii Adalberta Wafflinga

Wprowadzenie do transmutacji (dla początkujących)
Emerika Switcha

Tysiąc magicznych ziół i grzybów Phyllidy Spore

Magiczne wzory i napoje Arseniusa Jiggera

Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć Newta Scamandera

Ciemne moce: Poradnik samoobrony Quentina Trimble'a

POZOSTAŁE WYPOSAŻENIE

1 różdżka

1 kociołek (cynowy, rozmiar 2) 1 zestaw szklanych lub kryształowych fiolek 1 teleskop

1 miedziana waga z odważnikami

Studenci mogą także mieć jedną sowę ALBO jednego kota, ALBO jedną ropuchę.

PRZYPOMINA SIĘ RODZICOM, ŻE STUDENTOM PIERWSZYCH LAT NIE ZEZWALA SIĘ NA POSIADANIE WŁASNYCH MIOTEŁ

— I to wszystko można kupić w Londynie? — zdziwił się na głos Harry.

— Jak wiesz, gdzie szukać — odrzekł Hagrid.

Harry jeszcze nigdy nie był w Londynie. Natomiast Hagrid, choć sprawiał wrażenie, że wie, dokąd zmierza, najwidoczniej nie był przyzwyczajony do normalnych środków transportu. Ugrzązł w bramce do metra i uskarżał się głośno, że siedzenia są za wąskie, a pociąg za powolny.

— Nie mam pojęcia, jak ci mugole radzą sobie bez czarów — oświadczył, kiedy wspinali się po zepsutych ruchomych

schodach, które ich wyprowadziły na ruchliwą ulicę pełną sklepów.

Hagrid był tak wielki, że pruł przez tłum jak lodolamacz;

Harry'emu pozostawało tylko podążać za nim. Mijali księgarnie i sklepy muzyczne, kina i restauracje z hamburgerami, ale żaden sklep nie wyglądał na taki, w którym można by kupić różdżkę. Była to po prostu zwykła ulica zatłoczona zwykłymi ludźmi. Czy to możliwe, by setki mil pod nimi spoczywały stosy złota czarodziejów? Czy naprawdę są sklepy, w których sprzedaje się książki z zaklęciami i latające miotły? Czy to wszystko nie jest jakimś jednym wielkim żartem wysmażonym przez Dursleyów? Gdyby Harry nie wiedział, że Dursleyowie nie mają poczucia humoru, mógłby tak pomyśleć. A jednak, choć wszystko, co mu dotąd powiedział Hagrid, było zupełnie niewiarygodne, jakoś czuł do niego zaufanie.

— No i jest — oznajmił Hagrid, zatrzymując się. — Dziurawy Kocioł. To słynne miejsce.

Był to mały, brudny pub. Gdyby Hagrid nie wskazał palcem, Harry w ogóle by nie zauważył, że w tym miejscu jest pub. Ludzie mijali go, nawet nie zaszczycając spojrzeniem. Ich wzrok ślizgał się od wielkiej księgarni po jednej stronie pubu do sklepu z płytami gramofonowymi z drugiej strony, jakby w ogóle Dziurawego Kotła nie dostrzegali. Prawdę mówiąc, Harry miał dziwne wrażenie, że widzi go tylko on i Hagrid. Zanim zdążył zrobić na ten temat uwagę, Hagrid wepchnął go do środka.

Jak na słynne miejsce, było ciemne i obskurne. W kącie siedziało kilka staruszek, popijających sherry z maleńkich szklaneczek. Jedna paliła długą fajkę. Jakiś człeczyna w spiczastym kapeluszu rozmawiał z barmanem, który był całkowicie łysy, bezzębny i pomarszczony niczym orzech włoski. Kiedy weszli, rozmowy ucichły. Wszyscy musieli dobrze

znać Hagrida: machali do niego i uśmiechali się, a barman sięgnął po szklankę, mówiąc:

— To co zwykle, Hagrid?

— Nie mogę, Tom, mam na głowie sprawy Hogwartu — odpowiedział Hagrid i klepnął po ramieniu Harry'ego, pod którym ugięły się kolana.

— Dobry Boże — rzekł barman, zerkając na Harry'ego — czy to... czy to może być...

W Dziurawym Kotle zrobiło się nagle zupełnie cicho, a wszyscy zamarli bez ruchu.

— Na mą duszę — wyszeptał stary barman — Harry Potter... cóż za zaszczyt.

Wyszedł pospiesznie zza baru, podszedł do Harry'ego i ze łzami w oczach uściśnął mu rękę.

— Witamy, panie Potter! Cieszymy się z pana powrotu.

Harry nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszyscy się na niego gapili. Staruszka pykała fajkę, nie zdając sobie sprawy, że zgasła. Hagrid promieniał.

Potem rozległo się ogólne szuranie krzesłami i wszyscy rzucili się do Harry'ego, żeby mu uściśnąć rękę.

— Doris Crockford, panie Potter. Nie mogę uwierzyć, że w końcu pana spotkałam.

— Taki jestem dumny, panie Potter, taki jestem dumny.

— Zawsze marzyłam, żeby uściśnąć pańską dłoń... jestem cała w nerwach.

— Jestem tak wzruszony, panie Potter, że trudno mi znaleźć słowa. Jestem Diggle, Dedalus Diggle.

— Ja już pana spotkałem! — powiedział Harry, kiedy Dedalusowi Diggle z emocji spadł spiczasty kapelusz. — Kłaniał mi się pan w sklepie.

— Pamięta! — krzyknął Dedalus Diggle, rozglądając się z dumą. — Słyszeliście? On mnie pamięta!

Harry ścisnął mnóstwo rąk — Doris Crockford podeszła po raz drugi.

Przez tłum przecisnął się jakiś blady młodzieniec, bardzo zdenerwowany. Jedno oko drgało mu gwałtownie.

— Profesor Quirrell! — powiedział Hagrid. — Harry, profesor Quirrell będzie jednym z twoich nauczycieli w Hogwarcie.

— P—P—Potter — wyjąkał profesor Quirrell, chwytając dłoń Harry'ego — t—t—trudno mi w—wypowiedzieć, jak b—bardzo m—miło mi pana p—p—poznać.

— Jakiego rodzaju magii pan naucza, panie profesorze?

— Ob—b—rony p—przeciw cie—e—emnym m—m—mocom — wymamrotał profesor Quirrell takim tonem, jakby nie warto było o tym wspominać. — N—nie m—mówię, że p—pan t—tego p—potrzebuje, P—P—Potter... — Zaśmiał się nerwowo. — B—b—będzie p—pan nabywał w—wyposażenie, co, P—P—Potter? S—s—sam muszę z—z—z—znaleźć ja—jakąś nową k—książkę o wampirach... — Wyglądał na przerażonego samą tą myślą.

Ale inni nie pozwolili profesorowi tak długo absorbować Harry'ego swoją osobą. Upłynęło z dziesięć minut, zanim się wszystkich pozbyli. W końcu Hagridowi udało się przekrzyczeć podniecony gwar.

— Musimy iść... Mamy mnóstwo do kupienia. Chodź, Harry.

Doris Crockford po raz ostatni uścisnęła Harry'emu rękę i Hagrid wyprowadził go tylnymi drzwiami na małe, zamknięte podwórko, gdzie stał tylko pojemnik na śmieci i rosło parę chwastów.

Hagrid wyszczerzył do Harry'ego zęby.

— A nie mówiłem? Powiedziałem ci, że jesteś sławny, chłopie. Nawet profesor Quirrell rozdygotał się na twój widok... no, prawdę mówiąc, to on zawsze dygoce.

— Zawsze jest taki zdenerwowany?

— Przeważnie. Biedny facet. Ma naprawdę wielki łeb. Wszystko było dobrze, póki studiował z książek, ale później sam się wziął za eksperymentowanie... Mówią, że miał przykre spotkanie z wampirami w Czarnej Puszczy, a później trochę kłopotów z pewną wiedźmą... Już nigdy nie był taki, jak przedtem. Boi się studentów, boi się tego, czego naucza... Zaraz, gdzie jest mój parasol?

Wampiry? Wiedźmy? Harry miał już zamęt w głowie. Tymczasem Hagrid liczył cegły w murze nad śmietnikiem.

— Trzy do góry... dwie w bok... — mruczał pod nosem. — Dobra, odsuń się, Harry.

Zastukał trzy razy w mur końcem parasola.

Cegła, w którą zastukał, drgnęła — przekręciła się — ukazała się mała dziura — dziura robiła się coraz większa — w chwilę później stali przed sklepionym przejściem dostatecznie wysokim nawet dla Hagrida, przejściem wiodącym na brukowaną ulicę, która ginęła za pobliskim zakrętem.

— Witaj — rzekł Hagrid — na ulicy Pokątnej.

Uśmiechnął się, widząc zdumienie na twarzy Harry'ego. Przeszli pod kamiennym łukiem. Harry obejrzał się przez ramię i zobaczył za sobą ceglany mur. Wejście znikło.

Słońce połyskiwało w stosie kotłów przed najbliższym sklepem. **KOTŁY — WSZYSTKIE ROZMIARY — MIEDZIANE, MOSIĘŻNE, CYNOWE, SREBRNE — SAMOMIESZALNE — SKŁADANE** — głosił szyld nad sklepem.

— Taaa... kociołek będzie ci potrzebny — rzekł Hagrid — ale najpierw musimy dostać twoją forszę.

Harry marzył, żeby mieć dodatkowe cztery pary oczu. Obracał głowę we wszystkie strony, starając się zobaczyć wszystko: sklepy, wystawione przed nimi towary, ludzi robiących zakupy. Przed apteką jakaś pulchna kobieta kręciła głową, mruczając do siebie:

— Siedemnaście syklów za smoczą wątrobę, oni chyba powariowali...

Ciche pohukiwanie dobiegało z ciemnego sklepu z szyldem, na którym było napisane: CENTRUM HANDLOWE EEEYLOPA — SOWY — PUCHACZE, SYCZKI, WŁOCHATKI, USZATKI ŚNIEŻNE. Kilku chłopców w wieku Harry’ego przyciskało nosy do witryny z miotłami.

— Zobaczcie — usłyszał Harry jednego z nich — nowe Nimbussy Dwa Tysiące... są najszybsze...

Były też sklepy z szatami, sklepy z teleskopami i dziwnymi srebrnymi instrumentami, które Harry widział po raz pierwszy w życiu, witryny pełne beczulek ze śledzionami nietoperzy i oczkami węgorzy, stosy ksiąg z zaklęciami, pióra, zwoje pergaminu, butelki z magicznymi napojami, globusy księżyca...

— Bank Gringotta — powiedział Hagrid.

Doszli do śnieżnobiałego budynku, który wyrastał ponad okoliczne sklepy. A obok potężnych drzwi z brązu, w szkarłatno—złotej liberii, stał...

— Tak... to jest goblin — powiedział cicho Hagrid, kiedy kroczyli ku niemu po białych, kamiennych schodach. Goblin był prawie o głowę niższy od Harry’ego. Miał śniadą, chytrą twarz, spiczastą bródkę i, jak zauważył Harry, bardzo długie palce i stopy. Ukłonił się, kiedy podeszli bliżej. Weszli do środka. Były tam drugie drzwi, tym razem srebrne, z wygrawerowanymi słowami:

*Wejdziesz tu, przybyszu, lecz pomnij na los,
Tych, którzy dybią na cudzy trzos.
Bo ci, którzy biorą, co nie jest ich,
Wnet pożałują żądz niskich swych.
Więc jeśli wchodzisz, by zwiedzić loch
I wykraść złoto, obrócisz się w proch.*

*Złodzieju, strzeż się, usłyszałeś dzwon
Co ci zwiastuje pewny, szybki zgon
Jeśli zagarniesz cudzy trzos,
Znajdziesz nie złoto, lecz marny los.*

— Jak mówiłem, trzeba być wariatem, żeby próbować tu się włamać — powiedział Hagrid.

Po przejściu przez srebrne drzwi znaleźli się w wielkiej marmurowej sali. Na wysokich stołkach, za długim kontuarem, siedziało ze stu goblinów, skrobiąc piórami w wielkich księgach rachunkowych, odważając monety na mosiężnych wagach, badając drogie kamienie przez lupy. W ścianach było mnóstwo drzwi, a przy każdym stało dwóch goblinów, którzy wskazywali drogę wchodzącym i wychodzącym klientom, kłaniając im się uprzejmie. Hagrid i Harry podeszli do kontuaru.

— Dzień dobry — powiedział Hagrid do jakiegoś wolnego goblina. — Przyszliśmy, żeby wziąć trochę pieniędzy z sejfu pana Harry’ego Pottera.

— Czy szanowny pan ma swój klucz?

— Gdzieś go muszę mieć — odrzekł Hagrid i zaczął wykladać na kontuar zawartość swoich kieszeni, wysypując przy tym na otwartą księgę rachunkową garść rozmiękłych sucharów dla psów. Goblin zmarszczył nos. Harry obserwował drugiego goblina, po prawej stronie, który ważył stosik rubinów rozmiarów węgla w kominku.

— Mam — oznajmił w końcu Hagrid, podnosząc rękę z małym złotym kluczykiem. Goblin obejrzał kluczyk z bliska.

— Chyba jest w porządku.

— I mam też list od profesora Dumbledore’a — dodał Hagrid, wypinając pierś. — Na temat Sam—Wiesz—Czego w krypcie siedemset trzynaście.

Goblin uważnie przeczytał list.

— W porządku — powiedział, oddając list Hagridowi. — Zaraz ktoś panów zaprowadzi do obu krypt. Gryfek!

Gryfek okazał się kolejnym goblinem. Kiedy Hagrid zgarnął z powrotem swoje suchary dla psów i wsypał je do kieszeni, poszli za Gryfkiem ku jednemu z wielu drzwi.

— Co to jest Sam—Wiesz—Co w krypcie siedemset trzystaście? — zapytał Harry.

— Nie mogę ci powiedzieć — odparł tajemniczo Hagrid. — Ściśle tajne. Sprawy Hogwartu. Dumbledore mi zaufał. Gdybym ci powiedział, straciłbym nie tylko posadę.

Gryfek otworzył przed nimi drzwi. Harry spodziewał się jakichś nowych marmurów, więc był zaskoczony tym, co zobaczył. Znaleźli się w wąskim, kamiennym korytarzu, oświetlonym płonącymi pochodniami. Korytarz biegł nieco w dół, a w posadzce widniały wąskie szyny. Gryfek gwizdnął i po szynach potoczył się ku nim mały wózek. Wsiedli do niego — Hagrid z pewną trudnością — i pojechali.

Z początku pędzili labiryntem krętych korytarzy. Harry próbował zapamiętać kolejne skręty: w lewo, w prawo, w prawo, w środkowy, w prawo, w lewo, ale było to niemożliwe. Grzechoczący wózek zdawał się sam znać drogę, bo Gryfek wcale nim nie kierował.

Pęd powietrza sprawiał, że piekło w oczach, ale Harry starał się ich nie zamykać. Raz wydawało mu się, że zobaczył wybuch ognia na końcu któregoś z korytarzy i wykręcił się, żeby zobaczyć, czy to nie smok, ale już było za późno — zagłębiali się coraz niżej, mijając podziemne jezioro, gdzie ze sklepienia i posadzki wyrastały olbrzymie stalaktyty i stalagmity.

— Nigdy nie wiem — zawołał Harry do Hagrida, przekrzykując hałasujący wózek — jaka jest różnica między stalagmitami a stalaktytami!

— Stalagmity mają w środku “m” — odpowiedział mu Hagrid. — I nie pytaj mnie teraz o nic, bo chyba trochę mnie zemdliło.

Rzeczywiście pozieleniał na twarzy, a kiedy w końcu wózek zatrzymał się przed małymi drzwiczkami w ścianie korytarza, wysiadł i oparł się o nią, żeby opanować dygotanie kolan.

Gryfek otworzył drzwiczki. Ze środka buchnęły kłęby zielonego dymu, a kiedy się rozwiały, Harry’ego aż zatkało. Wewnątrz były góry złotych monet. Kolumny srebrnych. Stosy małych brązowych knutów.

— To wszystko twoje — oświadczył z uśmiechem Hagrid.

Naprawdę, trudno było w to uwierzyć. Dursleyowie z pewnością o tym nie wiedzieli, bo już dawno odebraliby mu wszystko w mgnieniu oka. Jak często wypominali, ile kosztuje jego utrzymanie! A przez cały czas, głęboko pod Londynem, leżała ukryta ta mała fortuna, należąca do niego — do Harry’ego Pottera!

Hagrid pomógł mu zgarnąć trochę monet do torby.

— Te złote to galeony — wyjaśnił. — Siedemnaście srebrnych syklów to jeden galeon, a dwadzieścia jeden knutów to syki. To łatwe. No dobra, wystarczy tego na parę semestrów, reszta przyda ci się później. — Odwrócił się do Gryfka. — A teraz krypta siedemset trzynaście, tylko trochę wolniej, dobrze?

— Wózki mają tylko jedną prędkość — odrzekł Gryfek.

Teraz pędzili coraz niżej i coraz szybciej, a kiedy tak mknęli ciasnymi korytarzami, robiło się coraz zimniej. Przejechali z hałasem nad podziemną przepaścią i Harry wychylił się, by zobaczyć, co jest na jej ciemnym dnie, ale Hagrid jęknął i wciągnął go z powrotem za kołnierz.

W drzwiczkach krypty siedemset trzynaście nie było dziurki od klucza.

— Cofnijcie się — powiedział Gryfek ważnym tonem. Pogładził drzwiczki jednym ze swoich długich palców, a drzwiczki po prostu się rozplynęły.

— Gdyby spróbował to zrobić ktokolwiek poza goblinami Gringotta, wciągnęłoby go przez otwór do środka i znalazłby się w pułapce — rzekł Gryfek.

— Jak często sprawdzacie, czy w środku kogoś nie ma? — zapytał Harry.

— Raz na dziesięć lat — odpowiedział Gryfek z paskudnym uśmiechem.

Harry był pewny, że wewnątrz tej supertajnej skrytki musi być coś naprawdę niezwykłego. Zajrzał do środka niecierpliwie, spodziewając się, że w końcu zobaczy te słynne klejnoty, ale w pierwszej chwili wydało mu się, że sejf jest pusty. Dopiero po chwili dostrzegł leżącą na podłodze paczkę owiniętą zwykłym brązowym papierem. Hagrid wyjął ją ze skrytki i schował w swym przepastnym płaszczu. Harry bardzo chciał się dowiedzieć, co jest w środku, ale wolał nie pytać.

— No dobra, ładujemy się na ten piekielny wózek i nie mów do mnie nic po drodze, bo mi trochę lepiej, jak zaciskam zęby — powiedział Hagrid.

Po kolejnej dzikiej przejażdżce wózkiem stanęli przed bankiem Gringotta, mrużąc oczy w słońcu. Teraz, mając torbę pełną pieniędzy, Harry nie wiedział, dokąd najpierw pójść. Nie miał pojęcia, ile galeonów przypada na funta lub odwrotnie, więc nie wiedział też, że ma w tej torbie więcej pieniędzy, niż miał w całym życiu — więcej nawet, niż miał kiedykolwiek Dudley.

— No, to możemy kupić ci mundurek — rzekł Hagrid, wskazując na szyld: *MADAME MALKIN — SZATY NA WSZYSTKIE OKAZJE*. — Posłuchaj, Harry, chyba nie masz nic naprzeciw, żebym skoczył sobie do Dziurawego Kotła na

szklaneczkę czegoś mocniejszego? Nie znoszę tych wózków u Gringotta. — Wciąż wyglądał nie najlepiej, więc Harry wszedł do sklepu madame Malkin sam, nie czując się zbyt pewnie.

Madame Malkin była przysadzistą, uśmiechniętą czarownicą ubraną na fiołkoworóżowo.

— Hogwart, tak, kochasiu? — powiedziała, zaledwie Harry otworzył usta. — Ostatnio wielu was mnie odwiedza... właśnie dopasowujemy szatę innemu młodzieńcowi, który też tam się wybiera.

W głębi sklepu stał na stołku chłopiec o bladej, chudej twarzy, a inna czarownica upinała na nim długą czarną szatę. Madame Malkin kazała Harry'emu wejść na drugi stołek, włożyła mu przez głowę szatę i zaczęła zaznaczać szpilkami właściwą długość.

— Cześć — powiedział chłopiec. — Też do Hogwartu?

— Tak.

— Ojciec kupuje mi książki w sąsiedniej księgarni, a matka szuka różdżki — oznajmił chłopiec. Miał nudny głos i pretensjonalnie przeciągał sylaby. — A potem namówię starych, żebyśmy odwiedzili sklep z miotłami wyścigowymi. Nie rozumiem, dlaczego na pierwszym roku nie można mieć własnych mioteł. Będę musiał naciągnąć ojca na któryś z najnowszych modeli, a potem jakoś ją przemycę do Hogwartu.

Harry'emu nagle przypomniał się Dudley.

— A ty masz własną miotłę? — zapytał chłopiec.

— Nie.

— W ogóle grasz w quidditcha?

— Nie — wyznał Harry, zastanawiając się, co to może być.

— Boja gram... Ojciec uważa, że byłoby hańbą, gdyby mnie nie wybrano do drużyny, a ja się z nim zgadzam. Wiesz już, w jakim będziesz domu?

— Nie — powtórzył po raz trzeci Harry, czując się coraz głupiej.

— No, nikt tego nie wie, zanim się tam nie znajdzie, ale ja na pewno będę w Slytherinie. Jak wszyscy z naszej rodziny... Wyobraź sobie, że trafiasz do Hufflepuffu... ja bym chyba rzucił budę, a ty?

— Mmm — mruknął Harry, żałując, że nie potrafi powiedzieć nic ciekawszego.

— Patrz, ale facet! — zawołał nagle chłopiec, wskazując na frontowe okno.

Stał tam Hagrid, uśmiechając się do Harry'ego, pokazując mu dwa wielkie lody i dając do zrozumienia, że nie może z nimi wejść.

— To Hagrid — powiedział Harry, uradowany, że wie o czymś, o czym nie wie ten chłopiec. — Pracuje w Hogwarcie.

— Och, tak, słyszałem o nim. Jest czymś w rodzaju służącego, no nie?

— Jest gajowym — odpowiedział Harry. Czuł, że coraz mniej lubi tego chłopca.

— Tak, teraz sobie przypominam. Słyszałem, że jest... no, dzikusiem... mieszka w chacie na skraju parku i wciąż się zalewa w trupa, próbuje coś wyczarować, ale zwykle udaje mu się tylko podpalić swoje łóżko.

— Uważam, że to równy gość — rzekł chłodno Harry.

— Naprawdę! — zdziwił się chłopiec nieco kpiącym tonem. — Dlaczego jest z tobą? Gdzie są twoi rodzice?

— Niczyją — odrzekł krótko Harry. Nie miał ochoty zwierzać się temu chłopcu.

— Och, bardzo mi przykro — powiedział chłopiec, choć ton jego głosu wcale na to nie wskazywał. — Ale byli jednymi z nas, prawda?

— Matka była czarodziejką, a ojciec czarodziejem, jeśli ci o to chodzi.

— Bo ja uważam, że obcych nie powinni w ogóle wpuszczać do Hogwartu, a ty? Oni są zupełnie inni i nigdy nie staną się

tacy jak my. Niektórzy z nich nie wiedzą nic o Hogwarcie, dopóki nie dostaną listu, masz pojęcie? Uważam, że te sprawy powinny być zarezerwowane tylko dla starych czarodziejskich rodów. A ty jaki masz przydomek rodowy?

Na szczęście, zanim Harry zdążył coś odpowiedzieć, madame Malkin oznajmiła:

— Gotowe, kochasiu.

Harry, rad, że znalazł się pretekst, by przerwać tę głupią rozmowę, zeskoczył ze stołka.

— No to cześć, chyba się zobaczymy w Hogwarcie — pożegnał się z nim ten okropny nudziarz.

Harry był trochę nieswój, kiedy jadł lody, które kupił mu Hagrid (czekoladowe i truskawkowe, posypane wiórkami orzechowymi).

— Coś się stało? — zapytał Hagrid.

— Nie, nic — skłamał Harry.

Wstąpili do jakiegoś sklepu, żeby kupić pergamin i pióra. Harry odzyskał nieco humor, kiedy znalazł butelkę atramentu zmieniającego kolor podczas pisania. Wyszli ze sklepu, a Harry zapytał:

— Hagridzie, co to jest quidditch?

— Cholibka, Harry, wciąż zapominam, że ty tak mało wiesz... Nie wiesz, co to jest quidditch?

— No dobra, nie wiem, ale nie musisz mi jeszcze bardziej dokładać. — I opowiedział mu o bladym chłopcu, którego poznał u madame Malkin.

— ...i mówił, że ludzi z rodzin mugoli w ogóle nie powinno się tam wpuszczać...

— Ale ty nie jesteś z rodziny mugoli. Gdyby wiedział, kim ty jesteś... Harry, jeśli jego rodzice są z naszych, to on zna twoje imię od urodzenia! Widziałeś, co się działo w Dziurawym Kotle, nie? W każdym razie wiem jedno: niektórzy z najlepszych w tej branży byli jedynymi czarodziejami w swojej rodzinie, a nawet

w ciągu kilku pokoleń mugoli... Wystarczy wspomnieć twoją matkę! I wystarczy popatrzeć, kim jest jej siostra!

— Więc co to jest quidditch?

— To nasza gra. Gra czarodziejów. To coś jak... jak piłka nożna w świecie mugoli... no, każdy wie, co to jest quidditch... w to się gra w powietrzu, na miotłach, i są cztery piłki... Cholibka, nie jest tak łatwo wyjaśnić zasady.

— A co to jest Slytherin i Hufflepuff?

— Szkolne domy. Są cztery. Wszyscy mówią, że w Hufflepuffie są same niezdary, ale...

— Założę się, że trafię do Hufflepuffu — powiedział ponuro Harry.

— Lepszy Hufflepuff niż Slytherin — rzekł Hagrid złowieszczym tonem. — Z tych, co zeszli na złą drogę, każdy był w Slytherinie. Sam—Wiesz—Kto też tam był.

— To Vol... przepraszam... Sam—Wiesz—Kto był w Hogwarcie?

— Wiele lat temu.

Weszli do księgarni. Wzdłuż ścian były tam półki od podłogi do sufitu, a na nich księgi oprawione w skórę, wielkie jak płyty chodnikowe, małe książki oprawione w jedwab, rozmiarów znaczków pocztowych, książki pełne dziwnych symboli i kilka książek, w których nic nie było. Chyba nawet Dudley, który nigdy nic nie czytał, chciałby wziąć niektóre z nich do rąk. Hagrid musiał prawie siłą odciągać Harry'ego od grubego dzieła pod tytułem: Zaklęcia i przeciwzaklęcia (oczaruj swoich przyjaciół i pognęb swoich wrogów ostatnimi nowościami: Nagła Utrata Włosów, Galaretowate Nogi, Język w Supeł i wiele, wiele, wiele innych) pióra profesora Vindictusa Viridiana.

— Chciałem znaleźć coś na Dudley a.

— Nie twierdzę, że to zły pomysł, ale nie wolno ci używać czarów w świecie mugoli, chyba że w bardzo szczególnych

okolicznościach — powiedział Hagrid. — A zresztą i tak by ci nic nie wyszło, chłopie, trzeba się długo uczyć, żeby osiągnąć taki poziom.

Hagrid nie pozwolił kupić Harry'emu kociołka ze szczerego złota ("Napisane jest, że ma być cynowy"). Kupili też bardzo ładną wagę do odważania składników eliksirów i składany mosiężny teleskop. Potem odwiedzili aptekę, gdzie aż zatykało od okropnego zapachu, który najbardziej przypominał zepsute jajka i zgniłą kapustę. Na podłodze stały beczułki pełne jakiejś galaretowatej masy, na półkach puszek i kosze z ziołami, ususzonymi korzeniami i kolorowymi proszkami, z sufitu zwieszały się pęczki piór, sznurki kłów i pazurów. Hagrid zamawiał u aptekarza podstawowe składniki eliksirów, a Harry oglądał z wypiekami na twarzy srebrne rogi jednorożca (po dwadzieścia jeden galeonów każdy) i maleńkie, połyskujące oczy żuków (pięć knutów szufelka).

Kiedy wyszli z apteki, Hagrid jeszcze raz przejrzał listę Harry'ego.

— No, to brakuje nam tylko różdżki... tak... no i wciąż nie kupiłem ci prezentu urodzinowego. Harry poczuł, że się rumieni.

— Ale przecież nie musisz...

— Wiem, że nie muszę. Wiesz co, kupię ci zwierzątko. Nie ropuchę... ropuchy już dawno wyszły z mody, wyśmialiby cię... i osobiście nie lubię kotów, zawsze przy nich kicham. Kupię ci sowę. Wszystkie chłopaki chcą mieć sowy, są bardzo pożyteczne, zaniósą ci list, co zechcesz...

Dwadzieścia minut później opuścili Centrum Handlowe Eeylopa, mroczny sklep pełen szelestów, łopotów i oczu jarzących się jak klejnoty. Harry dźwigał wielką klatkę z piękną śnieżną sową, która spała z głową schowaną pod skrzydłem, i raz po raz dziękował Hagridowi, jaskając się prawie tak, jak profesor Quirrell.

— Ależ daj spokój — burknął Hagrid. — Nie spodziewaj się wielu prezentów od Dursleyów. No, został nam już tylko Ollivander... jedyne miejsce, gdzie sprzedają różdżki, a ty musisz mieć najlepszą.

Różdżka magiczna... To było coś, co wprawiło Harry'ego w prawdziwe podniecenie.

Ten ostatni sklep był wąski i wyglądał dość nędznie. Złuszczone złote litery nad drzwiami układały się w napis: *OLLIVANDEROWIE: WYTWÓRCY NAJLEPSZYCH RÓZDŻEK OD 382 R. PRZED NOWĄ ERA.* Na zakurzonej wystawie leżała na wyblakłej poduszce jedna jedyna różdżka.

Kiedy przekroczyli próg, gdzieś w głębi sklepu zabrzmiał dzwoneczek. Był to maleńki sklep, zupełnie pusty, jeśli nie liczyć jednego krzesła z wysokim oparciem, na którym usiadł Hagrid, i wąskich pudełek piętrzących się od podłogi do sufitu. Harry miał wrażenie, jakby się znalazł w jakiejś tajnej bibliotece. W głowie kłębiło mu się mnóstwo pytań, czuł też dziwne mrowienie w karku. W tym wnętrzu nawet kurz i cisza zdawały się przesycone magią.

— Dobry wieczór — rozległ się cichy głos. Harry aż podskoczył. Hagrid też musiał podskoczyć, bo coś trzasnęło i olbrzym szybko poderwał się z krzesła.

Jak spod ziemi wyrósł przed nimi staruszek o wielkich oczach, które w półmroku płonęły blado jak dwa księżyce.

— Dobry wieczór — wyjąkał Harry.

— Ach, tak... Tak, tak. Tak sobie myślałem, że wkrótce cię zobaczę, Harry Potterze. Masz oczy swojej matki. Wydaje mi się, jakby była tu zaledwie wczoraj, żeby kupić swoją pierwszą różdżkę. Dziesięć i ćwierć cala, wierzba, bardzo elegancka. Znakomita do rzucania uroków.

Pan Ollivander zbliżył się do Harry'ego. Harry poczuł, że ma wielką ochotę zamrużyć powiekami. Te srebrzyste oczy były trochę zbyt przenikliwe.

— Natomiast twój ojciec wybrał mahoń. Jedenaście cali. Bardzo poręczna. Trochę więcej mocy, znakomita do transmutacji. Tak, tak, twój ojciec wiedział, co robi, to różdżka dla prawdziwego czarodzieja.

Pan Ollivander podszedł do Harry'ego tak blisko, że prawie stykali się nosami. Harry zobaczył swoje odbicie w tych tajemniczych, srebrnych oczach.

— Ach, to tutaj...

Pan Ollivander dotknął białym, długim palcem blizny na czole Harry'ego.

— Muszę z przykrością stwierdzić, że różdżka, która do tego posłużyła, została zakupiona w moim sklepie — powiedział cicho. — Trzydzieści i pół cala. Cisowa. Duża moc, naprawdę duża moc, a w złych rękach... No cóż, gdybym wiedział, czyje to będą ręce i do czego posłuży...

Pokręcił głową i wówczas, ku uldze Harry'ego, dostrzegł Hagrida.

— Rubeus! Rubeus Hagrid! Jakże miło znowu pana zobaczyć... Dąb, szesnaście cali, nieco wygięta, prawda?

— Zgadza się, szanowny panie — odpowiedział Hagrid.

— Całkiem niezła. Sądzę, że przełamali ją na pół, kiedy pana wyrzucali? — zapytał Ollivander surowym tonem.

— Ee... tak zrobili, szanowny panie — odrzekł Hagrid, szurając butami. — Ale wciąż mam te kawałki — dodał.

— Ale chyba ich pan nie używa? — zapytał ostro Ollivander.

— Ale nie, skądże znowu — odpowiedział szybko Hagrid. Harry spostrzegł, że olbrzym zacisnął palce na swoim różowym parasolu.

— Hmm — mruknął pan Ollivander, przeszywając Hagrida wzrokiem. — No dobrze... Teraz pan Potter. Popatrzmy. — Wyciągnął z kieszeni długą taśmę ze srebrną podziałką. — Która ręka ma moc?

— Ee... jestem praworęczny — powiedział Harry.

— Wyciągnij ją. O, tak.

Zmierzył Harry'emu rękę od ramienia do palca wskazującego, potem od nadgarstka do łokcia, a następnie odległości od ramienia do podłogi i od kolana do pachy, a wreszcie obwód głowy.

— Każda różdżka od Ollivandera ma rdzeń z jakiejś potężnej substancji magicznej, panie Potter. Używamy rogów jednorożca, piór z ogona feniksa i smoczyc serc. Nie ma dwóch jednakowych różdżek, podobnie jak nie ma dwóch jednakowych jednorożców, smoków czy feniksów. No i, oczywiście, nigdy się nie osiągnie równie pomyślnych rezultatów, używając różdżki innego czarodzieja.

Harry nagle zdał sobie sprawę, że taśma sama mierzy mu szerokość nosa; pan Ollivander w tym czasie kręcił się przy półkach, zdejmując z nich różne pudła.

— Dość — powiedział, a taśma opadła na podłogę, gdzie zwinęła się w kłębek. — No dobrze, panie Potter. Proszę spróbować tej. Drewno brzozone i serce smoka. Dziewięć cali. Ładna i dopasowująca się do ręki. Proszę wziąć i machnąć.

Harry wziął różdżkę i machnął nią lekko (czując się bardzo głupio), ale pan Ollivander prawie natychmiast wyrwał mu ją z

ręki.

— Kasztanowiec i pióro feniksa. Siedem cali. Dość giętka. Proszę spróbować...

Harry spróbował, ale zanim zdążył podnieść różdżkę, pan Ollivander znowu wyrwał mu ją z ręki.

— Nie, nie... proszę, heban i róg jednoroźca, osiem i pół cala, bardzo elastyczna. No, proszę spróbować...

Harry próbował i próbował. Nie miał pojęcia, o co panu Ollivanderowi chodzi. Stos wypróbowanych różdżek rósł coraz wyżej na krześle, pan Ollivander wyciągał coraz to nowe różdżki, ale wydawał się coraz bardziej uradowany.

— A to mi się trafił klient, nie ma co! Proszę się nie martwić, znajdziemy odpowiednią... zaraz... tak sobie myślę... właściwie dlaczego nie?... Niezwykła kombinacja... ostrokrzew i pióro feniksa, jedenaście cali, ładna i giętka.

Harry wziął różdżkę i nagle poczuł uderzenie gorąca w palcach. Wzniósł różdżkę nad głowę, machnął nią ze świstem w dół, a snop czerwonych i złotych iskier wystrzelił z jej końca, jak z laseczki zimnego ognia, rzucając na ściany roztańczone plamki światła. Hagrid wydał okrzyk radości i zaklaskał w dłonie, a pan Ollivander zawołał:

— Bravo! Bardzo dobrze, świetnie! No, no, no, to ciekawe... zaiste, niezmiernie ciekawe...

Włożył z powrotem różdżkę do pudełka i owinął ją brązowym papierem, mruczając pod nosem:

— Ciekawe... bardzo ciekawe...

— Przepraszam — powiedział Harry — co jest takie ciekawe?

Pan Ollivander utkwiał w nim blade spojrzenie.

— Widzi pan, panie Potter, pamiętam każdą różdżkę, którą sprzedałem. Co do jednej. I tak się składa, że feniks, którego pióro jest w pańskiej różdżce, uronił jeszcze jedno pióro... ale

tylko jedno. To bardzo ciekawe, bo to drugie znajduje się w różdźce, za pomocą której zrobiono panu tę bliznę.

Harry przełknął ślinę.

— Tak, tak, trzynaście i pół cala. Cis. To naprawdę ciekawe, jak do tego doszło. Bo, widzi pan, różdźka sama sobie wybiera czarodzieja... Myślę, że możemy się po panu spodziewać wielkich rzeczy, panie Potter... Ostatecznie Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać dokonywał wielkich rzeczy... strasznych, to prawda, ale wielkich.

Harry'emu dreszcz przebiegł po plecach. Wcale nie był pewny, czy polubił pana Ollivandera. Zapłacił za różdżkę siedem złotych galeonów, a pan Ollivander w ukłonach odprowadził ich do drzwi.

Słońce wisiało już dość nisko na niebie, kiedy Harry i Hagrid wrócili ulicą Pokątną na ciemne podwórko i przeszli przez mur do Dziurawego Kotła, teraz już opustoszałego. Harry nie odzywał się, kiedy szli ulicą, nie zauważał też, że ludzie gapią się na nich w metrze, bo rzeczywiście wyglądali dość dziwnie z tymi różnymi pakunkami o niespotykanych kształtach i białą sową śpiącą sobie w klatce na kolanach chłopca. Wjechali na górę, na stację Paddington, a Harry zorientował się, gdzie są, dopiero wtedy, gdy Hagrid poklepał go po ramieniu.

— Mamy czas, żeby coś przekąsić przed odjazdem twojego pociągu.

Kupił sobie i Harry'emu po hamburgerze i usiedli na plastikowej ławce, żeby je zjeść. Harry rozglądał się dookoła. Wszystko było jakieś dziwne.

— Dobrze się czujesz, Harry? — zapytał Hagrid. — Jesteś taki spokojny.

Harry nie bardzo wiedział, czy potrafi to wyjaśnić. Właśnie przeżył najwspanialsze urodziny w swoim życiu, a jednak... Żuł hamburgera, starając się znaleźć właściwe słowa.

— Wszyscy uważają mnie za kogoś niezwykłego — powiedział w końcu. — Wszyscy w Dziurawym Kotle, profesor Quirrell, pan Ollivander... a przecież ja nie mam pojęcia o magii. Jak mogą ode mnie oczekiwać jakichś wielkich czynów? Jestem słynny, a nawet nie pamiętam, z jakiego powodu. Nie wiem, co się stało, kiedy Vol... przepraszam... to znaczy w tę noc, kiedy zginęli moi rodzice.

Hagrid nachylił się do niego ponad plastikowym stolikiem. Pod zmierzwioną brodą i nastroszonymi brwiami czał się miły uśmiech.

— Nie martw się, Harry. Szybko się nauczysz. W Hogwarcie wszyscy zaczynają od zera, dasz sobie radę. Wystarczy, jak będziesz sobą. Wiem, że jest ciężko. Zostałeś sam na świecie, a wtedy zawsze jest ciężko, cholibka. Ale w Hogwarcie przeżyjesz wspaniałe chwile... ja też je miałem... i wciąż miewam, prawdę mówiąc.

Hagrid pomógł Harry'emu wejść do wagonu, a potem wręczył mu kopertę.

— To twój bilet do Hogwartu. Pierwszego września... stacja King's Cross... wszystko jest na bilecie. A jakbyś miał jakieś problemy z Dursleyami, daj mi znać przez sowę, już ona mnie znajdzie... Do szybkiego zobaczenia, Harry.

Pociąg wyjechał ze stacji. Harry chciał popatrzeć na Hagrida, zanim zniknie mu z oczu, więc wstał i przycisnął nos do szyby, mrugnął, a kiedy otworzył oczy, Hagrida już nie było.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

PERON NUMER DZIEWIĘĆ I TRZY CZWARTE



Ostatni miesiąc u Dursleyów był dość ponury. Dudley tak się bał Harry'ego, że za nic w świecie nie chciał z nim przebywać w jednym pokoju. Ciotka Petunia i wuj Vernon nie zamykali go już w komórce pod schodami, nie zmuszali do niczego i nie wrzeszczeli na niego od rana do wieczora — prawdę mówiąc, w ogóle się do niego nie odzywali. Przerażeni i wściekli, traktowali go jak powietrze. Tak więc pod wieloma względami niby było lepiej, ale po jakimś czasie zaczęło go to trochę męczyć.

Harry przesiadywał więc w swoim pokoju w towarzystwie śnieżnej sowy. Nazwał ją Hedwigą; imię to znalazł w Historii magii. Nowe podręczniki okazały się bardzo interesujące. Czytał je w łóżku do późnej nocy, a Hedwigą wlatywała i wylatywała przez otwarte okno, kiedy jej się podobało. Na szczęście ciotka Petunia nie przychodziła już, aby odkurzyć pokój, bo Hedwigą ciągle zносиła martwe myszy. Co wieczór, przed zaśnięciem, Harry odhaczał kolejny dzień na kartce papieru, którą przybił do ściany, odliczając dni do pierwszego września.

Ostatniego dnia sierpnia uznał, że warto porozmawiać z ciotką i wujem na temat sposobu dotarcia na dworzec King's Cross, więc zszedł wieczorem do salonu, gdzie wszyscy

siedzieli, oglądając jakiś teleturniej. Harry odchrząknął, na co Dudley wrzasnął i uciekł z pokoju.

— Ee... wuju Vernonie...

Wuj Vernon też chrząknął na znak, że słyszy.

— Ee... muszę być jutro na dworcu King's Cross... jadę do Hogwartu.

Wuj Vernon odchrząknął ponownie.

— Czy wuj mógłby mnie tam podwieźć? Chrząknięcie. Harry uznał je za wyrażenie zgody.

— Dziękuję.

Już miał wrócić do swojego pokoju na piętrze, kiedy wuj Vernon jednak przemówił.

— To dość dziwne, żeby do szkoły dla czarodziejów jechać pociągiem. Wszystkie latające dywany złapały kichę? Harry milczał.

— A w ogóle, gdzie jest ta cała szkoła?

— Nie wiem — odpowiedział Harry, po raz pierwszy zdając sobie z tego sprawę. Wyjął z kieszeni bilet, który dał mu Hagrid.

— Muszę wsiąść do pociągu, który odchodzi o jedenastej z peronu numer dziewięć i trzy czwarte — przeczytał. Ciotka i wuj wytrzeszczyli na niego oczy.

— Z którego peronu?

— Dziewięć i trzy czwarte.

— Nie opowiadaj bzdur — rzekł wuj Vernon. — Nie ma takiego peronu.

— Tak jest napisane na bilecie.

— Oni mają kompletnego bzika — powiedział wuj Vernon. — To banda wariatów. Zobaczysz. Ostrzegałem cię. No dobrze, podwieziemy cię na King's Cross. Tak się składa, że wybieramy się jutro do Londynu, bo inaczej nie zaprzętałbym sobie głowy takimi wariactwami.

— Po co się wybieracie do Londynu? — zapytał Harry, starając się być uprzejmy.

— Zawozimy Dudleya do szpitala — warknął wuj Vernon. — Muszą mu odciąć ten okropny ogon, zanim pójdzie do Smeltinga.

Nazajutrz Harry obudził się o piątej rano i był tak podniecony, że już nie mógł zasnąć. Wstał i wciągnął dzinsy, bo nie chciał paradować po dworcu w szacie czarodzieja; przebierze się w pociągu. Po raz kolejny sprawdził z listą, czy ma wszystko, co powinien mieć, upewnił się, że Hedwiga jest zamknięta w klatce, a potem zaczął krążyć po pokoju, czekając, aż Dursleyowie wstaną. Dwie godziny później wielki kufer Harry'ego załadowano do bagażnika, ciotka Petunia zdołała namówić Dudleya, by usiadł z tyłu obok Harry'ego i ruszyli.

Przed dworzec na King's Cross zajechali o dziesiątej trzydzieści. Wuj Vernon wtaszczył kufer Harry'ego na wózek bagażowy, który sam pociągnął aż na perony. Harry pomyślał, że to niespotykana uprzejmość z jego strony, ale wkrótce wszystko się wyjaśniło, kiedy wuj Vernon zatrzymał się ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

— No więc jesteśmy na miejscu, chłopcze. Peron dziewiąty, peron dziesiąty. Twój peron powinien być gdzieś pomiędzy nimi, ale chyba go jeszcze nie zbudowali, co?

Oczywiście miał rację. Nad jednym peronem wisiała duża plastikowa tabliczka z numerem dziewięć, na drugim taka sama tabliczka z numerem dziesięć, natomiast pomiędzy nimi była żelazna, barierka.

— Życzę pomyślnego semestru — rzekł wuj Vernon z jeszcze bardziej jadowitym uśmiechem i odszedł bez pożegnania. Harry odwrócił się i zobaczył, że Dursleyowie odjeżdżają. Wszyscy troje pękali ze śmiechu. Harry'emu zaschło w ustach. Co teraz? Ludzie zaczęli mu się dziwnie

przyglądać, na pewno z powodu Hedwigi. Będzie musiał kogoś zapytać.

Zatrzymał przechodzącego strażnika, ale nie śmiał go zapytać o peron numer dziewięć i trzy czwarte. Strażnik nigdy nie słyszał o miejscowości Hogwart, a kiedy Harry nie potrafił mu nawet powiedzieć, w jakiej to jest części kraju, zrobił się opryskliwy, jakby uznał, że chłopak robi sobie z niego żarty. Zrozpaczony Harry zapytał go o pociąg, który odjeżdża o jedenastej, ale strażnik stwierdził, że takiego nie ma i odszedł, mrużąc coś o takich, co marnują jego cenny czas. Harry starał się nie wpaść w panikę. Według wielkiego zegara nad tablicą przyjazdów miał dziesięć minut do odjazdu pociągu, ale wciąż nie wiedział, jak ów pociąg znaleźć; po prostu ugrzązł na dworcu z kufrem, który ledwo mógł unieść, z kieszenią pełną pieniędzy czarodziejów i z wielką sową.

Hagrid musiał zapomnieć powiedzieć mu o czymś. Na pewno chodzi o coś takiego, jak to stukanie w trzecią cegłę na lewo, żeby się dostać na ulicę Pokątną. Zastanawiał się gorączkowo, czy nie powinien wyjąć różdżki i zastukać nią w budkę kontrolera biletów między peronami dziewiątym i dziesiątym.

W tym momencie minęła go grupa ludzi i usłyszał strzęp rozmowy.

— ...oczywiście aż się roi od mugoli...

Harry obrócił się błyskawicznie. Te słowa wypowiedziała jakaś pulchna kobieta, której towarzyszyło czterech chłopców. Wszyscy mieli płomiennie rude włosy i każdy pchał przed sobą kufer bardzo podobny do tego, który stał przed Harrym. I mieli sowę.

Harry'emu serce zabiło mocniej i zaczął pchać swój wózek za nimi. Zatrzymali się, więc i on zrobił to samo, na tyle blisko, by słyszeć, o czym rozmawiają.

— Który to miał być peron? — zapytała chłopców matka.

— Dziewięć i trzy czwarte! — pisnęła mała dziewczynka, również ruda jak wiewiórka, trzymająca ją za rękę.

— Mamo, czy ja bym nie mogła...

— Jesteś jeszcze za mała, Ginny, przestań marudzić. No dobrze, Percy, idziesz pierwszy.

Wyglądający na najstarszego chłopiec pomaszerował ku peronom dziewiątemu i dziesiątemu. Harry uważnie go obserwował, starając się nie mrugnąć powiekami, żeby niczego nie przeoczyć, lecz kiedy chłopiec doszedł do barierki między dwoma peronami, pojawiła się przed nim duża grupa turystów z wysokimi plecakami, a kiedy przeszła, już go nie było.

— Fred, teraz ty — powiedziała pulchna kobieta.

— Nie jestem Fred, jestem George — odrzekł chłopiec. — Naprawdę, kobieto, i ty uważasz się za naszą matkę? Nie wiesz, jak ma na imię twoje dziecko?

— Przepraszam, George.

— To był żart, jestem Fred — powiedział chłopiec i odszedł. Jego brat bliźniak zawołał za nim, żeby się pospieszył, co też chyba uczynił, bo sekundę później już go nie było — ale jak on to zrobił?

Teraz trzeci z braci ruszył żwawo ku barierce — już tam prawie był — i nagle... po prostu zniknął. Harry uznał, że tylko jedno mu pozostało.

— Przepraszam — zwrócił się do pulchnej kobiety.

— Dzień dobry, kochanie — odpowiedziała. — Pierwszy raz do Hogwartu? Ron też jest nowy — wskazała na najmłodszego ze swoich synów. Był to wysoki, przeraźliwie chudy chłopiec z wielkimi, piegowatymi rękami i długim nosem.

— Tak — przyznał Harry. — Rzecz w tym... rzecz w tym, że nie wiem, jak...

— Jak dostać się na peron? — podpowiedziała uprzejmie, a Harry skinął głową.

— Nie martw się. Musisz tylko iść prosto na tę barierkę między peronami dziewięć i dziesięć. Nie zatrzymuj się i nie bój się, że na nią wpadniesz, to bardzo ważne. Jak ktoś jest trochę nerwowy, najlepiej pobiec prosto na barierkę. No, dalej, idź przed Ronem.

— Ee... rozumiem — bąknął Harry.

Ustawił wózek przed sobą i popatrzył na barierkę. Wyglądała bardzo solidnie.

Zaczął ku niej iść. Ludzie, którzy szli na peron dziewiąty lub dziesiąty potracali go i popychali. Harry przyspieszył. Szedł prosto na barierkę — był pewien, że wózek się o nią rozbije — pochylił się nad nim i zaczął biec — barierka była coraz bliżej — wiedział, że już nie będzie w stanie się zatrzymać — stracił kontrolę nad wózkiem — jeszcze kawałeczek — zamknął oczy, spodziewając się straszliwego wstrząsu i łoskotu...

Nic takiego się nie wydarzyło... biegł dalej... otworzył oczy.

Przy peronie stał czerwony parowóz, a za nim wagony pełne ludzi. Na tabliczce widniał napis: Pociąg ekspresowy do Hogwartu, godzina jedenasta. Harry spojrzał za siebie i tam, gdzie była barierka, zobaczył łuk z kutego żelaza z napisem: Peron numer dziewięć i trzy czwarte.

A więc udało się.

Kłęby dymu z parowozu przepływały nad głowami ludzi, a pomiędzy ich nogami kręciło się mnóstwo kotów różnej maści. Przez zgiełk podnieconych głosów i zgrzyt ciężkich kufrów przebijało się od czasu do czasu pohukiwanie sów.

W kilku wagonach było już pełno uczniów. Niektórzy wychylali się przez okna, by porozmawiać ze swoimi rodzinami, inni walczyli o miejsca siedzące. Harry pchał swój wózek wzdłuż pociągu, rozglądając się za wolnym miejscem. Minał jakiegoś pyzatego chłopca, który mówił:

— Babciu, znowu mi zginęła ropucha.

— Och, Neville... — westchnęła starsza kobieta. Niewielki tłumek otaczał jakiegoś chłopca z dreadami.

— Lee, nie bądź taki, daj popatrzeć!

Chłopiec uniósł pokrywkę pudła, które trzymał w ramionach, a wszyscy wrzasnęli i odskoczyli, kiedy z pudła wystrzeliła długa, owłosiona noga.

Harry przeciskał się przez tłum, aż w końcu znalazł pusty przedział przy końcu pociągu. Najpierw wstawił klatkę z Hedwigą, a potem zaczął ciągnąć swój kufer ku drzwiom przedziału. Próbował wtaszczyć go na stopień, ale ledwo mu się udało unieść jeden koniec. Kufer dwukrotnie spadł mu na stopę.

— Pomóc ci? — Był to jeden z owych rudzielców, za którymi przeszedł przez barierkę.

— Oj, tak, proszę — wy dyszał Harry.

— Hej, Fred! Chodź tu i pomóż!

Przy pomocy bliźniaków kufer w końcu wylądował w kącie przedziału.

— Dzięki — powiedział Harry, odgarniając z czoła spocone włosy.

— Co to jest? — rzekł nagle jeden z bliźniaków, wskazując na czoło Harry'ego.

— A niech to! — zawołał drugi. — Czy ty jesteś...

— To on — powiedział pierwszy. — Jesteś nim, prawda? — zapytał Harry'ego.

— Kim? — zapytał Harry.

— Harrym Potterem — powiedzieli chórem bliźniacy.

— Ach, nim — powiedział Harry. — To znaczy... tak, to ja.

Obaj chłopcy wybałuszyli na niego oczy, a Harry poczuł, że się czerwieni. A potem, ku jego uldze, przez otwarte drzwi usłyszeli głos:

— Fred! George! Jesteście tam?

— Idziemy, mamó.

Rzucili ostatnie spojrzenie na Harry'ego i wyskoczyli z wagonu.

Harry usiadł przy oknie, skąd mógł obserwować stojące na peronie rodzeństwo rudzielców i podsłuchać, o czym mówią. Ich matka właśnie wyjęła chusteczkę.

— Ron, masz coś na nosie.

Najmłodszy próbował czmychnąć, ale matka złapała go i zaczęła mu pocierać nos chusteczką.

— Mamo... daj mi spokój. — Wyrwał się jej.

— Ajajaj, mały Ronuś znowu pobrudził sobie nosek? — zakpił jeden z bliźniaków.

— Zamknij się — powiedział Ron.

— Gdzie jest Percy? — zapytała matka.

— Właśnie idzie.

Pojawił się najstarszy z chłopców. Zdążył już się przebrać w obfite szaty uczniów z Hogwartu i Harry dostrzegł na jego piersi srebrną naszywkę z literą P.

— Mamo, nie mogę dłużej zostać — powiedział. — Siedzę z przodu, prefekci mają zarezerwowane dwa przedziały...

— Och, jesteś prefektem, Percy? — zdziwił się jeden z bliźniaków. — Dlaczego nam nie powiedziałaś? Nie mieliśmy pojęcia.

— Daj spokój, przecież pamiętam, że coś o tym wspominał — powiedział drugi bliźniak. — Raz...

— Albo dwa...

— Chwilę temu...

— Przez całe lato...

— Och, zamknijcie się — rzekł Percy prefekt.

— A jak to się stało, że Percy ma nową szatę? — zapytał jeden z bliźniaków.

— Bo jest prefektem — odpowiedziała ich matka pieszczotliwym tonem. — No już dobrze, kochanie... żeby ci się

powiodło w tym semestrze... I wyślij mi sowę, jak już tam będziesz.

Pocałowała Percy'ego w policzek, a on odszedł.

— A teraz wy dwaj... w tym roku macie mi się zachowywać przyzwoicie. Jak dostanę choćby jedną sowę z wiadomością, że... wysadziliście w powietrze toaletę albo...

— Toaletę w powietrze? Nigdy nie wysadziliśmy żadnej toalety.

— Ale to wspaniały pomysł. Dzięki, mamó.

— To nie jest śmieszne. I opiekujcie się Ronem.

— Nie martw się, malutki Ronuś jest z nami całkowicie bezpieczny.

— Zamknijcie się — powtórzył Ron. Był już prawie tak wysoki, jak bliźniacy. Nos miał czerwony w miejscu, gdzie matka wycierała go chustką.

— Hej, mamó, zgadnij! Zgadnij, kogo właśnie spotkaliśmy w pociągu?

Harry cofnął się szybko od okna, żeby nie zauważyli, że ich obserwuje.

— Pamiętasz tego czarnowłosego chłopca, który stał koło nas na stacji? Wiesz, kto to jest?

— Kto?

— Harry Potter!

Harry usłyszał głos dziewczynki.

— Och, mamó, mogę wejść do pociągu i go zobaczyć? Mamó, proszę...

— Już go widziałaś, Ginny, a ten chłopiec nie jest jakimś okazem w zoo. To naprawdę on, Fred? Skąd wiesz?

— Zapytałem go. Widziałem bliźnię. Naprawdę ją ma... jest jak błyskawica.

— Biedactwo... nic dziwnego, że przyszedł sam. Taki był grzeczny, kiedy mnie pytał, jak dostać się na peron.

— No dobra, ale czy myślisz, że on pamięta, jak wygląda Sam—Wiesz—Kto?

Ich matka nagle spoważniała.

— Zabraniam ci go o to pytać, Fred. Żebyś mi się nie ośmielił. To wcale nie jest przyjemne, przypominać sobie o takich rzeczach w pierwszym dniu szkoły.

— No już dobrze, mamó, nie denerwuj się. Rozległ się gwizdek.

— Szybko! — zawołała matka i trzej chłopcy wsiedli do wagonu. Wychylili się przez okno, nadstawiając policzki do pocałowania, a dziewczynka zaczęła płakać.

— Nie płacz, Ginny, wyślemy ci mnóstwo sów.

— Przyślemy ci sedes z Hogwartu.

— George!

— Tylko żartuję, mamó.

Pociąg ruszył. Harry patrzył na matkę chłopców, machającą ręką na pożegnanie, i na ich siostrę, na pół roześmianą, na pół zapłakaną, która biegła kawałek za pociągiem, a po chwili, kiedy przyspieszył, została w tyle i też wymachiwała rączką.

Pociąg zakręcił i obie — matka i dziewczynka — zniknęły. Za oknami zaczęły się przesuwać domy.

Harry poczuł, że ogarnia go wielkie podniecenie. Nie wiedział, ku czemu zmierza, ale wierzył, że będzie to o wiele lepsze od tego, co zostawiał za sobą.

Drzwi przedziału rozsunęły się i wszedł najmłodszy z chłopców.

— Ktoś tu siedzi? — zapytał, wskazując miejsce naprzeciw Harry'ego. — Wszędzie jest pełno.

Harry potrząsnął głową i chłopiec usiadł. Zerknął na Harry'ego, a potem szybko popatrzył w okno, udając, że mu się nie przyglądał. Na nosie wciąż miał coś czarnego.

— Hej, Ron! Wrócili bliźniacy.

— Słuchaj, idziemy do przodu... Lee Jordan ma olbrzymią tarantulę.

— Dobra — mruknął Ron.

— Harry, czy my się przedstawiliśmy? — zapytał drugi bliźniak. — Fred i George Weasleyowie. A to jest Ron, nasz brat. No to do zobaczenia.

— Na razie — odpowiedzieli Harry i Ron. Bliźniacy wyszli, zamykając za sobą drzwi.

— Naprawdę jesteś Harrym Potterem? — wypalił Ron.

Harry kiwnął głową.

— Och... wiesz, myślałem, że to może jeden z dowcipów Freda i George'a. I naprawdę... to... no wiesz...

Wskazał na czoło Harry'ego.

Harry odgarnął włosy, by pokazać mu jasną bliznę. Ron wytrzeszczył oczy.

— Więc to tu Sam—Wiesz—Kto...

— Tak — odpowiedział Harry. — Ale ja tego nie pamiętam.

— Nic?

— No... pamiętam mnóstwo zielonego światła, ale nic więcej.

— Ojej. — Ron siedział i przez dłuższą chwilę gapił się na Harry'ego, a potem, jakby sobie zdał sprawę z tego, co robi, znowu szybko spojrzął w okno.

— Czy w waszej rodzinie wszyscy są czarodziejami? — zapytał Harry, dla którego ta znajomość była równie interesująca, jak dla Rona.

— Ee... tak, chyba tak. To znaczy... zdaje się, że mama ma jakiegoś dalszego kuzyna, który jest księgowym, ale nigdy o nim nie rozmawiamy.

Weasleyowie byli najwyraźniej jedną z tych starych czarodziejskich rodzin, o których mówił blady chłopiec na ulicy Pokątnej.

— Słyszałem, że mieszkałeś u mugoli — powiedział Ron. — Jacy oni są?

— Okropni... no, może nie wszyscy, ale moja ciotka i mój wuj są okropni. Chciałbym mieć trzech czarodziejskich braci.

— Pięciu — powiedział Ron. Z jakiegoś powodu zmarkotniał. — Ja jestem szósty, najmłodszy. Wszyscy poszli do Hogwartu. Można powiedzieć, że musiałem dużo znieść. Bili i Charlie już skończyli szkołę... Bili był prymusem, a Charlie kapitanem quidditcha. Teraz Percy jest prefektem. Fred i George okropnie rozrabiają, ale mają dobre stopnie i wszyscy ich lubią. Wszyscy się spodziewają, że jestem tak dobry jak moi bracia, ale mnie to wisi, i tak nie będę pierwszy. Jak się ma pięciu braci, to nigdy się nie dostaje nowych rzeczy. Mam szaty po Billu, różdżkę Charliego i starego szczura Percy'ego.

Ron sięgnął do kieszeni i wyciągnął tłustego, szarego szczura, pogrążonego w głębokim śnie.

— Nazywa się Parszywek i niewiele z niego pożytku, bo rzadko się budzi. Percy dostał od ojca sowę za to, że został prefektem, ale rodziców nie stać... to znaczy, ja dostałem Parszywka.

Uszy mu poczerwieniały. Chyba uznał, że za dużo powiedział, bo znowu wpatrzył się w okno.

Harry wcale nie uważał, aby było coś złego w tym, że kogoś nie stać na sowę. Ostatecznie sam przez całe życie nie miał ani grosza. Powiedział to Ronowi, a także o noszeniu starych ubrań po Dudleyu, wspomniał też, że nigdy nie dostał prawdziwego prezentu na urodziny. Ron trochę się rozchmurzył.

— ...i dopóki Hagrid mi nie powiedział, w ogóle nie wiedziałem, że jestem czarodziejem, kim byli moi rodzice albo ten Voldemort...

Rona zatkało.

— Co jest? — zapytał Harry.

— Wymówiłeś imię Sam—Wiesz—Kogo! — powiedział Ron, trochę z przerażeniem, a trochę z podziwem. — Myślałem, że kto jak kto, ale ty...

— Nie staram się udowodnić, że jestem dzielny, czy coś w tym rodzaju, kiedy wymawiam to imię — powiedział Harry. — Ja po prostu nie wiedziałem, że nie powinno się go wymawiać. Rozumiesz, o co mi chodzi? Muszę się tyle nauczyć... Założę się — dodał, po raz pierwszy wypowiadając na głos to, co ostatnio bardzo go martwiło — założę się, że będę najgorszy w klasie.

— Daj spokój. Mnóstwo ludzi przychodzi z rodzin mu—goli i szybko się uczą.

Podczas gdy rozmawiali, pociąg opuścił już przedmieścia Londynu. Teraz pędzili przez łąki pełne krów i owiec. Przez chwilę siedzieli cicho, obserwując przesuwane się szybko pola i drogi.

Zbliżało się pół do pierwszej, kiedy na korytarzu rozległ się jakiś hałas, a po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich uśmiechnięta kobieta z dołeczkami w policzkach.

— Coś z wózka, kochaneczki? — zapytała.

Harry, który nie jadł śniadania, zerwał się na nogi, ale Ron znowu się zaczerwienił i wymamrotał, że ma swoje kanapki. Harry wyszedł na korytarz.

Mieszkając u Dursleyów, nigdy nie miał pieniędzy na słodycze, a teraz w kieszeniach brzęczały mu złote i srebrne monety, więc zamierzał kupić tyle marsów, ile zdoła unieść — ale na wózku nie było marsów. A co było? Fasolki wszystkich smaków Bertiego Botta, najlepsze balonówki Drooblego, czekoladowe żaby, paszteciki z dyni, beczułki, likworowe pałeczki i wiele innych dziwnych rzeczy, które Harry zobaczył po raz pierwszy w życiu. Nie chcąc czegoś pominąć, kupił po

trochu wszystkiego i zapłacił za to jedenaście srebrnych syklów i siedem brązowych knutów.

Ron wybałuszył oczy, kiedy Harry wniósł to wszystko i rzucił na wolne miejsce.

— Chyba jesteś bardzo głodny, co?

— Padam z głodu — odrzekł Harry, odgryzając kawał pasztecika z dyni.

Ron wyjął zatłuszczoną paczuszkę i rozwinął ją. Były tam cztery kanapki. Wziął jedną i mruknął:

— Zawsze zapomina, że nie znoszę peklowanej wołowiny.

— Weź jednego. — Harry podsunął mu paszteciki. — No bierz...

— Trudno to mięso ugryźć, suche jak kość — powiedział Ron. — Wiesz, z taką piątką, jak my, matka nie ma za wiele czasu — dodał szybko.

— No dobra, bierz — powtórzył Harry, który jeszcze nigdy nikogo niczym nie częstował, bo nie miał ani czym, ani kogo. Bardzo to było przyjemne, siedzieć sobie z Ronem i pogryzać z nim te wszystkie zakupione przez siebie paszteciki, ciasteczka i cukierki (Ron natychmiast zapomniał o kanapkach).

— A to znasz? — zapytał Rona Harry, biorąc pudełko czekoladowych żab. — To chyba nie są prawdziwe żaby, co? — Teraz już nic nie mogło go zaskoczyć.

— Nie — odrzekł Ron. — Ale zobacz, jaka jest karta. Brakuje mi Agryppy.

— Czego?

— Ach... no jasne, przecież ty nie wiesz... W czekoladowych żabach są karty, no wiesz, do zbierania... ze słynnymi czarownicami i czarodziejami. Mam już z pięćset, ale wciąż brakuje mi Agryppy i Ptolemeusza.

Harry rozwinął swoją czekoladową żabę i wyjął kartę. Była na niej twarz mężczyzny. Miał okulary—połówki, długi,

haczykowany nos, srebrną czuprynę, brodę i wąsy. Pod obrazkiem było jego imię i nazwisko: Albus Dumbledore.

— A więc to jest Dumbledore! — zawołał Harry.

— Tylko mi nie mów, że nie słyszałeś o starym Dumblu! Mogę wziąć żabę? Może trafi mi się Agryppa... Dzięki...

Harry spojrział na odwrotną stronę karty i przeczytał:

ALBUS DUMBLEDORE

OBECNY DYREKTOR HOGWARTU

Przez wielu uważany za największego czarodzieja współczesności, Dumbledore znany jest szczególnie ze zwycięstwa nad czarnoksiężnikiem Grindelwaldem (1945), z odkrycia dwunastu sposobów wykorzystania smoczej krwi i ze swoich dzieł alchemicznych, napisanych wspólnie z Nicolasem Flamelem. Profesor Dumbledore lubi muzykę kameralną i kręgle.

Harry znowu odwrócił kartę i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że twarz Dumbledore'a znikła.

— Nie ma go!

— A co, myślałeś, że będzie tam tkwił przez cały dzień? — zażartował Ron. — Wróci. No nie, znowu trafiła mi się Morgana, mam już ich ze sześć... Chcesz ją? Możesz zacząć zbierać.

Spojrzenie Rona powędrowało do stosu czekoladowych żab, czekających na rozwinięcie.

— Bierz — zachęcił go Harry. — Ale, wiesz... w świecie mugoli ludzie nie znikają z fotografii.

— Naprawdę? W ogóle się nie ruszają? — W głosie Rona zabrzmiało szczere zdumienie. — Niesamowite!

Harry patrzył, jak Dumbledore wraca na swoje miejsce na karcie i zdawało mu się, że profesor lekko się do niego uśmiechnął. Ron był bardziej zainteresowany pochłanianiem żab niż przyglądaniem się portretom słynnych czarodziejek i czarodziejów, ale Harry nie mógł oderwać od nich oczu.

Wkrótce miał już nie tylko Dumbledore'a i Morganę, ale i Hengista z Woodcroft, Alberyka Grunnion, Kirke, Paracelsusa i Merlina. W końcu oderwał oczy od druidki Kliodyny, która drapała się po nosie, i otworzył torebkę fasolek wszystkich smaków Bertiego Botta.

— Musisz uważać — ostrzegł go Ron. — Jak piszą “wszystkich smaków”, to naprawdę mają to na myśli... No wiesz, możesz trafić na zwykłe smaki, czekoladowy, marmoladkowy lub miętowy, ale możesz też trafić na szpinakowy, wątrobiany i flaczkowy. George przysięga, że kiedyś natrafił na goblinowy.

Wybrał zieloną fasolkę, obejrzał ją uważnie i cisnął w kąt.

— Ueeee... Kiełkowa!

Zabawiali się przez jakiś czas, próbując różnych smaków. Harry natrafił na grzankowy, kokosowy, fasolowy, truskawkowy, curry, trawiasty, kawowy, sardyńkowy i był na tyle odważny, że odgryzł koniuszek szarej fasolki, której Ron nie chciał tknąć. Okazało się, że była smaku pieprzowego.

Za oknem robiło się coraz bardziej dziko. Znikły schludne pola i pastwiska. Teraz migały im przed oczami lasy, kręte rzeki i ciemnozielone wzgórza.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł ów pyzaty chłopiec, którego Harry minął na peronie dziewięć i trzy czwarte. Minę miał raczej żalostną.

— Przepraszam — powiedział — ale czy nie widzieliście ropuchy?

Kiedy potrząsnęli głowami, zaczął lamentować:

— Zgubiłem ją! Wciąż ode mnie ucieka!

— Znajdzie się — pocieszył go Harry.

— Mam nadzieję — westchnął chłopiec i wyszedł.

— Nie rozumiem, dlaczego on tak rozpacza — powiedział Ron. — Gdybym miał ropuchę, zgubiłbym ją jak najszybciej.

No, ale ja mam Parszywka, więc nic nie mówię. Szczur spał sobie w najlepsze na kolanach Rona.

— Mógłby zdechnąć i wcale bym nie zauważył. Wczoraj próbowałem zmienić mu sierść z szarej na żółtą, żeby miał ciekawszy wygląd, ale zaklęcie nie podziałało. Pokażę ci, zobacz...

Pogrzebał w swoim kufrze i wyciągnął bardzo wysłużoną różdżkę. W kilku miejscach była wyszczerbiona, a na końcu połyskiwało coś białego.

— Powypadała prawie cała sierść jednoroźca. No, ale spróbujmy...

Właśnie podniósł różdżkę, kiedy drzwi do przedziału znowu się otworzyły. Wrócił chłopiec, któremu zginęła ropucha, ale tym razem w towarzystwie dziewczynki w nowej szacie Hogwartu.

— Czy ktoś nie widział ropuchy? Neville zgubił swoją

— powiedziała. Miała nieco przemądrzały głos, mnóstwo gęstych, brązowych włosów i wielkie przednie zęby.

— Już mu mówiliśmy, że nie było tu żadnej ropuchy

— oświadczył Ron, ale dziewczyna nie słuchała, wpatrując się w jego różdżkę.

— Och, robisz czary? No to popatrzymy. Usiadła. Ron sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego.

— Ee... No dobra. Odchrząknął.

*Słoneczko, masełko, stokrotki żółciutkie
Cyraneczko, żądętko, pieniążki złociutkie,
Zmieńcie szczura tego, głupiego, tłustego,
W szczura mądrego i całkiem żółtego!*

Machnął różdżką, ale nic się nie stało.

Parszywek był nadal szary i nawet się nie obudził.

— Jesteś pewny, że to prawdziwe zaklęcie? — zapytała dziewczynka. — No, nawet jeśli tak, to chyba nie najlepsze, prawda? Próbowałam kilku prostych zaklęć, tak dla wprawy, i

wszystkie podziały. W mojej rodzinie nikt nie jest magiczny, byłam kompletnie zaskoczona, jak dostałam list, ale oczywiście ogromnie się ucieszyłam, słyszałam, że to najlepsza szkoła dla czarownic... oczywiście nauczyłam się wszystkich podręczników na pamięć, chyba wystarczy, co? Aha, przy okazji, jestem Hermiona Granger, a wy?

Wszystko to powiedziała bardzo szybko.

Harry spojrzał na Rona i poczuł ulgę, kiedy po jego zdumionej twarzy poznał, że on też nie nauczył się wszystkich podręczników na pamięć.

— Jestem Ron Weasley — wymamrotał Ron.

— Harry Potter — powiedział Harry.

— Naprawdę? Oczywiście wiem o tobie wszystko... Mam parę dodatkowych książek, no wiecie, lektura uzupełniająca, i wiem, że jesteś w Dziejach współczesnej magii, w Powstaniu i upadku czarnej magii i w Wielkich wydarzeniach czarodziejskich dwudziestego wieku.

— Jestem? — zapytał Harry, kompletnie oszołomiony.

— Ojejku, nie wiedziałeś? Gdyby o mnie tak pisali, wszystko bym wynalazła — powiedziała Hermiona. — Wiecie już, w którym będziecie domu? Pytałam wszystkich i mam nadzieję, że będę w Gryffindorze, byłoby ekstra, co? Słyszałam, że był w nim sam Dumbledore, ale chyba Ravenclaw też nie jest taki zły... No dobra, ale musimy iść i szukać tej ropuchy. Chyba lepiej już się przebierzcie, wkrótce będziemy na miejscu.

I wyszła, zabierając ze sobą chłopca, któremu zginęła ropucha.

— Nie wiem, w którym będę domu, ale mam nadzieję, że nie w tym samym, co ona — powiedział Ron. Wrzucił różdżkę do kufra. — Głupie zaklęcie... George mi je dał, ale założę się, że dobrze wiedział, że to niewypał.

— W którym domu są twoi bracia? — zapytał Harry.

— W Gryffindorze. — Ron znowu zmarkotniał. — Mama i tata też tam byli. Nie wiem, co powiedzą, jak się tam nie dostanę. Ravenclaw też nie jest taki zły, ale Slytherin... daj spokój.

— To ten dom, w którym był Vol... znaczy Sam—Wiesz—Kto?

— Taak. — Ron opadł na oparcie fotela, wyraźnie przybity.

— Wiesz co, myślę, że końce wąsów Parszywka są trochę jaśniejsze — powiedział Harry, próbując zmienić temat. — Słuchaj, Ron, co teraz robią twoi starsi bracia?

Harry był ciekaw, co może robić czarodziej po ukończeniu szkoły.

— Charlie jest w Rumunii, studiuje smoki, a Bili w Afryce, pracuje tam dla Gringotta. Słyszałeś, co się tam stało? Piszą o tym w "Proroku Codziennym"... no tak, ale chyba nie wpadł ci w ręce u mugoli... Ktoś próbował obrabować jedną z najtajniejszych skrytek.

Harry wytrzeszczył oczy.

— Naprawdę? I co się z nim stało?

— Nic, właśnie dlatego to taka sensacja. Nie złapano go. Mój tata mówi, że musiał to być jakiś potężny czarnoksiężnik, skoro udało mu się tam dostać, ale nic nie wziął i to jest takie dziwne. Oczywiście wszyscy się boją, że może za tym stać Sam—Wiesz—Kto.

Harry zamyślił się głęboko. Dostawał gęziej skórki za każdym razem, kiedy wspomniano Sam—Wiesz—Kogo. Przypuszczał, że to jeden ze skutków znalezienia się w magicznym świecie, ale czułby się o wiele lepiej, gdyby mógł wypowiedzieć słowo "Voldemort" bez dreszczu strachu.

— Której drużynie quidditcha kibicujesz? — zapytał Ron.

— Ee... nie znam żadnej — wyznał Harry.

— Co? — Rona wyraźnie zatkało. — Och, zobaczysz, to jest najwspanialsza gra na świecie!

I zaczął opowiadać Harry'emu o czterech piłkach, o pozycjach siedmiu graczy, o słynnych meczach, w których brał udział ze swoimi braćmi, i o miotle, którą chciałby mieć, gdyby miał pieniądze. Wprowadzał właśnie Harry'ego w najciekawsze momenty gry, kiedy drzwi przedziału otworzyły się ponownie, ale tym razem nie stanął w nich właściciel zaginionej ropuchy ani Hermione Granger.

Weszło trzech chłopców, a jednego z nich Harry rozpoznał od razu: był to ów blady młodzieniec ze sklepu madame Malkin. Teraz wpatrywał się w Harry'ego z o wiele większym zainteresowaniem niż to, które mu okazał na ulicy Pokątnej.

— To prawda? — zapytał. — W całym pociągu mówią, że w tym przedziale jest Harry Potter. Więc to ty, tak?

— Tak — odpowiedział Harry.

Przyglądał się dwóm pozostałym chłopcom. Obaj byli tędzy i mieli paskudne miny. Wyglądali na goryli bladego chłopca.

— Och, to jest Crabbe, a to Goyle — rzekł blady chłopiec lekceważącym tonem, zauważywszy spojrzenie Harry'ego. — A ja nazywam się Malfoy, Draco Malfoy.

Ron lekko zakasłał, co mogło być próbą zamaskowania śmiechu.

— Śmiesz cię moje imię, tak? W każdym razie ty nie musisz mi mówić, kim jesteś. Ojciec mi powiedział, że wszyscy Weasleyowie są rudzi, piegowaci i mają więcej dzieci niż ich na to stać.

Zwrócił się ponownie do Harry'ego.

— Wkrótce się przekonasz, Potter, że pewne rodziny czarodziejów są o wiele lepsze od innych. Nie warto przyjaźnić się z tymi gorszymi. Mogę ci w tym pomóc.

Wyciągnął do niego rękę, ale Harry jej nie uścisnął.

— Dzięki, ale chyba sam potrafię ocenić, kto jest gorszy — powiedział chłodno.

Draco Malfoy nie spłonął rumieńcem, ale jego blade policzki lekko poróżwiały.

— Na twoim miejscu trochę bym uważał — wycedził. — Jak nie będziesz troszkę bardziej uprzejmy, może cię spotkać taki sam los jak twoich rodziców. Oni też nie wiedzieli, kto jest dobry, a kto zły. Zadajesz się z hołotą, jak Weasleyowie albo ten Hagrid, i możesz mieć kłopoty.

Harry i Ron wstali.

— Powtórz to — powiedział Ron, a twarz zrobiła mu się prawie tak czerwona jak włosy.

— Bo co, może nam dołożysz? — zakpił Malfoy.

— Jeśli zaraz nie wyjdziecie... — zaczął Harry, nie czując się zbyt pewnie, bo Crabbe i Goyle byli o wiele więksi od niego i Rona.

— Ale nam się wcale nie chce wychodzić, prawda, chłopaki? Zjedliśmy już wszystko, co mieliśmy, a wy, jak widzę, jeszcze coś macie.

Goyle sięgnął po czekoladową żabę, Ron rzucił się w jego kierunku, ale zanim zdążył go uderzyć, grubas wrzasnął okropnie.

Z jego dłoni, zatopiwszy w nią zęby, zwisał Parszywek. Crabbe i Malfoy cofnęli się gwałtownie, Goyle wymachiwał Parszywkiem, wyjąc z bólu, a kiedy w końcu szczur oderwał się i pacnął w okno, wszyscy trzej wypadli z przedziału. Być może myśleli, że między słodyczami czai się więcej szczurów, a może usłyszeli czyjeś kroki, bo w chwilę później weszła Hermiona Granger.

— Co tu się dzieje? — zapytała, patrząc na porozrzucane po podłodze słodycze i Rona podnoszącego Parszywka za ogon.

— Chyba go załatwili — powiedział Ron do Harry'ego. Przyjrzał się uważnie szczurowi. — No nie... nie wierzę własnym oczom... on po prostu znowu zasnął.

I rzeczywiście tak było.

— Spotkałeś już tego Malfoya?

Harry opowiedział mu o spotkaniu na ulicy Pokątnej.

— Słyszałem o jego rodzinie — powiedział ponuro Ron. — Jedni z pierwszych przeszli na naszą stronę, kiedy zniknął Sam—Wiesz—Kto. Powiedzieli, że rzucił na nich urok. Mój tata w to nie wierzy. Mówi, że ojciec Malfoya wcale nie musi się tłumaczyć z tego, że znalazł się po Ciemnej Stronie. Wiesz, swój do swego. — Nagle zwrócił się do Hermiony. — Można ci w czymś pomóc?

— Lepiej się pospieszcie i załóżcie szaty, właśnie pytałam konduktora i powiedział mi, że już niedaleko. Biliście się, czy co? Oj, będziecie mieć kłopoty, zanim tam się znajdziemy!

— To Parszywek się bił, nie my — odrzekł Ron, spoglądając na nią spode łba. — Słuchaj, może byś wyszła, co? Chcemy się przebrać.

— No dobra, dobra... Przyszłam do was, bo wszyscy zachowują się strasznie dziecinnie, biegają tam i z powrotem po korytarzu — powiedziała Hermiona obrażonym tonem. — Wiesz, że masz coś na nosie?

Ron obdarzył ją morderczym spojrzeniem i Hermiona wyszła. Harry wyjrzał przez okno. Robiło się ciemno. Pod purpurowym niebem widać było dalekie góry i lasy. Pociąg wcale nie zwalniał.

Zdjęli kurtki i nałożyli swoje długie czarne szaty. Szata Rona była trochę za krótka, widać było spod niej adidas.

Przez korytarz przetoczył się głos:

— Za pięć minut będziemy w Hogwarcie. Proszę zostawić bagaże w pociągu, zostaną zabrane do szkoły osobno.

Harry poczuł ucisk w brzuchu, a Ron jakby trochę poblądł pod piegami. Napełnili kieszenie resztą słodyczy i dołączyli do tłumu na korytarzu.

Pociąg właśnie zwalniał i w końcu się zatrzymał. Wszyscy pchali się do drzwi, a później wyskakowali na wąski, ciemny

peron. Harry wzdrygnął się; wieczór był mroźny. Potem nad głowami uczniów pojawiła się chybotająca lampa i usłyszał znajomy głos:

— Pirszoroczni! Pirszoroczni tutaj! No jak, Harry, w porządku?

Znad morza głów wystawała włochata twarz Hagrida.

— No, dalej, za mną... są jeszcze jacyś pirszoroczni? Patrzeć pod nogi! Pirszoroczni za mną!

Ślizgając się i potykając, ruszyli za Hagridem po czymś, co wyglądało na stromą, wąską ścieżkę. Po obu stronach było bardzo ciemno, więc Harry pomyślał, że idą przez jakiś gęsty las. Nikt wiele nie mówił. Neville, chłopiec, który zgubił ropuchę, kichnął raz lub dwa.

— Zaraz zobaczycie Hogwart! — krzyknął Hagrid przez ramię. — Zaraz za tym zakrętem.

Rozległo się głośnie: "Oooooch!"

Wąska ścieżka wyprowadziła ich nagle na skraj wielkiego, czarnego jeziora. Po drugiej stronie, osadzony na wysokiej górze, z rozjarzonymi oknami na tle gwieździstego nieba, wznosił się ogromny zamek z wieloma basztami i wieżyczkami.

— Po czterech do łodzi, ani jednego więcej! — zawołał Hagrid, wskazując na flotyllę łódeczek przy brzegu. Harry i Ron weszli do łódki razem z Neville'em i Hermioną.

— Wszyscy siedzą? — krzyknął Hagrid ze swojej łódki. — Noto... NAPRZÓD!

I cała flotylla łódek natychmiast pomknęła przez gładką jak zwierciadło taflę jeziora. Wszyscy zamilkli, gapiąc się na wielki zamek. Piętrzył się nad nimi coraz wyżej i wyżej, w miarę jak zbliżali się do urwiska, na którego szczycie był osadzony.

— Głowy w dół! — ryknął Hagrid, kiedy pierwsza łódź dotarła do skalnej ściany.

Wszyscy pochylili głowy, a łódki przepłynęły pod kurtyną bluszczu, która zasłaniała szeroki otwór w skale. Teraz

popłynęli ciemnym tunelem, wiodącym najwyraźniej pod zamek, aż dotarli do czegoś w rodzaju podziemnej przystani, gdzie wyszli z łódek na skaliste, pokryte otoczakami nabrzeże.

— Hej, ty tam! Czy to twoja ropucha? — zapytał Hagrid, który sprawdzał łodzie, kiedy wszyscy z nich wysiedli.

— Teodora! — krzyknął uradowany Neville, wyciągając ręce.

Potem ruszyli w górę wydrążonym w skale korytarzem, idąc prawie po omacku za lampą Hagrida, aż w końcu wyszli na gładką, wilgotną murawę w cieniu zamku.

Wspięli się po kamiennych stopniach i stłoczyli wokół olbrzymiej dębowej bramy.

— Wszyscy są? Ty tam, masz swoją ropuchę?

Hagrid uniósł swoją wielką pięść i trzykrotnie uderzył nią w bramę zamku.

ROZDZIAŁ

SIÓDMY

TIARA PRZYDZIAŁU



Brama natychmiast się otworzyła. Stała w niej wysoka, czarnowłosa czarownica w szmaragdowozielonej szacie. Miała srogą twarz i Harry pomyślał, że nie jest to osoba, obok której można przejść obojętnie.

— Pirszoroczni, pani profesor McGonagall — oznajmił Hagrid.

— Dziękuję ci, Hagridzie. Sama ich stąd zabiorę.

Otworzyła szerzej drzwi. Sala wejściowa była tak wielka, że zmieściłby się w niej cały dom Dursleyów. Płonące pochodnie oświetlały kamienne ściany, podobne jak w podziemiach Gringotta, sklepienie ginęło w mroku, a wspaniałe marmurowe schody wiodły na piętro.

Ruszyli za profesor McGonagall po kamiennej posadzce. Zza drzwi po prawej stronie dochodził ożywiony gwar i Harry pomyślał, że reszta uczniów musi już tu być, ale profesor McGonagall zaprowadziła ich do pustej komnaty z drugiej strony. Stłoczyli się w niej, rozglądając niepewnie wokół siebie.

— Witajcie w zamku Hogwart — powiedziała profesor McGonagall. — Bankiet rozpoczynający nowy rok wkrótce się zacznie, ale zanim zajmiecie swoje miejsca w Wielkiej Sali, zostaniecie przydzieleni do domów. Ceremonia przydziału jest bardzo ważna, ponieważ podczas całego pobytu w Hogwarcie wasz dom będzie czymś w rodzaju rodziny. Będziecie mieć zajęcia razem z innymi mieszkańcami waszego domu, będziecie spać z nimi w dormitorium i spędzać razem czas wolny w pokoju wspólnym.

— Są cztery domy: Gryffindor, Hufflepuff, Ravenclaw i Slytherin. Każdy dom ma swoją zaszczytną historię i z każdego wyszli na świat słynni czarodzieje i znakomite czarodziejki. Tu, w Hogwarcie, wasze osiągnięcia będą chlubą waszego domu, zyskując mu punkty, a wasze przewinienia będą hańbą waszego domu, który przez was utraci część punktów. Dom, który osiągnie najwyższą liczbę punktów przy końcu roku, zdobędzie Puchar Domów, co jest wielkim zaszczytem. Mam nadzieję, że każde z was będzie wierne swojemu domowi, bez względu na to, do którego zostanie przydzielone. Ceremonia przydziału odbędzie się za kilka

minut w obecności całej szkoły. Zalecam wykorzystanie tego czasu na zadbanie o swój wygląd.

Jej spojrzenie spoczęło przez chwilę na pelerynie Neville'a, która była zawiązana pod jego lewym uchem, a następnie na usmolonym nosie Rona. Harry nerwowo przygładził włosy.

— Wróć, kiedy będziecie gotowi — oznajmiła profesor McGonagall. — Proszę zachować spokój. I wyszła z komnaty. Harry przełknął ślinę.

— A właściwie jak oni dokonują tego przydziału? — zapytał Rona.

— Chyba stosują jakiś test. Fred mówił, że to boli jak nie wiem co, ale pewno żartował.

Harry'emu serce podskoczyło do gardła. Test? Przed całą szkołą? Przecież nie zna jeszcze żadnych czarów, co by mógł pokazać? Czegoś takiego w ogóle się nie spodziewał. Rozejrzał się nerwowo i zobaczył, że inni też są przerażeni. Nikt się nie odzywał, oprócz Hermiony, opowiadającej szeptem o wszystkich zaklęciach, których się nauczyła, i zastanawiającej się, które z nich będzie jej teraz potrzebne. Harry starał się jej nie słuchać. Jeszcze nigdy nie był tak zdenerwowany, nawet wtedy, kiedy wrócił do domu Dursleyów z pisemną uwagą, że w jakiś sposób zmienił perukę nauczyciela z ciemnoblond na niebieską. Utkwił wzrok w podłodze i czekał. Za chwilę wróci profesor McGonagall i powiedzie go ku jego smętnemu przeznaczeniu.

A potem stało się coś, co sprawiło, że podskoczył w powietrze przynajmniej na stopę. Kilku chłopców za nim wrzasnęło ze strachu.

— Co to...

Aż mu dech zapało. Przez ścianę tuż za nim przeniknęło około dwudziestu duchów. Perłowobiałe i lekko przezroczyste, szybowały w komnacie, rozmawiając między sobą i nie

zwracając na nich uwagi. Wyglądało na to, że o coś się spierają. Duch małego grubego mnicha mówił:

— Przebaczając i zapominając, powtarzam, to nasza zasada. Powinniśmy dać mu jeszcze jedną szansę...

— Mój drogi Mniczu, czyż nie daliśmy już Irytkowi wszystkich szans, na jakie zasługiwał? I wciąż nas oczernia, a przecież tak naprawdę wcale nie jest duchem... Hej, a wy co tu robicie?

Duch w kryzie i trykotach nagle zauważył tłum pierwszoroczniaków.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Nowi studenci! — powiedział Gruby Mnich, obdarzając ich uśmiechem. — Czekacie na przydział, co? Kilka osób pokiwało milcząco głowami.

— Może się spotkamy w Hufflepuffie! — rzekł Mnich. — To mój stary dom.

— No, idziemy! — rozległ się ostry głos. — Ceremonia przydziału zaraz się rozpocznie.

Wróciła profesor McGonagall. Duchy jeden po drugim wsiąknęły w ścianę.

— A teraz proszę stanąć rzędem — poleciła profesor McGonagall — i iść za mną.

Harry czuł się dość dziwnie, bo nogi miał jakby z ołowiu, ale stanął za chłopcem o piaskowych włosach. Za sobą miał Rona. Wyszli gęsiego z komnaty, a potem przeszli przez salę wejściową i przez podwójne drzwi wkroczyli do Wielkiej Sali.

Harry nigdy nawet sobie nie wyobrażał tak dziwnego i wspaniałego miejsca. Oświetlały je tysiące świec unoszących się w powietrzu ponad czterema długimi stołami, za którymi siedziała reszta uczniów. Stoły zastawione były lśniąco złotymi talerzami i pucharami. U szczytu stał jeszcze jeden długi stół, przy którym zasiadali nauczyciele. Tam właśnie zaprowadziła pierwszoroczniaków profesor McGonagall i

kazała im się zatrzymać w szeregu, twarzami do reszty uczniów. W migotliwym blasku świec wpatrzone w nich twarze wyglądały jak blade lampiony. Tu i tam między uczniami połyskiwały srebrną poświatą duchy. Czując się trochę nieswojo pod tymi wszystkimi spojrzeniami, Harry popatrzył w górę i zobaczył aksamitnoczarne sklepienie upstrzone gwiazdami. Usłyszał szept Hermiony:

— Jest zaczarowane... żeby wyglądało jak prawdziwe niebo... Czytałam o tym w książce o historii Hogwartu.

Trudno było uwierzyć, że jest tam w ogóle sklepienie i że Wielka Sala nie jest po prostu otwarta na niebo.

Harry szybko spojrział w dół, bo profesor McGonagall ustawiła przed nimi stółek o czterech nogach. Na stołku spoczywała spiczasta tiara czarodzieja, wystrzępiona, połatana i okropnie brudna. Ciotka Petunia nie pozwoliłaby trzymać czegoś takiego w domu.

Może trzeba będzie wyciągnąć z niej królika? — myślał gorączkowo Harry. Zobaczył, że wszyscy wpatrują się w tiarę, więc i on utkwiał w niej wzrok. Przez kilka sekund panowała głucha cisza. A potem tiara drgnęła. Szew w pobliżu krawędzi rozpruł się szeroko jak otwarte usta i tiara zaczęła śpiewać:

*Może nie jestem śliczna,
Może i łach ze mnie stary,
Lecz choćbyś świat przeszukał,
Tak mądrej nie znajdziesz tiary.
Możecie mieć meloniki,
Możecie nosić panamy,
Lecz jam jest Tiara Losu,
Co jeszcze nie jest zbadany.
Choćbyś swą głowę schował
Pod pachę albo w piasek,
I tak poznam kim jesteś,*

*Bo dla mnie nie ma masek.
Śmiało, dzielna młodzieży,
Na głowy mnie wkładajcie,
A ja wam zaraz powiem,
Gdzie odtąd zamieszkacie.*

*Może w Gryffindorze,
Gdzie kwitnie męstwa cnota,
Gdzie króluje odwaga
I do wyczynów ochota.*

*A może w Hufflepuffie,
Gdzie sami prawi mieszkają,
Gdzie wierni i sprawiedliwi
Hogwarta szkoły są chwałą.*

*A może w Ravenclawie
Zamieszkać wam wypadnie
Tam płonie lampa wiedzy,
Tam mędrcom będziesz snadnie.
A jeśli chcecie zdobyć
Druhów gotowych na wiele,
To czeka was Slytherin,
Gdzie cenią sobie fortele.
Więc bez lęku, do dzieła!
Na głowy mnie wkładajcie,
Jam jest Myśląca Tiara,
Los wam wyznaczę na starcie!*

Cała sala rozbrzmiała oklaskami i okrzykami, kiedy tiara zakończyła swój śpiew. Potem skłoniła się przed każdym z czterech stołów i ponownie znieruchomiła.

— Więc musimy po prostu przymierzyć ten kapelusz! — szepnął Ron do Harry'ego. — Zabiję tego Freda, opowiadał mi o pojedyńku z trollem.

Harry uśmiechnął się blado. Tak, nałożenie tiary jest na pewno łatwiejsze niż wyczarowanie czegoś z kapelusza, ale wiele by dał, żeby przy tym nikt na niego nie patrzył. Tiara wyglądała na taką, co lubi zadawać mnóstwo pytań, a w tym momencie jakoś nie miał na to ochoty. Gdyby tiara wspomniała o jakimś domu, w którym mieszkają osoby dość wrażliwe i nieco lękliwe, z całą pewnością trafiłby właśnie do niego.

Teraz wystąpiła profesor McGonagall, trzymając w ręku długi zwój pergaminu.

— Kiedy wyczytam nazwisko i imię, dana osoba nakłada tiarę i siada na stołku. Abbott, Hanna!

Z szeregu wystąpiła dziewczynka o różowej buzi i jasnych mysich ogonkach, nałożyła tiarę, która opadła jej prawie na nos, i usiadła. W chwilę później ...

— HUFFLEPUFF! — krzyknęła tiara.

Przy stole po prawej stronie rozległy się oklaski i okrzyki aplauzu. Hanna podreptała do niego i usiadła, a Harry zobaczył, jak duch Grubego Mnicha macha do niej wesoło

— Bones, Susan!

— HUFFLEPUFF! — wrzasnęła znowu tiara, a Susan usiadła obok Hanny.

— Boot, Terry!

— RAYENCLAW!

Tym razem rozległy się wiwaty przy drugim stole na lewo, gdzie kilka osób powstało, by uścisnąć rękę Terry'emu.

“Brocklehurst, Mandy” też powędrowała do Ravenclawu, ale “Brown, Lavender” pierwsza trafiła do Gryffindoru, co wywołało burzę oklasków przy krańcowym stole po lewej stronie. Harry dostrzegł tam rudych bliźniaków.

“Bulstrode, Millicenta” znalazła się w Slytherinie. Może to skutek zbyt bujnej wyobraźni, po tym wszystkim, co Harry

usłyszał, ale mieszkańcy tego domu wydali mu się jacyś nie bardzo przyjemni.

Teraz zrobiło mu się naprawdę niedobrze. Przypomniawszy sobie, jak w starej szkole wybierano go do drużyny podczas gimnastyki. Zawsze wybierano go na samym końcu, nie dlatego, że był gorszy od innych, ale dlatego, że wszyscy się bali, żeby Dudley nie uznał ich za jego przyjaciela.

— Granger, Hermiona!

Hermiona prawie podbiegła do stołka i szybko wcisnęła tiarę na głowę.

— GRYFFINDOR! — krzyknęła tiara. Ron jęknął.

Okropna myśl ugodziła Harry'ego gdzieś w tył głowy, jak to zwykle czynią okropne myśli, kiedy jest się bardzo zdenerwowanym. A jeśli w ogóle nie dostanie przydziału? A może będzie siedział i siedział na stołku w tej okropnej tiarze, aż w końcu profesor McGonagall zerwie mu ją z głowy i oświadczy publicznie, że musiała zajść jakaś pomyłka i "Potter, Harry" musi wracać do domu...

Kiedy wywołano Neville'a Longbottoma, chłopca, który zgubił ropuchę, biedak przewrócił się, idąc do stołka, a potem długo na nim siedział, póki tiara w końcu nie krzyknęła:

— GRYFFINDOR!

Neville zerwał się i odbiegł, wciąż w tiarze na głowie, i musiał wrócić, żeby wśród ryków śmiechu rozbawionej sali oddać ją Morągowi MacDougalowi.

Następnie wystąpił dumny i blady Malfoy i natychmiast spełniło się jego życzenie: zaledwie tiara dotknęła jego głowy, wrzasnęła:

— SLYTHERIN!

Malfoy usiadł obok swoich przyjaciół, Crabbe'a i Goyle'a, wyraźnie z tego uradowanych.

Pozostało ich już niewielu.

Moon... Nott... Parkinson... potem para bliźniaczek, Patii i Patii... potem Perks Sally Anna... aż w końcu...

— Potter, Harry!

Kiedy Harry wystąpił, rozległy się podniecone szepty, jakby w całej sali wykypiała woda na rozpaloną do czerwoności blachę.

— Potter? Tak powiedziała?

— Ten Harry Potter?

Ostatnią rzeczą, jaką Harry zobaczył, zanim tiara opadła mu na oczy, był gąszcz wyciągniętych głów, bo każdy chciał mu się przyjrzeć. Potem widział już tylko ciemne wnętrza tiary. Czekał.

— Hmm... — usłyszał w uchu cichy głosik. — Trudne. Bardzo trudne. Mnóstwo odwagi, tak. Umysł też dość tęgi. To prawdziwy talent... och, na Boga, tak... i zdrowe pragnienie sprawdzenia się... tak, to bardzo interesujące... Więc gdzie mam go przydzielić?

Harry chwycił mocno za krawędzie stołka i pomyślał: Tylko nie do Slytherinu, nie do Slytherinu.

— Nie do Slytherinu? — odezwał się głosik. — Jesteś pewny? Możesz być kimś wielkim, tak, to wszystko jest tu, w twojej głowie, a Slytherin na pewno pomoże ci w osiągnięciu wielkości... Nie? No dobrze, skoro jesteś pewny... niech będzie...

— GRYFFINDOR!

To ostatnie słowo tiara wrzasnęła na całą salę. Zdjął ją i na trzęsących się nogach ruszył ku stołowi Gryffindoru. Czuł taką ulgę, że został wybrany i nie trafił do Slytherinu, że prawie do niego nie docierały najgłośniejsze jak dotąd wiwaty. Percy prefekt wstał i uściśnął mu serdecznie rękę, a bliźniacy ryczeli: “Mamy Pottera! Mamy Pottera!”. Harry usiadł naprzeciw ducha w trykocie. Duch poklepał go po ramieniu,

co Harry odczuł tak, jakby zanurzył ramię w wiaderku z lodowatą wodą.

Dopiero teraz zobaczył dokładnie stół przydialny. Na samym końcu, najbliżej niego, siedział Hagrid, który spojrzał na niego i uniósł kciuk do góry. Harry wyszczerzył do niego zęby. A pośrodku, na wielkim złotym krześle z oparciami siedział sam Dumbledore. Harry poznał go natychmiast, bo przecież dobrze się przyjrzał jego żywej podobiznie na karcie z czekoladowej żaby. Srebrne włosy Dumbledore'a płonęły jasnym blaskiem. W mrocznej sali lśniły tak tylko te włosy i duchy. Zobaczył też profesora Quirrella, owego nerwowego młodzieńca z Dziurawego Kotła. Wyglądał bardzo osobliwie w wielkim purpurowym turbanie.

Jeszcze tylko cztery osoby nie miały przydziału. "Thomas, Dean", ciemnoskóry chłopiec wyższy nawet od Rona, usiadł przy stole Gryffindoru obok Harry'ego. "Turpin, Lisa", trafiła do Ravenclawu, a potem nadeszła kolej na Rona, który już nie był po prostu blady, ale bladozielony. Harry skrzyżował palce pod stołem, a w chwilę później tiara oznajmiła donośnym głosem:

— GRYFFINDOR!

— Dobra robota, Ron, wspaniale — pochwalił go wspaniałomyślnie Percy Weasley, kiedy "Zabini, Blaise" został przydzielony do Slytherinu. Profesora McGonagall zwinęła pergamin i zabrała Tiarę Przydziału.

Harry popatrzył na swój pusty złoty talerz. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Paszteciki dyniowe należały już do zamierzchłej przeszłości.

Teraz powstał Albus Dumbledore. Rozłożył szeroko ramiona, twarz miał rozpromienioną, jakby nic nie mogło go tak ucieszyć, jak widok wszystkich uczniów.

— Witajcie! — powiedział. — Witajcie w nowym roku szkolnym w Hogwarcie! Zanim rozpoczniemy nasz bankiet,

chciałbym wam powiedzieć kilka słów. A oto one: Głupol! Mazgaj! Śmieć! Obsuw! Dziękuję wam!

I usiadł. Rozległy się oklaski i wiwaty. Harry nie wiedział, czy się śmiać, czy zachować powagę.

— Czy on jest trochę... no wiesz... stuknięty? — zapytał niepewnym tonem Percy'ego.

— Stuknięty? — powtórzył beztrósco Percy. — To geniusz! Największy czarodziej na świecie! Ale fakt, ma lekkiego świra. Podać ci ziemniaczki, Harry?

Harry otworzył usta. Półmiski pełne były najróżniejszych potraw. Jeszcze nigdy nie widział tylu różnych rzeczy na jednym stole: befsztyki, pieczone kurczęta, kotlety schabowe i jagnięce, kiełbaski, bekony, steki, ziemniaki gotowane i pieczone, frytki, pudding Yorkshire, strudle, marchewka, sosy, keczup i, nie wiedzieć czemu, miętówki.

Dursleyowie Harry'ego nie głodzili, ale też nigdy nie pozwalali mu najeść się do syta. Dudley zawsze zjadał to, na co Harry miał akurat ochotę, choćby miało mu się zrobić niedobrze. Harry napełnił więc talerz wszystkim po trochu, prócz miętówek, i zaczął jeść. Wszystko było naprawdę wspaniałe.

— Wygląda całkiem apetycznie — powiedział duch w krycie, przyglądając się, jak Harry odcina kawałek soczystego steku.

— Nie możesz... ?

— Nie jadłem od prawie czterystu lat — odpowiedział duch. — Nam to niepotrzebne, choć, oczywiście, trochę się za tym tęskni. Ale chyba jeszcze się nie przedstawiłem. Sir Nicholas de Mimsy—Porpington, do usług. Duch—rezydent Wieży Gryffindoru.

— Wiem, kim jesteś! — zawołał nagle Ron. — Moi bracia opowiadali mi o tobie... Jesteś Prawie Bezgłowym Nickiem!

— Wolałbym, żeby zwracano się do mnie Sir Nicholas de Mimsy — zaczął duch, ale przerwał mu Seamus Finnigan, chłopiec o piaskowych włosach.

— Prawie bezgłowy? Jak można być prawie bezgłowym? Sir Nicholas zrobił bardzo urażoną minę.

— Można. O tak — powiedział ze złością. Złapał się za lewe ucho, pociągnął i... głowa przechyliła się na bok i spoczęła na ramieniu, jakby była na zawiasach. Ktoś najwidoczniej próbował odciąć Sir Nicholasowi głowę, ale brakowało mu wprawy i nie zrobił tego dokładnie. Prawie Bezgłowy Nick popatrzył z zadowoleniem na ich zdumione twarze i umieścił sobie głowę z powrotem na karku, odkaszlnął i rzekł:

— A więc... nowi Gryfoni! Żywię nadzieję, że pomożecie nam zdobyć mistrzostwo domów w tym roku. Jeszcze nigdy nie utraciliśmy pucharu aż na tak długo. Ślizgoni... tak nazywamy mieszkańców Slytherinu... zdobyli go już sześć lat temu i dotąd nie oddali! Krwawy Baron puszy się tak, że trudno z nim wytrzymać... Baron rezyduje w Slytherinie, rzecz jasna.

Harry spojrzał na stół Ślizgonów i zobaczył siedzącego przy nim straszliwego ducha z pustymi, bladymi oczami i ponurą twarzą, w szatach zbryzganych srebrną krwią. Siedział na prawo od Malfoya, który — jak Harry stwierdził z zadowoleniem — nie wyglądał na zachwyconego tym sąsiedztwem.

— Dlaczego jest taki zakrwawiony? — zapytał z ciekawością Seamus.

— Nigdy go o to nie pytałem — odpowiedział Prawie Bezgłowy Nick.

Kiedy wszyscy najedli się do syta, resztki po prostu znikły z talerzy, które znowu zaślniły czystością. W chwilę później pojawiły się desery: bloki lodów we wszystkich smakach, jakie można sobie było wymyślić, strucle jabłkowe, ciastka z

owocami polaną syropem, polaną czekoladą ekierki, pączki nadziewane konfiturą, biszkopty z kremem, truskawki, marmoladki, ryżowy budyń...

Harry nałożył sobie wielkie ciastko z owocami i syropem, a tymczasem rozmowa zeszła na koligacje rodzinne.

— Ja jestem pół na pół — powiedział Seamus. — Tata jest mugolem. Mama dopiero po ślubie powiedziała mu, że jest czarownicą. Trochę nim to wstrząsnęło.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— A ty, Neville? — zapytał Ron.

— Mnie wychowała babcia, która jest czarodziejką, ale rodzina bardzo długo uważała mnie za kompletnego mugola. Stryjek Algie wciąż próbował mnie sprowokować, żebym się ujawnił z czarami... raz nawet zepchnął mnie do morza z końca mola w Blackpool, mało brakowało, a bym się utopił... ale nic się nie stało. Dopiero jak miałem osiem lat, stryjek przyszedł do nas na obiad, złapał mnie za kostki u nóg i wywiesił za okno, a tu babcia go pyta, czy nie zjadłby bezy... No więc mnie puścił, bo bardzo lubił bezy, a ja spadłem do ogrodu, odbiłem się od ziemi jak piłka i znowu spadłem na drogę. Ale była uciecha! Babcia aż się popłakała, tak się cieszyła. Żebyście widzieli ich miny, jak dostałem list. Bo przedtem się bali, że nie jestem dostatecznie magiczny. Stryjek Algie tak był zadowolony, że od razu kupił mi ropuchę.

Percy Weasley i Hermiona rozmawiali o nauce ("Mam nadzieję, że od razu się zacznie, tyle trzeba się nauczyć, mnie osobiście bardzo interesuje transmutacja, no wiesz, zamienianie czegoś w coś innego, no tak, oczywiście, wiem, że to bardzo trudne..."; "Zacziesz od małych rzeczy, no wiesz, zamienianie zapalek w igły, takie tam sztuczki...").

Harry, który robił się coraz bardziej senny, spojrzał na stół przydialny. Hagrid pociągał zdrowo z pucharu. Profesor McGonagall rozmawiała z profesorem Dumbledore'em.

Profesor Quirrell, w swoim absurdalnym turbanie, rozmawiał z jakimś nauczycielem o tłustych czarnych włosach, haczykowatym nosie i ziemistej cerze.

Nagle ów nauczyciel spojrzał ponad turbanem Quirella prosto w oczy Harry'ego, a ten poczuł ostry, piekący ból w czole, jakby go ktoś trafił końcem rozgrzanego pogrzebacza.

— Auu! — krzyknął Harry i złapał się za głowę.

— Co ci jest? — zapytał Percy.

— N—nic.

Ból minął równie szybko, jak się pojawił. Trudniej było otrząsnąć się z wrażenia, jakie na Harrym sprawiło to spojrzenie — wrażenia, że ów nauczyciel z pewnością go nie lubi.

— Kim jest ten, który rozmawia z profesorem Quirrellem? — zapytał Percy'ego.

— O, już znasz Quirella, tak? Nic dziwnego, że jest taki zdenerwowany, rozmawia z profesorem Snape'em. Snape uczy eliksirów, ale nie bardzo ma na to ochotę... wszyscy wiedzą, że wolałby zająć miejsce Quirella. Ten Snape zna się na czarnej magii.

Harry obserwował Snape'a przez jakiś czas, ale ten już na niego nie spojrzał.

W końcu znikły również desery i znowu powstał profesor Dumbledore. W sali zrobiło się cicho.

— E—hym... jeszcze tylko kilka słów. Mam nadzieję, że wszyscy się najedli i napili. Chciałbym wam przekazać kilka uwag wstępnych. Pierwszoroczniacy niech zapamiętają, że nikomu nie wolno wchodzić do lasu, który leży na skraju terenu szkoły. Dobrze by było, żeby pamiętało o tym również kilku starszych uczniów.

Migocące oczy Dumbledore'a zwróciły się w stronę rudych bliźniaków.

— Pan Filch prosił mnie też, żebym wam przypomniał, że między lekcjami, na korytarzach, nie wolno używać żadnych czarów. Próby do quidditcha rozpoczną się w drugim tygodniu semestru. Każdy, kto jest zainteresowany grą w barwach swojego domu, powinien zgłosić się do pani Hooch. I ostatnia uwaga. Muszę was poinformować, że w tym roku wstęp na korytarz na trzecim piętrze, ten po prawej stronie, jest zabroniony. Dla wszystkich, o ile nie chcą umrzeć w straszliwych mękach.

Harry roześmiał się, ale był jednym z niewielu, którzy to uczynili.

— On chyba żartuje, co? — mruknął do Percy'ego.

— Nie sądzę — odrzekł Percy, marszcząc czoło. — To dziwne, bo zwykle podaje powód, dla którego nie wolno gdzieś wchodzić... W lesie jest mnóstwo niebezpiecznych zwierząt i potworów, wszyscy o tym wiedzą. Ale tu, na trzecim piętrze... Uważam, że powinien powiedzieć chociaż nam, prefektom.

— A teraz, zanim pójdziemy spać, zaśpiewajmy nasz szkolny hymn! — zawołał Dumbledore. Harry zauważył, że uśmiechy innych nauczycieli jakby nieco zbladły.

Dumbledore poderwał lekko swoją różdżkę, jakby strząsał z niej muchę, a z jej końca wystrzeliła złota szarfa, która uniosła się w wysoko nad stoły i rozwinęła, jak wąż, w słowa.

— Każdy wybiera sobie ulubioną melodię — zawołał Dumbledore — i śpiewamy! A cała szkoła zawyła:

*Hogwart, Hogwart, Pieprza—Wieprzy Hogwart,
Naucz nas choć trochę czegoś!
Czy kto miody z świerzbem ostrym,
Czy kto stary z łbem łysego,
Możesz wypchać nasze głowy
Farszem czegoś ciekawego,
Bo powietrze je wypełnia,*

*Muchy zdechłe, kurzu wełna.
Naucz nas, co pożyteczne,
Pamięć wzrusz, co ledwie zipie,
My zaś będziemy wkuwać wiecznie,
Aż się w próchno mózg rozsypie!*

Każdy kończył śpiewać w trochę innym czasie. W końcu tylko bliźniacy Weasleyowie śpiewali na powolną melodię marsza żałobnego. Dumbledore dyrygował nimi za pomocą różdżki aż do ostatniej nuty, a kiedy wreszcie skończyli, był jednym z tych, którzy klaskali najgłośniej.

— Ach, muzyka — powiedział, ocierając łzę w oku. — To magia większa od wszystkiego, co my tu robimy! A teraz, pora spania. Biegiem do łóżek!

Pierwszorocznicy z przydziałem do Gryffindoru pomaszerowali za Percym, przepychając się przez huczący od gwaru tłum. Wyszli z Wielkiej Sali, a potem poprowadził ich marmurowymi schodami. Harry czuł, że znowu nogi ma jak z ołowiu, tym razem nie ze strachu, ale ze zmęczenia i obżarstwa. Był taki senny, że nie zaskoczyło go wcale, iż ludzie z portretów na ścianach korytarzy szeptałi coś i pokazywali ich sobie. Percy poprowadził ich przez drzwi ukryte za rozsuwanymi panelami i wyblakłymi arrasami. Wspięli się po jakichś kolejnych schodach, ziewając i powłócząc nogami, a Harry zaczął już się zastanawiać, jak długo jeszcze będą iść, kiedy nagle się zatrzymali.

Przed nimi, w powietrzu, unosiła się wiązka lasek, a kiedy Percy zrobił krok w ich stronę, laski zaczęły się na niego rzucać.

— To Irytek — szepnął Percy do pierwszoroczników. — Poltergeist. — Podniósł głos. — Irytku, pokaż się.

Odpowiedzią był ordynarny, syczący odgłos, jakby ktoś wypuszczał powietrze z balona.

— Chcesz, żebym poszedł po Krwawego Barona?

Rozległ się trzask i pojawił się mały człowieczek ze złośliwymi, czarnymi oczkami i szerokimi ustami. Unosił się ze skrzyżowanymi nogami w powietrzu, trzymając wiązkę lasek.

— Oooooch! — zarechotał. — Pierwszoroczniki! Maluchy! Ale zabawa!

I nagle rzucił się w ich kierunku. Wszyscy cofnęli się gwałtownie.

— Idź sobie, Irytku! Mam o tym donieść Baronowi? Zaraz to zrobię! — krzyknął Percy.

Irytek pokazał mu język i zniknął, upuszczając laski na głowę Neville'a. Usłyszeli, jak się oddala, bębniąc po drodze w tablice z herbami.

— Musicie się wystrzegać Irytka — powiedział Percy, kiedy ruszyli dalej. — Boi się tylko Krwawego Barona. Nie słucha nawet nas, prefektów. No, jesteśmy.

Na samym końcu korytarza wisiał portret grubej kobiety w różowej, jedwabnej sukni.

— Hasło? — zapytała.

— Caput Draconis — odpowiedział Percy, a portret usunął się, ukazując okrągłą dziurę w ścianie. Przeleźli przez nią — Neville'a trzeba było podsadzić — i znaleźli się w pokoju wspólnym Gryffindoru: przytulnym, okrągłym pomieszczeniu pełnym wysiedzianych foteli.

Percy wskazał dziewczętom jedne drzwi, wiodące do ich dormitorium, a chłopcom drugie. Na szczycie spiralnych schodów — najwidoczniej byli w jednej z wież — znaleźli w końcu komnatę sypialną z pięcioma łóżkami, każde z kolumnkami w rogach, między którymi wisiały aksamitne, ciemnoczerwone zasłony. Ich kufry już tam stały. Zbyt zmęczeni, by rozmawiać, rozebrali się, założyli piżamy i padli na łóżka.

— Ale żarcie, co? — mruknął zza zasłony Ron. — Zjeżdżaj, Parszywku! Zabiera się do mojego prześcieradła!

Harry zamierzał zapytać Rona, czy próbował ciastek z owocami i kremem, ale nie zdążył, bo zasnął.

Prawdopodobnie zjadł za dużo, gdyż miał bardzo dziwny sen. Śniło mu się, że ma na głowie turban profesora Quirrella, który (turban) mówił mu, że musi się natychmiast przenieść do Slytherinu, ponieważ takie jest jego przeznaczenie. Harry odpowiedział turbanowi, że nie chce iść do Slytherinu, a turban robił się coraz cięższy i cięższy. Harry próbował go ściągnąć, ale turban zacisnął mu się boleśnie na głowie — i był tam Malfoy, który śmiał się z niego, widząc walkę z turbanem — a potem Malfoy zamienił się w tego nauczyciela z haczykowatym nosem, Snape'a, który śmiał się bardzo głośno, coraz głośniej — aż nagle buchnęło zielone światło i Harry obudził się, zlany potem i drżący ze strachu.

Przewrócił się na bok i znowu zasnął, a kiedy obudził się następnego ranka, w ogóle nie pamiętał tego snu.

ROZDZIAŁ

ÓSMY

MISTRZ ELIKSIRÓW



Tam, popatrz. — Gdzie?

— Obok tego wysokiego chłopaka z rudymi włosami.

— W okularach?

— Widziałeś jego twarz?

— Widziałeś jego bliznę?

Takie szepty towarzyszyły Harry'emu od chwili, gdy następnego ranka opuścił dormitorium. Ludzie stawali na palcach, żeby go zobaczyć, albo wracali, żeby mu się lepiej przyjrzeć, kiedy mijał ich na korytarzach. Harry wolałby, żeby tego nie robili, zwłaszcza że próbował się skupić na odnalezieniu sal do nauki.

W Hogwarcie było sto czterdzieści różnych schodów: szerokich i wygodnych, wąskich i rozklekotanych; niektóre w piątki prowadziły zupełnie gdzie indziej niż w pozostałe dni tygodnia, inne miały gdzieś w środku znikający stopień, o którym trzeba było pamiętać. Były też drzwi, które za nic nie dały się otworzyć, jeśli ich się grzecznie nie poprosiło albo nie połaskotało w odpowiednim miejscu, a także drzwi, które w ogóle nie były prawdziwymi drzwiami, tylko miejscami w ścianie udającymi drzwi. Trudno było zapamiętać, gdzie co jest, ponieważ wszystko zdawało się wciąż zmieniać miejsce. Osoby z portretów nieustannie się odwiedzały, a Harry był pewny, że stojące tu i ówdzie zbroje potrafią chodzić.

Duchy tylko pogarszały sytuację. Trudno było nie poczuć zimnego dreszczu, kiedy jeden z nich prześlizgiwał się nagle przez drzwi, które próbowało się otworzyć. Prawie Bezgłowy Nick cieszył się, kiedy mógł pokazać drogę nowym Gryfonom, ale spotkanie z Irytkiem Poltergeistem zawsze kończyło się przynajmniej dwoma zamkniętymi na klucz drzwiami i schodami z pułapką. Z lubością wysypywał nowicjuszom kubły ze śmieciami na głowę, wyciągał dywany spod nóg, obrzucał kawałkami kredy albo znieczeka łapał za nos, wrzeszcząc: "MAM TWÓJ NOCHAL!"

Jeszcze gorszy od Irytka, jeśli to w ogóle możliwe, był woźny, Argus Filch. Harry i Ron zapoznali się z niemiłą stroną jego charakteru już pierwszego przedpołudnia. Filch spotkał ich, jak próbowali przejść przez drzwi, które okazały się wejściem do zakazanego korytarza na trzecim piętrze. Nie chciał uwierzyć, że po prostu zabłądzili, był pewny, że celowo chcieli się tam wdrzeć, i groził, że zamknie ich w lochu. Na szczęście uratował ich profesor Quirrell, który akurat tamtędy przechodził.

Filch miał kotkę, Panią Norris, kościste, bure stworzenie o wypukłych, płonących oczach, podobnie zresztą jak sam Filch. Zwykle patrolowała samotnie korytarze. Wystarczyło złamać jakiś przepis, zrobić coś nie tak jak należy, a kocica natychmiast wzywała Filcha, który sapiąc, pojawiał się po kilku sekundach. Filch znał sekretne przejścia w zamku najlepiej ze wszystkich (może z wyjątkiem rudych bliźniaków) i potrafił wyrastać spod ziemi równie niespodziewanie jak duchy. Wszyscy uczniowie go nie znosili, a wielu uważało za punkt honoru dać Pani Norris zdrowego kopniaka.

No i wreszcie, kiedy już udało się je znaleźć, były pracownie poszczególnych przedmiotów. Już po paru pierwszych tygodniach Harry musiał przyznać, że wymachiwanie różdżką i mamrotanie paru śmiesznych słów to dziecinna zabawa w porównaniu z tym, czego ich uczono.

W każdą środę, o północy, studiowali niebo przez teleskopy, poznając nazwy różnych gwiazd i ruchy planet. Trzy razy w tygodniu wychodzili z zamku do cieplarni, aby uczyć się zielarstwa pod kierunkiem przysadzistej starej czarownicy, profesor Sprout. Uczyli się, jak hodować te wszystkie dziwne rośliny i grzyby, a także jaki z nich robić użytek.

Najnudniejsza była historia magii, jedyny przedmiot wykładany przez ducha. Profesor Binns był już bardzo stary. Pewnego wieczora zasnął przed kominkiem w pokoju

nauczycielskim, a kiedy następnego ranka wstał, aby pójść na lekcję, był już bez ciała. Binns wciąż zapadał w drzemkę, kiedy oni zapisywali długie listy nazwisk i dat, myśląc Emeryka Złego z Ulrykiem Niegodziwym.

Profesor Flitwick, nauczyciel zaklęć i uroków, był małym czarodziejem, który musiał stać na stosie ksiąg, żeby widzieć coś spoza katedry. Podczas pierwszej lekcji odczytał listę obecności, a kiedy doszedł do Harry'ego, zakwiczał z emocji i zniknął im z oczu, spadając za katedrę.

Profesor McGonagall była zupełnie inna. Harry miał całkowitą rację, uważając, że to nauczyciel, którego nie sposób oszukać. Energiczna i bystra, dała im pokaz tego, co potrafi, kiedy tylko usiedli w ławkach.

— Transmutacja jest najbardziej złożonym i niebezpiecznym rodzajem magii, jakiego będziecie się uczyć w Hogwarcie — oznajmiła. — Każdy, kto będzie rozrabiał, opuści klasę i już do niej nie wróci. Zostaliście ostrzeżeni.

Potem zmieniła katedrę w prosiaka, a prosiaka w katedrę. Zrobiło to na wszystkich duże wrażenie i nie mogli się doczekać, kiedy sami zaczną zmieniać meble w zwierzęta. A czekali długo. Po zapisaniu mnóstwa skomplikowanych reguł i wskazówek, każdy dostał zapałkę i musiał zacząć od próby zamienienia jej w igłę. Pod koniec lekcji tylko Hermionie Granger coś z tego wyszło; profesor McGonagall pokazała wszystkim jej zapałkę, teraz srebrną i zaostrzoną, a następnie obdarzyła Hermionę łaskawym uśmiechem.

Przedmiotem, którego wszyscy wyczekiwali z największą niecierpliwością, była obrona przed czarną magią, ale profesor Quirrell, który tego nauczał, bardzo ich zawiodł. W jego klasie zawsze cuchnęło czosnkiem; mówiono, że spożywał go w wielkich ilościach jako środek przeciw pewnemu wampirowi, którego spotkał w Rumunii, i odtąd żył w nieustannym lęku, że ów wampir odnajdzie go nawet tutaj. Śmieszny turban,

który zawsze nosił, był podobno darem od afrykańskiego księcia, który chciał mu się odwdziżyć za uwolnienie od towarzystwa jakiegoś wyjątkowo uciążliwego zombi, ale nie bardzo wierzyli w tę opowieść. Po pierwsze, kiedy Seamus Finnigan zapytał Quirrella, jak pokonał tego zombi, profesor zrobił się różowy i zaczął mówić o pogodzie, a po drugie, zauważyli, że to turban wydziela okropny zapach. Weasleyowie uważali, że właśnie w nim jest pełno czosnku, mającego wszędzie chronić Quirrella przed wampirem — dlatego się z nim nie rozstawał.

Harry z ulgą stwierdził, że wcale nie jest tak bardzo zapóźniony w znajomości świata magii. Wielu uczniów pochodziło z rodzin mugoli i podobnie jak on nie miało przedtem pojęcia, że są czarodziejami. Zresztą nauki było tyle, że nawet tacy czarodzieje z dziada pradziada jak Ron wcale nie byli od nich lepsi.

Piątek był ważnym dniem dla Harry'ego i Rona. Wreszcie udało im się trafić do Wielkiej Sali na śniadanie i ani razu po drodze nie zbłądzić.

— Co dzisiaj mamy? — zapytał Rona Harry, sypiąc sobie cukier do owsianki.

— Dwie godziny eliksirów, ze Ślizgonami — odpowiedział Ron. — Snape jest opiekunem ich domu. Mówią, że zawsze mają u niego taryfę ulgową... zobaczymy, czy to prawda.

— Żeby tak McGonagall traktowała nas ulgowo — powiedział Harry.

Profesor McGonagall była opiekunką Gryffindoru, ale wcale to jej nie przeszkodziło w zadaniu im mnóstwa pracy domowej poprzedniego dnia.

Właśnie nadeszła poczta. Harry już się do tego przyzwyczał, ale pierwszego ranka przeżył lekki wstrząs, kiedy podczas śniadania około setki sów wleciało do Wielkiej

Sali, krążąc nad stołami i poszukując właściwych adresatów, a potem zrzuciło im na podłogi listy i paczuszki.

Jak dotąd Hedwiga niczego jeszcze Harry'emu nie przyniosła. Czasami podlatywała i szczypała go w ucho, a wtedy dostawała kawałek tostów i leciała do sowiarni na drzemkę. Tego ranka wylądowała jednak na stole, między marmoladą a cukiernicą, i rzuciła Harry'emu na talerz zwitek papieru. Rozwinął go z niecierpliwością i zobaczył parę zdań, napisanych bardzo koślawym pismem:

Drogi Harry,

Wiem, że w piątek po południu masz wolne, więc może byś wpadł do mnie na kubek herbaty około trzeciej? Opowiesz mi o swoim pierwszym tygodniu. Wyślij odpowiedź przez Hedwigę.

Hagrid

Harry pożyczył pióro od Rona, napisał: "Tak, chętnie, do zobaczenia" na odwrocie listu i oddał go Hedwidze.

I całe szczęście, że czekała go ta herbatka z Hagridem, bo lekcja eliksirów okazała się najprzykrzejszym przeżyciem, jakie go do tej pory spotkało.

Na początku bankietu powitalnego Harry doszedł do wniosku, że profesor Snape z jakiegoś powodu go nie lubi. Pod koniec lekcji eliksirów wiedział już, że się mylił. Snape wyraźnie go nienawidził.

Lekcje eliksirów odbywały się w jednym z lochów. Było tam zimniej niż w reszcie zamku, a w dodatku wzdłuż ścian stały półki pełne słoików, w których pływały najróżniejsze marynowane zwierzęta. Już to wystarczało, żeby dostać gęziej skórki, kiedy się tam weszło.

Snape, podobnie jak Flitwick, zaczął od odczytania listy i podobnie jak Flitwick zatrzymał się przy nazwisku Harry'ego.

— Ach, tak — powiedział cicho. — Harry Potter. Nasza nowa znakomitość.

Draco Malfoy i jego przyjaciele Crabbe i Goyle parsknęli śmiechem, zakrywając twarze rękami. Snape skończył odczytywać nazwiska i spojrzał po klasie. Oczy miał czarne jak Hagrid, ale nie było w nich ani krzty ciepła. Były to oczy zimne i puste, przywodzące na myśl ciemne tunele.

— Jesteście tutaj, żeby się nauczyć subtelnej, a jednocześnie ściślej sztuki przyrządzania eliksirów — zaczął.

Mówił prawie szeptem, ale słyszeli każde słowo; Snape, podobnie jak profesor McGonagall, potrafił utrzymywać w klasie ciszę bez podnoszenia głosu. — Nie ma tutaj głupiego wymachiwania różdżkami, więc być może wielu z was uważa, że to w ogóle nie jest magia. Nie oczekuję od was, że naprawdę docenicie piękno kipiącego kotła i unoszącej się z niego roziskrzonej pary, delikatną moc płynów, które pełzną poprzez żyły człowieka, aby oczarować umysł i usidlić zmysły... Mogę was nauczyć, jak uwięzić w butelce sławę, uwarzyć chwałę, a nawet powstrzymać śmierć, jeśli tylko nie jesteście bandą bałwanów, jakich zwykle muszę nauczać.

Po tym krótkim przemówieniu znowu zapadła głucha cisza. Harry i Ron wymienili spojrzenia, unosząc brwi. Hermiona Granger prawie zsunęła się z krzesła, sprawiając wrażenie osoby, która zamierza udowodnić, że nie jest bałwanem.

— Potter! — powiedział znienacka Snape. — Co mi wyjdzie, jeśli dodam sproszkowanego korzenia asfodelusa do nalewki z piołunu?

Sproszkowanego korzenia czego? Do nalewki z czego? Harry zerknął na Rona, ale ten sprawiał wrażenie kompletnie ogłupiałego i z pewnością taki był. Ręka Hermiony wystrzeliła w powietrze.

— Nie wiem, panie profesorze — odpowiedział Harry. Wargi Snape'a wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu.

— Aha! Najwyraźniej sława to nie wszystko. Zlekceważył podniesioną rękę Hermiony.

— Spróbujmy jeszcze raz. Potter, gdzie będziesz szukał, jeśli ci powiem, żebyś znalazł mi bezoar?

Hermiona wyciągnęła rękę tak wysoko, jak zdołała, nie opuszczając swojej ławki, ale Harry nie miał zielonego pojęcia, co to jest bezoar. Starał się nie patrzeć na Malfoya, Crabbe'a i Goyle'a, którzy trzęśli się ze śmiechu.

— Nie wiem, panie profesorze.

— Wydaje mi się, że nie zaglądałeś do żadnej książki, zanim tu przyjechałeś, co Potter?

Harry zmusił się, by spojrzeć prosto w te zimne oczy. Oczywiście zaglądał do książek u Dursleyów, ale czyżby Snape oczekiwał, że zapamięta każdy przepis z Tysiąca magicznych ziół i grzybów?

Snape wciąż nie dostrzegał drżącej ręki Hermiony.

— Potter, jaka jest różnica między mordownikiem a tojadem żółtym?

Hermiona wstała, celując dwoma palcami w sklepienie lochu.

— Nie wiem — odpowiedział cicho Harry. — Myślę jednak, że wie Hermiona, więc dlaczego pan jej nie zapyta?

Rozległy się pojedyncze śmiechy; Harry napotkał spojrzenie Seamusa, który puścił do niego oko. Snape nie był jednak zachwycony.

— Siadaj — warknął na Hermionę. — A więc dowiedz się, Potter, że asfodelus i piołun dają napój usypiający o takiej mocy, że znany jest również jako wywar żywej śmierci. Bezoar to kamień tworzący się w żołądku kozy, który chroni przed wieloma truciznami. Jeśli chodzi o mordownik i tojad żółty, to jest to jedna i ta sama roślina, nazywana również akonitem. Dlaczego tego nie zapisujecie?

Zrobił się ruch, wszyscy sięgali po pióra i pergaminy.

— Potter — powiedział Snape — twoja ignorancja pozbawiła właśnie Gryffindor jednego punktu.

Dalej sprawy potoczyły się jeszcze gorzej. Snape podzielił ich na pary i kazał sporządzić prosty napój leczący z czyraków. Miotał się po lochu w swojej długiej, czarnej pelerynie, obserwując, jak odważają suszoną pokrzywę i kruszą kły węża, krytykując prawie wszystkich prócz Malfoya, którego wyraźnie faworyzował. Mówił właśnie, by wszyscy się przyjrzeni, jak Malfoy znakomicie uwarzył swoje rogate ślimaki, kiedy nagle loch wypełniła chmura gryzącego, zielonego dymu i rozległ się głośny syk. Neville niechcący zakołysał kociołkiem Seamusa i warzony przez nich płyn wylał się na posadzkę, wypalając dziury w butach sąsiadów. Neville, oblany płynem, jęczał z bólu, a na jego rękach i nogach rozkwitały czerwone bąble.

— Idiota! — warknął Snape i jednym machnięciem różdżki oczyścił posadzkę z rozlanego wywaru. — Oczywiście dodałeś kolce jeżozwierzka przed zdjęciem kociołka z ognia, tak?

Neville zaczął szlochać, bo bąble pokryły mu już cały nos.

— Zaprowadź go do skrzydła szpitalnego — burknął do Seamusa. A potem podszedł do Harry'ego i Rona, którzy pracowali obok Neville'a.

— Potter... Do ciebie mówię. Dlaczego nie powiedziałeś mi, żeby nie dodawał kolców? Myślałeś, że jeśli jemu coś nie wyjdzie, to ty na tym zyskasz? W ten sposób straciłeś jeszcze jeden punkt dla swojego domu.

Było to tak jawnie niesprawiedliwe, że Harry już otworzył usta, by wyrazić swój sprzeciw, ale Ron kopnął go dyskretnie.

— Nie prowokuj go — mruknął. — Słyszałem, że Snape potrafi być bardzo przykry.

Kiedy godzinę później wspinali się po schodach prowadzących z lochów na górę, Harry pograżył się w

smętnych myślach. Mijał dopiero pierwszy tydzień, a on już stracił dwa punkty... Dlaczego Snape tak się na niego wziął?

— Nie martw się — pocieszał go Ron. — Fred i George zawsze tracą punkty u Snape'a. Mogę z tobą pójść do Hagrida?

Za pięć trzecia opuścili zamek i poszli przez park. Hagrid mieszkał w małym drewnianym domku na skraju Zakazanego Lasu. Przed drzwiami stała para kaloszy, a o ścianę domku oparta była kusza.

Kiedy Harry zapukał, wewnątrz rozległo się gwałtowne skrobanie i kilka basowych szczęknięć. Potem usłyszeli głos Hagrida:

— Leżeć, Kieł! Spokój!

Drzwi lekko się uchyliły i ukazała się w nich wielka, włochata twarz Hagrida.

— Nie bójcie się — rzekł zamiast powitania. — Spokój, Kieł.

Wpuścił ich do środka, trzymając za obrozę olbrzymiego czarnego brytana.

Wewnątrz była tylko jedna izba. Z sufitu zwieszały się szynki i bażanty, nad otwartym paleniskiem kołysał się parujący miedziany kociołek, a w kącie stało masywne łóżko przykryte kołdrą z patchworku.

— Czujcie się jak w domu — powiedział Hagrid, puszczając Kła, który podbiegł prosto do Rona i zaczął mu lizać uszy. Podobnie jak Hagrid Kieł najwyraźniej nie był tak dziki, jak wyglądał.

— To jest Ron — przedstawił kolegę Harry. Hagrid już nalewał wrzątek do wielkiego dzbanka i wykładał na talerz herbatniki.

— Jeszcze jeden Weasley, co? — powiedział, patrząc na piegowatą twarz rudzielca. — Pół życia spędziłem na wyganianiu z lasu twoich braci bliźniaków.

Herbatniki okazały się bezkształtnymi bryłkami ciasta z rodzynekami, tak twardymi, że trzeba było uważać, żeby nie złamać sobie zęba, ale Harry i Ron udawali, że bardzo im smakuje i opowiadali Hagridowi o swoich pierwszych lekcjach. Kieł oparł łeb na kolanach Harry'ego, obśliniając mu całą szatę.

Harry i Ron byli zachwyceni, słysząc, że Hagrid nazywa Filcha "tym starym skurczybykiem".

— A ta wyleniała kocica, Pani Norris... Wiecie co, chciałbym ją kiedyś przedstawić Kłowi. Za każdym razem, kiedy jestem w szkole, bez przerwy za mną łązi. Nie można się jej pozbyć... Filch ją tak przyuczył.

Harry opowiedział Hagridowi o lekcji ze Snape'em. Hagrid, podobnie jak Ron, radził mu, żeby się tym nie przejmował, bo Snape nikogo nie lubi.

— Ale on mnie naprawdę nienawidzi.

— Bzdury! — powiedział Hagrid. — A niby dlaczego? Harry nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że Hagrid odwrócił wzrok, kiedy to mówił.

— A jak tam twój brat, Charlie? — zapytał Hagrid Rona. — Bardzo go lubiłem... miał rękę do zwierząt.

Harry zastanawiał się, czy Hagrid umyślnie zmienił temat. Kiedy Ron zaczął opowiadać o Charliem i jego sukcesach w tresowaniu smoków, Harry wziął do ręki kawałek papieru leżący na stole pod przykrywką na dzbanek. Był to artykuł wycięty z "Proroka Codziennego":

*CO NOWEGO W SPRAWIE WŁAMANIA DO GRINGOTTA?
Śledztwo w sprawie włamania do banku Gringotta utknęło w martwy m punkcie. Włamanie, które miało miejsce 31 lipca, uważa się za dzieło nieznanych czarnoksiężników lub czarownic.*

Personel Gringotta oznajmił dzisiaj, że nic nie zostało

zrabowane. Włamano się do pustej krypty, bo nieco wcześniej tego samego dnia została opróżniona przez właściciela.

“Nie możemy jednak powiedzieć, co w niej było, więc przestańcie węszyć, bo źle to się dla was skończy” — powiedział dziś po południu rzecznik goblinów.

Harry przypomniał sobie, że w pociągu Ron mówił mu o próbie obrabowania Gringotta, nie wspomniał jednak, kiedy to się stało.

— Hagridzie! — zawołał. — To włamanie wydarzyło się akurat w moje urodziny! Może nawet wtedy, kiedy tam byliśmy!

Tym razem nie było najmniejszej wątpliwości: Hagrid za nic nie chciał spojrzeć mu w oczy. Odchrząknął i zapytał, czy smakują mu ciasteczka. Harry jeszcze raz przeczytał artykuł. Włamano się do pustej krypty, bo nieco wcześniej tego samego dnia została opróżniona przez właściciela. Hagrid opróżnił kryptę siedemset trzystaście, jeśli w ogóle można nazwać opróżnieniem zabranie z niej jakiejś paczuszki. A może właśnie tego szukali złodzieje?

Kiedy Harry i Ron wracali do zamku na kolację, kieszenie mieli wypchane herbatnikami domowej roboty, których zabrania nie wypadało im odmówić. Harry pomyślał, że jeszcze żadna lekcja nie dała mu tyle do myślenia, co ta herbatka u Hagrida. Czyżby Hagrid zdążył zabrać paczkę we właściwym czasie? Komu ją oddał? I czy Hagrid wiedział coś o profesorze Snapie, czego nie chciał powiedzieć Harry’emu?

ROZDZIAŁ

DZIEWIĄTY

POJEDYNEK O PÓLNOCY



Harry nigdy nie sądził, że spotka chłopca, którego znienawidzi bardziej od Dudleya, ale zmienił zdanie, kiedy poznał Draco Malfoya. Pierwszoroczni Gryfoni mieli jednak razem ze Ślizgonami tylko lekcje eliksirów, więc nie był zbyt często narażony na jego towarzystwo. Tak przynajmniej było do dnia, w którym zobaczyli w swoim pokoju wspólnym na tablicy ogłoszeń komunikat powiadamiający ich, że od czwartku zaczną się lekcje latania i że Gryfoni będą je odbywać razem ze Ślizgonami. Wszyscy jęknęli.

— No tak — stwierdził ponuro Harry. — Zawsze o tym marzyłem. Żeby siedząc okrakiem na kiju od szczotki, zrobić z siebie głupca przed Malfoyem.

A z taką niecierpliwością wyczekiwał lekcji latania!

— A skąd wiesz, że zrobisz z siebie głupca? — zapytał rozsądnie Ron. — Wiem, że Malfoy wciąż opowiada, jaki to jest dobry w quidditchu, ale założę się, że to tylko puste przechwałki.

Malfoy istotnie wciąż mówił o lataniu. Uskarżał się głośno, że pierwszoroczniacy nigdy nie zasilają reprezentacji domów w quidditchu i opowiadał o sobie długie historie, które zawsze kończyły się jego udaną ucieczką przed helikopterami mugoli. Ale nie tylko on: Seamus Finnigan twierdził, że całe dzieciństwo spędził, wałęsając się na miotle po okolicy. Nawet

Ron opowiadał każdemu, kto zechciał go wysłuchać, jak lecąc na starej miotle Charliego, o mało nie wpadł na jakiś szybowiec. Wszyscy, którzy pochodzili z rodzin czarodziejskich, nieustannie rozmawiali o quidditchu. Ron zdążył już pokłócić się z Deanem Thomasem o piłkę nożną. Nie mógł zrozumieć, jak można się podniecać grą, w której jest tylko jedna piłka, a graczom nie pozwala się latać. Harry przyłapał kiedyś Rona na nakłuwaniu cyrklem plakatu Deana, przedstawiającego drużynę West Ham w akcji; Ron twierdził, że chciał po prostu zmusić piłkarzy do ruszenia się z miejsca.

Neville jeszcze nigdy nie siedział na kiju, ponieważ babka nie pozwalała mu się zbliżyć do żadnej miotły. Harry uważał w duchu, że miała ku temu powody, bo Neville i tak miewał mnóstwo różnych wypadków, nawet nie odrywając stóp od ziemi.

Hermiona Granger również bardzo się denerwowała lataniem. Tego nie mogła się nauczyć na pamięć z książki, chociaż, rzecz jasna, próbowała. W czwartek, podczas śniadania, zanudzała ich mądrymi wskazówkami i radami, zaczerpniętymi z książki *Quidditch przez wieki*. Neville łowił chciwie każde jej słowo w nadziei, że dowie się czegoś, co mu się przyda, gdy po raz pierwszy dosiędzie miotły, ale wszyscy inni odetchnęli z ulgą, kiedy wykład Hermiony przerwało nadejście poczty.

Od czasu krótkiego liściku od Hagrida Harry nie dostał jeszcze żadnego listu, czego Malfoy nie omieszkał mu wytknąć. Sowa Malfoya wciąż mu przynosiła od rodziców paczki ze słodyczami, które otwierał łaskawie przy stole Ślizgonów.

Neville dostał małą paczuszkę od swojej babci. Otworzył ją niecierpliwie i pokazał wszystkim szklaną kulkę, która wyglądała, jakby ją napełniono białym dymem.

— To przypominajka! — wyjaśnił. — Babcia wie, że wciąż o czymś zapominam, a ta kulka daje znać, że czegoś zapomniało

się zrobić. Zobaczcie, trzyma się ją mocno... o, tak... i jeśli zrobi się czerwona... — twarz mu się wydłużyła, bo przypominajka nagle zmieniła barwę na szkarłatną — ...to znaczy, że o czymś się zapomniało...

Neville próbował sobie przypomnieć, o czym zapomniał, kiedy Draco Malfoy, który właśnie przechodził koło ich stołu, wyrwał mu kulkę z ręki.

Harry i Ron zerwali się na nogi. Już mieli rzucić się na Malfoya, kiedy pojawiła się profesor McGonagall, która zawsze potrafiła dostrzec, że coś się święci.

— Co tu się dzieje?

— Malfoy zabrał mi przypominajkę, pani profesor. Malfoy rzucił mu jadowite spojrzenie i położył kulkę na stole.

— Chciałem tylko zobaczyć — powiedział i odszedł, a za nim, jak cienie, ruszyli Crabbe i Goyle.

Tego popołudnia, o trzeciej trzydzięci, Harry, Ron i inni Gryfoni zebrali się na wielkim trawniku przed zamkiem, aby odbyć pierwszą lekcję latania. Był słoneczny dzień, lekki wietrzyk mierzwił trawę pod ich stopami, kiedy schodzili łagodnym zboczem ku gładkiej, płaskiej łące, za którą majaczyła ciemna linia Zakazanego Lasu.

Ślizgoni już tam byli, a na ziemi leżało w równym rzędzie dwadzieścia mioteł. Harry słyszał, jak Fred i George

Weasleyowie wybrzydzają na szkolne miotły, twierdząc, że niektóre z nich wpadają w wibracje, jeśli polecą się za wysoko, albo ściągają w lewo.

Pojawiła się ich nauczycielka, pani Hooch. Miała krótkie, szare włosy i żółte oczy jastrzębia.

— Na co czekacie? — przywitała ich opryskliwie. — Niech każdy stanie przy miotle. No, dalej, nie ociagać się!

Harry zerknął w dół na swoją miotłę. Wyglądała na starą; niektóre witki sterczały pod dziwnymi kątami.

— Wyciągnąć prawą rękę nad miotłą — zawołała pani Hooch — i powiedzieć “Do mnie!”

— DO MNIE! — wrzasnęli wszyscy.

Miotła Harry’ego natychmiast podskoczyła do jego ręki, ale był jednym z niewielu, którym to się udało. Miotła Hermiony Granger potoczyła się po trawie, a miotła Neville’a ani drgnęła. Harry pomyślał, że może miotły, tak jak konie, wyczuwają, kiedy ktoś się boi; w głosie Neville’a wyczuwało się lekkie drżenie, po którym można było wyraźnie poznać, że wolałby nie odrywać stóp od ziemi.

Pani Hooch pokazała im, jak dosiąść miotły, żeby się z niej nie ześliznąć, a następnie przeszła wzdłuż szeregów, poprawiając pozycje i chwyt. Harry i Ron ucieszyli się, kiedy powiedziała Malfoyowi, że źle to robi.

— Uwaga! Kiedy usłyszycie gwizdek, odepchniecie się mocno nogami od ziemi! Utrzymujcie miotły w równowadze, wzniescie się na kilka stóp i lądujcie, wychylając się lekko do przodu. Na mój gwizdek... trzy... dwa...

Neville, zbyt przerażony perspektywą oderwania się od ziemi, poszybował w powietrze, zanim pani Hooch przytknęła gwizdek do warg.

— Wracaj! — krzyknęła, ale Neville leciał prosto w górę jak korek wystrzelony z butelki... dwanaście stóp... dwadzieścia stóp. Harry zobaczył jego białą twarz, przerażone spojrzenie wbite w uciekającą ziemię, otwarte usta, przechylenie tułowia w jedną stronę, w drugą, i...

ŁUP! Rozległo się głucho, nieprzyjemne łupnięcie i Neville leżał już w trawie jak worek kartofli. Jego miotła nadal wznosiła się w górę, potem skręciła leniwie ku Zakazanemu Lasowi i znikła im z oczu.

Pani Hooch pochylała się nad chłopcem blada jak on.

— Złamany nadgarstek — mruknęła. — No, chłopcze... nic ci nie będzie, wstawaj.

Wyprostowała się i zwróciła do całej klasy.

— Zabieram tego chłopca do skrzydła szpitalnego. Niech nikt nie waży się ruszyć z miejsca, zanim nie wrócę! Wystarczy, że któreś z was dotknie miotły, a wyleci z Hogwartu, zanim zdąży wypowiedzieć “quidditch”. No, chodź, kochaneczku.

Neville, ze łzami na policzkach, ściskając się za nadgarstek, powlókł się przez trawę, objęty jej ramieniem.

Gdy tylko się oddalili, Malfoy wybuchnął głośnym śmiechem.

— Widzieliście jego twarz? Jak kawał białej plasteliny! Ślizgoni uznali to za świetny dowcip.

— Zamknij się, Malfoy — warknęła Parvati Patii.

— Co, bronisz Longbottoma? — zapytała kpiącym tonem Pansy Parkinson, jedna ze ślizgońskich dziewczyn. — Nigdy bym nie pomyślała, Parvati, że lubisz takie małe, tłuste, rozmazane maluchy.

— Zobaczcie! — krzyknął Malfoy, podbiegając i podnosząc coś z trawy. — To ta głupia zabawka, którą mu przysłała babcia.

W jego ręku błysnęła przypominajka.

— Oddaj to, Malfoy — powiedział cicho Harry. Wszyscy zamilkli.

Malfoy uśmiechnął się drwiąco.

— Chyba ją tutaj gdzieś zostawię, żeby Longbottom mógł ją znaleźć... Na przykład... na drzewie.

— Oddaj ją! — ryknął Harry, ale Malfoy wskoczył na swoją miotłę i odbił się od ziemi. Nie kłamał, naprawdę umiał latać, i to całkiem niezłe. Podleciał aż do korony wielkiego dębu i zawołał:

— No, Potter, weź ją sobie! Harry chwycił miotłę.

— Nie! — krzyknęła Hermiona Granger. — Pani Hooch mówiła, żebyśmy się nie ruszali z miejsca... Wszyscy będziemy

mieli przez ciebie kłopoty!

Harry nie dbał o to. Krew pulsowała mu głośno w uszach. Dosiadł miotły i odepchnął się mocno od ziemi. Wystrzelił w powietrze jak pocisk; pęd rozwiały mu włosy, a szata łopotała za nim jak żagiel. Poczłł gwałtowny przyptłw dzikiej radości — uświadomił sobie, że robi coś, czego nigdy się nie uczył, że to bardzo łatwe i... cudowne. Zadarł lekko kij, żeby wznieść się jeszcze wyżej, a z ziemi usłyszał podniecone wrzaski dziewczyn i donośny okrzyk podziwu Rona.

Zakręcił ostro, ustawiając się przodem do Malfoya a. Malfoy miał dość głupi wyraz twarzy.

— Oddaj ją — zawołał Harry — albo zrzucę cię z miotły!

— Tak? — odpowiedział Malfoy, starając się drwiąco uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło.

W jakiś sposób Harry wiedział, co zrobić. Wychylił się do przodu, zacisnął obie dłonie na kiju i wystrzelił ku Malfoyowi jak oszczep. Malfoy w ostatniej chwili usunął mu się z drogi; Harry zakręcił ostro w miejscu i zatrzymał miotłę. Z dołu doleciały oklaski.

— Nie ma tu twoich goryli, Malfoy, nikt cię nie obroni! Zaraz skręcisz kark! — zawołał Harry. Najwyraźniej do Malfoya też to dotarło.

— Więc złap ją, jeśli potrafisz! — krzyknął i cisnął szklaną kulkę wysoko w powietrze, a sam poszybował ku ziemi.

Harry zobaczył — jak na zwolnionym filmie — że kulka wznosi się, zatrzymuje i zaczyna powoli opadać. Pochylił się, skierował koniec miotły ostro w dół i w następnej chwili poszybował za spadającą kulką z zawrotną szybkością. Powietrze gwizdało mu w uszach, mieszając się z wrzaskami obserwujących to kolegów... wyciągnął rękę... schwycił kulkę zaledwie o stopę nad ziemią, poderwał miotłę i wylądował miękko na trawie, z przypominajką w ręku.

— HARRY POTTER!

Serce zabiło mu jeszcze szybciej niż przed chwilą, kiedy nurkował w powietrzu. Zobaczył biegnącą ku nim profesor McGonagall. Stanął na nogach, drżąc ze strachu.

— Jeszcze nigdy... póki jestem w Hogwarcie... — Profesor McGonagall miała wyraźnie trudności z mówieniem, a jej okulary płonęły niepokojącym blaskiem. — Jak śmiałeś... mogłeś sobie skrócić kark...

— To nie jego wina, pani profesor...

— Cicho bądź, Patii...

— Ale Malfoy...

— Dosyć, panie Weasley! Potter, za mną.

Harry zdążył dostrzec triumfalne uśmiechy na twarzach Malfoya, Crabbe'a i Goyle'a i ruszył za profesor McGonagall, zmierzającą wielkimi krokami do zamku. Wiedział, że za chwilę wyleci ze szkoły. Chciał coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale nie mógł wydobyć głosu. Profesor McGonagall szła, nie oglądając się na niego, a szła tak szybko, że musiał biec, żeby dotrzymać jej kroku. No i po wszystkim. Nie wytrzymał nawet dwóch tygodni. Za dziesięć minut będzie już spakowany. Co powiedzą Dursleyowie, jak go zobaczą na progu domu?

Wspięli się po schodach wejściowych, potem po marmurowych wewnętrznych, a profesor McGonagall nie odezwała się do niego ani jednym słowem. Otwierała z trzaskiem drzwi i mijała korytarz za korytarzem, a Harry biegł za nią truchtem, pogrążony w czarnych myślach. Może prowadzi go do Dumbledore'a? Pomyślał o Hagridzie: jego też wyrzucili, ale pozwolili mu zostać i zrobili gajowym. Może mógłby być jego pomocnikiem? Poczul niemiły ucisk w brzuchu, gdy sobie to wyobraził: Ron i inni zostają czarodziejami, a on włóczy się po parku, nosząc torbę za Hagridem.

Profesor McGonagall zatrzymała się przy drzwiach jednej z klas. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

— Przepraszam, profesorze Flitwick, czy mogę na chwilę zabrać Wooda?

Wood? A co to takiego? Może jakieś narzędzie do chłosty?

Ale Wood okazał się osobą — tęgim młodzieńcem z piątego roku, który wyszedł z klasy profesora Flitwicka z niepewną miną.

— Obaj za mną — rzuciła profesor McGonagall, więc pomaszerowali za nią korytarzem. Wood przyglądał się Harry'emu z ciekawością.

— Tutaj. — Wprowadziła ich do jakiejś klasy, zupełnie pustej, jeśli nie liczyć Irytka, który wypisywał na tablicy sprośne słowa.

— Iryt, wynocha! — warknęła.

Irytek wrzucił kredę do blaszanego kosza na śmieci, robiąc przy tym sporo hałasu, i wyszedł z klasy, głośno przeklinając. Profesor McGonagall zatrzasnęła za nim drzwi i odwróciła się do dwóch chłopców.

— Potter, to jest Oliver Wood. Wood... znalazłam ci szukającego.

Wood cały się rozpromienił.

— Poważnie, pani profesor?

— Absolutnie. Ten chłopiec to urodzony szukający. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Potter, pierwszy raz siedziałeś na miotle?

Harry kiwnął głową w milczeniu. Nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi, ale wszystko wskazywało na to, że nie wyrzucają go ze szkoły. Powoli odzyskiwał czucie w nogach.

— Złapał małą kulkę, nurkując za nią z wysokości pięćdziesięciu stóp — oznajmiła profesor McGonagall. — I nawet się nie zadrasnął. Nawet Charlie Weasley nie dokonałby czegoś takiego.

Wood wyglądał teraz tak, jakby nagle ziściły się wszystkie jego marzenia.

— Potter, widziałeś już mecz quidditcha? — zapytał podnieconym tonem.

— Wood jest kapitanem drużyny Gryfonów — wyjaśniła profesor McGonagall.

— Zbudowany jak należy — rzekł Wood, obchodząc Harry'ego i przyglądając mu się uważnie. — Lekki... szybki... trzeba będzie dać mu przyzwoitą miotłę, pani profesor... Myślę, że Nimbusa Dwa Tysiące albo Siódemkę Zmiatacza.

— Porozmawiam z profesorem Dumbledore'em i zobaczymy, czy da się trochę nagiąć przepisy. Musimy mieć o wiele lepszą drużynę niż w zeszłym roku. W ostatnim meczu Ślizgoni po prostu nas zmiażdżyli, przez parę tygodni nie mogłam spojrzeć Severusowi Snape'owi w oczy...

Spojrzała surowo na Harry'ego znad okularów.

— Tylko żebyś mi się wziął ostro za trenowanie, Potter, bo mogę jeszcze zastanowić się nad karą za ten wybryk.

A potem nagle uśmiechnęła się.

— Twój ojciec byłby z ciebie dumny — powiedziała.

— Sam był znakomitym graczem.

— Żartujesz.

Siedzieli przy obiedzie. Harry kończył opowiadać Ronowi, co się stało, kiedy profesor McGonagall zaprowadziła go do zamku. Ron podnosił właśnie do ust widelec z kawałkiem steku, ale zapomniał o tym i ręka zamarła mu w powietrzu.

— Szukający? Daj spokój, pierwszorocznicy nigdy... Słuchaj, byłbyś chyba najmłodszym graczem w...

— ...w tym stuleciu — skończył Harry, wkładając sobie do ust kawał strudla. Po tych wszystkich przejściach był wściekle głodny. — Wood mi powiedział.

Ron był tak wstrząśnięty, że po prostu siedział i gapił się na Harry'ego.

— W przyszłym tygodniu zacznę trenować — oznajmił Harry. — Tylko nie mów nikomu. Wood chce utrzymać to w tajemnicy.

Weszli Fred i George Weasleyowie, zobaczyli Harry'ego i natychmiast do niego podeszli.

— Dobra robota — powiedział cicho George. — Wood nam powiedział. My też jesteśmy w drużynie... jako napastnicy.

— Mówię wam, w tym roku zdobywamy puchar — powiedział Fred. — Straciliśmy go, kiedy odszedł Charlie, ale w tym roku będziemy mieć super drużynę. Musisz być naprawdę dobry, Harry, Wood aż podskakiwał, jak nam o tym mówił.

— No dobra, idziemy. Lee Jordan twierdzi, że znalazł nowe tajne wyjście ze szkoły.

— Założę się, że chodzi mu o to samo, które znaleźliśmy rok temu. Wiesz, to za posągiem Grzegorza Przymilnego.

Zaledwie odeszli, gdy pojawił się ktoś o wiele mniej pożądany: Malfoy w towarzystwie swoich goryli.

— Co, zjadłeś już swój ostatni obiad, Potter? O której masz pociąg powrotny do świata mugoli?

— Widzę, że teraz, na ziemi i w towarzystwie swoich małych koleżków, wróciła ci odwaga — odpowiedział chłodno Harry.

Oczywiście o Crabbe i Goyle'u wszystko można było powiedzieć, tylko nie że są mali, ale za stołem nauczycielskim siedziało mnóstwo osób i trójka Ślizgonów mogła tylko zaciskać pięści i rzucać wściekłe spojrzenia.

— Mogę w każdej chwili sam się z tobą zmierzyć — powiedział Malfoy. — Dziś w nocy, jeśli chcesz. Pojedynek czarodziejów. Tylko różdżki, bez kontaktu. Co jest? Nigdy nie słyszałeś o pojedynku czarodziejów?

— Pewnie, że słyszał — powiedział Ron, odwracając się do niego. — Ja jestem jego sekundantem, a kto jest twoim?

Malfoy zmierzył wzrokiem Crabbe'a, a potem Goyle'a.

— Crabbe — oświadczył. — O północy, pasuje wam? Spotkamy się w Izbie Pamięci, zawsze jest otwarta.

Kiedy Malfoy odszedł, Ron i Harry wymienili spojrzenia.

— Ron, co to jest pojedynek czarodziejów? — zapytał Harry. — I o co chodzi z tym sekundantem?

— No... sekundant zastępuje walczącego, jeśli ten polegnie — odpowiedział Ron, zabierając się do swojego zimnego już strudla. Zerknął na Harry'ego i dodał szybko — Ale ludzie giną tylko w prawdziwych pojedynkach, no wiesz, z prawdziwymi czarodziejami. Ty i Malfoy możecie najwyżej strzelić w siebie paroma iskrami. Przecież żaden z was nie zna się na magii na tyle, by zrobić drugiemu krzywdę. W każdym razie na pewno myślał, że nie przyjmiesz wyzwania.

— A co będzie, jeśli machnę różdżką i nic się nie stanie?

— Ja wiem? Może ją rzucisz i rąbniesz go w nos — zaproponował Ron.

— Przepraszam.

Obaj spojrzeli w górę i zobaczyli Hermionę Granger.

— Czy już nie można zjeść spokojnie obiadu? — zapytał Ron.

Hermiona zlekceważyła go i zwróciła się do Harry'ego.

— Niechcący usłyszałam, o czym rozmawiałeś z Malfoyem...

— Założę się, że bardzo chcący — mruknął Ron.

— ...i chcę ci przypomnieć, że nie możesz chodzić po szkole w nocy, sam pomyśl, ile punktów straci przez ciebie Gryffindor, jak cię złapią, a złapią na pewno. To naprawdę bardzo egoistyczna postawa.

— A ty naprawdę nie powinnaś się wtrącać w bardzo nie swoje sprawy — odpowiedział Harry.

— Do widzenia — dodał Ron.

Mimo wszystko trudno to nazwać w pełni szczęśliwym zakończeniem tego obfitującego w wydarzenia dnia, myślał Harry, wsłuchując się w równe oddechy Deana i Seamusa

(Neville został w skrzydle szpitalnym). Ron przez cały wieczór udzielał mu rad w rodzaju: “Jak spróbuje rzucić jakieś zaklęcie, lepiej zrób unik, bo nie pamiętam, jak się je blokuje”. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zostaną przyłapani przez Filcha albo Panią Norris i Harry czuł, że sam kusi los, łamiąc kolejny punkt regulaminu szkolnego w jednym dniu. Z drugiej strony, widział wciąż w ciemności drwiący uśmiech Malfoya, a nadarzała się rzadka szansa, by zmierzyć się z nim twarzą w twarz. Nie mógł jej zmarnować.

— Pół do dwunastej — mruknął w końcu Ron. — Trzeba iść.

Założyli szlafroki, wzięli różdżki i wymknęli się z dormitorium. Zeszli spiralnymi schodami na dół, do pokoju wspólnego. Na kominku jeszcze się żarzyło kilka węgielków, a ich słaby blask zamieniał fotele w ciemne, przygarbione postacie gnomów. Byli już prawie przy dziurze za portretem, kiedy z najbliższego fotela odezwał się głos:

— Nie mogę uwierzyć, że jednak to robisz, Harry. Błysnął płomyk lampy. Hermiona Granger, w różowej koszuli nocnej, patrzyła na nich z wyrzutem.

— To ty! — syknął Ron zduszonym głosem. — Wracaj do łóżka!

— Już chciałam powiedzieć twojemu bratu, Percy’emu, jest prefektem i na pewno by was powstrzymał.

Harry nie mógł uwierzyć, że ktoś może być tak wścibski i namolny.

— Idziemy — powiedział Ron. Nacisnął portret Grubej Damy i przelazł przez dziurę w obrazie.

Hermiony nie można było jednak pozbyć się tak łatwo. Przelazła przez otwór za Ronem, sycząc na nich jak rozwścieczona gęś.

— Myślicie tylko o sobie, może byście pomyśleli o Gryffindorze... nie chcę, żeby Slytherin zdobył Puchar Domów,

a przez was stracimy wszystkie punkty, które zdobyłam u McGonagall za zaklęcia świetlne...

— Zjeżdżaj.

— Dobra, ale pamiętajcie, że was ostrzegłam, po prostu przypomnijcie sobie o tym, jak będziecie jutro siedzieć w pociągu... naprawdę, jesteście tacy...

Nie dowiedzieli się jednak, jacy są. Hermione odwróciła się w stronę portretu Grubej Damy, żeby wyjść z powrotem i stwierdziła, że patrzy na puste płótno. Gruba Dama wybrała się z jakąś nocną wizytą i Hermione została uwięziona w wieży Gryffindoru.

— No i co mam teraz zrobić? — zapytała piskliwym głosem.

— To już twój problem — odpowiedział Ron. — My musimy iść, bo się spóźnimy.

Nie zdążyli dojść do końca korytarza, kiedy ich dogoniła.

— Idę z wami — oznajmiła.

— Nie idziesz.

— A co, myślicie, że będę tam stała i czekała na Filcha? Jak nas wszystkich złapie, to powiem prawdę, że próbowałam was zatrzymać, a wy to możecie potwierdzić.

— No nie, jesteś naprawdę bezczelna... — powiedział głośno Ron.

— Zamknijcie się oboje! — szepnął ostro Harry. — Coś słyszałem.

Teraz wszyscy troje usłyszeli jakieś sapanie.

— Pani Norris? — wyszeptał Ron, wpatrując się w ciemność.

To nie była Pani Norris. To był Neville. Leżał, zwinięty w kłębek, na podłodze i spał w najlepsze, ale wzdrygnął się i otworzył oczy, kiedy podeszli bliżej.

— Jak to dobrze, że mnie znaleźliście! Siedzę tu od kilku godzin, zapomniałem nowego hasła i nie mogę wrócić do łóżka.

— Neville, mów ciszej, dobra? Hasło brzmi “Świński ryj”, ale i tak by ci nie pomogło, bo Gruba Dama dokądś sobie poszła.

— Jak tam twoja ręka? — zapytał Harry.

— W porządku — odpowiedział Neville, pokazując im rękę.
— Pani Pomfrey nastawiła mi ją w ciągu minuty.

— Dobra... ale słuchaj, Neville, musimy coś załatwić, zobaczymy się później...

— Nie zostawiajcie mnie! — zawołał Neville zduszonym głosem, zrywając się na równe nogi. — Nie zostanę tu sam... Krwawy Baron przechodził już dwa razy.

Ron zerknął na zegarek i popatrzył ze złością najpierw na Hermionę, a potem na Neville’a.

— Słuchajcie, jeśli wpadniemy przez któreś z was, nie spocznę, dopóki nie nauczę się tej Klątwy Upiorów, o której mówił nam Quirrell, i użyję jej wobec was.

Hermiona już otworzyła usta, prawdopodobnie chcąc Ronowi powiedzieć, jak się używa Klątwy Upiorów, ale Harry syknął na nią, by milczała, i wszyscy czworo ruszyli naprzód.

Przemykali się korytarzami pociętymi pasmami księżycowego blasku sączącego się z wysokich okien. Za każdym zakrętem Harry spodziewał się wpaść na Filcha albo Panią Norris, ale mieli szczęście. Wbiegli po schodach na trzecie piętro i na palcach weszli do Izby Pamięci.

Malfoya i Crabbe’a jeszcze nie było. Kryształowe szkatułki migotały w świetle księżyca. Puchary, tarcze, talerze i statuetki pobłyskiwały srebrem i złotem w ciemności. Przywarli do ściany, wpatrując się raz w jedne, raz w drugie drzwi po obu stronach sali. Harry wyjął różdżkę na wypadek, gdyby Malfoy nagle wbiegł i od razu zaczął pojedynek. Minuty pęły powoli.

— Spóźnia się, może stchórzył — szepnął Ron.

Nagle z sąsiedniego pokoju dobiegł jakiś odgłos. Wszyscy podskoczyli. Harry już podniósł różdżkę, gdy usłyszeli czyjś głos — i nie był to głos Malfoya.

— Rozejrzyj się, moja kochana, mogą siedzieć gdzieś w ciemnym kącie.

To był Filch, a przemawiał do Pani Norris. Ogarnięty paniką Harry machnął na resztę i zaczął się skradać do drzwi, byle dalej od głosu Filcha. Ledwo szata Neville'a zniknęła za drzwiami, kiedy usłyszeli, że Filch wchodzi do

Izby Pamięci.

— Muszą tu gdzieś być — rozległ się jego głos. — Pewno się ukrywają.

— Tędy! — szepnął Harry i ruszyli długą galerią, obstawioną zbrojami. Filch był coraz bliżej. Neville nagle wydał z siebie zduszony pisk i zaczął biec, potknął się, złapał Harry'ego w pól i obaj wpadli prosto na stojącą zbroję.

Łoskot był tak straszny, że wystarczył, by obudzić cały zamek.

— BIEGIEM! — ryknął Harry i cała czwórka pognała, nie oglądając się za siebie. Przelecieli przez wejście do galerii i popędzili korytarzami, Harry na przedzie, nie mając zielonego pojęcia, dokąd biegną. Przedarli się przez jakąś tkaninę ścienną, przebiegli przez jakieś tajne przejście, o którego istnieniu dotąd nie wiedzieli, i wyszli tuż obok pracowni zaklęć — a więc w zupełnie innej części zamku.

— Chyba go zgubiliśmy — wysapał Harry, opierając się o zimną ścianę i ocierając czoło. Neville, zgięty w pól, rzeził i pluł.

— Mówiłam... mówiłam — wydyszała Hermiona, przyciskając rękę do piersi. — Mówiłam...

— Musimy jakoś wrócić do naszej wieży — powiedział Ron — a im szybciej, tym lepiej.

— Malfoy zrobił z ciebie balona. — Hermione zwróciła się do Harry'ego. — Chyba to do ciebie dotarło, co? W ogóle nie miał zamiaru pojedynkować się z tobą... Filch wiedział, że coś ma być w Izbie Pamięci... To Malfoy musiał dać mu cynk.

Harry pomyślał, że to bardzo prawdopodobne, ale nie zamierzał przyznać jej racji.

— Idziemy.

Ale nie było to takie proste. Przeszli zaledwie z tuzin kroków, kiedy szczęknięła klamka i coś wystrzeliło z klasy prosto na nich.

Był to Irytek. Na ich widok zakwiczął z radości.

— Zamknij się, Irytku... naprawdę... przez ciebie wylecimy ze szkoły. Irytek zacmokał.

— Spacerujemy sobie po nocy, co? Tiu—tiu—tiu, maluchy, nie wolno, nie... Niegrzeczne maluszki, złapią was za uszki.

— Tylko wtedy, jak nas wydasz. Irytku, prosimy...

— Powiniennem powiedzieć Filchowi — oświadczył Irytek niewinnym głosem, a w jego oczach płonęła czysta podłość. — Sami wiecie, że to dla waszego dobra.

— Zjeżdżaj! — warknął Ron i zamachnął się na niego. Był to poważny błąd.

— UCZNIOWIE NIE ŚPIĄ! UCZNIOWIE NIE ŚPIĄ I SĄ NA KORYTARZU PRZY PRACOWNI ZAKLEĆ!

Zanurkowali pod Irytkiem i puścili się biegiem do drzwi na końcu korytarza. Były zamknięte na amen.

— To już koniec! — jęknął Ron, napierając na drzwi. — Jesteśmy ugotowani! To koniec! Usłyszeli kroki nadbiegającego Filcha.

— Och, odejdźcie, szybko! — krzyknęła Hermiona.

Wyrwała Harry'emu różdżkę z ręki, stuknęła nią w zamek i szepnęła:

— Alohomora!

Zamek szczęknięł i drzwi same się otworzyły. Przebiegli przez nie i zatrzasnęli za sobą, a potem przyłożyli do nich uszy, nasłuchując.

— Którędy poszli, Irytku? — rozległ się głos Filcha.

— No, szybciej, mów!

— Powiedz: “proszę”.

— Nie przekomarzaj się ze mną, tylko gadaj, którądy poszli!

— Powiem ci to, jak powiesz: “proszę” — odrzekł Irytek swoim nudnym, śpiewnym głosem.

— No dobrze... proszę.

— TO! Ha—ha—haaaa! Przecież ci powiedziałem, że powiem ci TO! Ha—ha! Ha—ha—haaaaa!

Usłyszeli oddalające się kroki i soczyste przekleństwa Filcha.

— On myśli, że drzwi są zamknięte — wyszeptał Harry.

— Chyba nam się uda... odczep się, Neville! — Neville od minuty ciągnął go za rękaw szlafroka. — No co?

Harry odwrócił się i bardzo wyraźnie zobaczył CO. Przez chwilę nie był pewien, czy to nie koszmar senny — tego już było po prostu za wiele, po tym wszystkim, co do tej pory się wydarzyło.

Nie byli w żadnym pokoju, w żadnej komnacie czy klasie. Byli w korytarzu. W zakazanym korytarzu na trzecim piętrze. I teraz już wiedzieli, dlaczego jest zakazany.

Patrzyli prosto w ślepią monstrualnego psa — psa, który wypełniał całą przestrzeń między sufitem a podłogą. Pies miał trzy głowy. Trzy pary wytrzeszczonych, wściekłych oczu, trzy nosy, dygocące i marszczące się w ich stronę, trzy potworne pyski o żółtych kłach, z których wisały strąki śliny.

Stał nieruchomo, wpatrując się w nich sześcioro oczami, i Harry zrozumiał, że jedyną przyczyną, dla której jeszcze żyli, było zaskoczenie ich nagłym pojawieniem się za tymi drzwiami, ale to zaskoczenie już mijało, co można było poznać po narastającym głuchym warczeniu.

Harry wymacał klamkę — mając do wyboru pewną śmierć i Filcha, wybrał Filcha.

Rzucili się do tyłu, Harry zatrzasnął drzwi, a potem popędzili — prawie polecili jak na miotłach — mrocznym korytarzem. Filch musiał odejść, żeby szukać ich gdzie indziej, bo nigdzie go nie było, ale i tak w ogóle o to nie dbali — chcieli

tylko być jak najdalej trójgłowego potwora. Nie zatrzymali się, póki nie dobiegli do portretu Grubej Damy na siódmym piętrze.

— A gdzie wy, na miłość boską, byliście? — zapytała, patrząc na ich szlafroki, ledwo trzymające się na ramionach, i różowe, spocone twarze,

— Nieważne... świński ryj, świński ryj — wy dyszał Harry, a portret wysunął się do przodu. Przeleźli przez dziurę do pokoju wspólnego i padli, rozdygotani, na fotele.

— Co oni sobie myślą, trzymając coś takiego w szkole? — odezwał się w końcu Ron. — W ciasnym korytarzu? Ten pies potrzebuje jakiegoś wybiegu.

Hermiona odzyskała już oddech i zły humor.

— Nie macie oczu? — warknęła. — Nie widzieliście, na czym on stał?

— Może na podłodze? — zapytał drwiąco Harry. — Nie patrzyłem mu pod łapy, byłem zajęty jego głowami.

— Nie, nie na podłodze. Stał na jakiejś klapie. Najwyraźniej czegoś pilnuje.

Wstała, obrzucając ich wściekłym spojrzeniem.

— Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni. Mogliśmy wszyscy zginąć... albo zostać wyrzuceni ze szkoły. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę do łóżka.

Ron spojrział na nią, usta miał otwarte. — Nie, nie mamy nic przeciwko temu. A może uważasz, że ciągnęliśmy cię siłą, a ty się bardzo opierałaś, co?

Ale słowa Hermiony nie dawały Harry'emu spokoju nawet, kiedy położył się do łóżka. Pies czegoś strzegł... Co to mówił Hagrid? Gringott to najbezpieczniejsze miejsce na świecie, jeśli chce się coś ukryć... może tylko Hogwart jest bezpieczniejszy...

Wyglądało na to, że Harry odkrył, gdzie jest teraz owinięta brązowym papierem paczka z kryptą siedemset trzynaście.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

NOC DUCHÓW



Malfoy nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy następnego dnia zobaczył Harry'ego i Rona, wyglądających na nieco zmęczonych, ale w dobrych humorach. Prawdę mówiąc, kiedy się rano obudzili, uznali, że spotkanie z trójgłowym psem było wspaniałą przygodą i już tęsknili za kolejną. Harry zdążył już opowiedzieć Ronowi o swoich podejrzeniach co do paczuski z Gringotta i spędzili razem mnóstwo czasu, zastanawiając się, co też może wymagać aż takich środków bezpieczeństwa.

— To musi być albo bardzo cenne, albo bardzo niebezpieczne — powiedział Ron.

— Albo i jedno, i drugie.

Na razie wiedzieli jednak tylko, że to coś ma około dwóch cali długości i że nie mają szansy na odgadnięcie, co to jest, bez większej ilości danych.

Ani Neville, ani Hermiona nie okazywali najmniejszego zainteresowania tym, co mogło się znajdować za psem i pod

klapą w podłódze. Neville był zainteresowany tylko jednym: żeby już nigdy nie zbliżyć się do korytarza na trzecim piętrze.

Hermiona nie odzywała się do Harry'ego i Rona, ale robiła takie wszechwiedzące miny, że uznali to za okoliczność sprzyjającą. Teraz pragnęli znaleźć jakiś sposób, by odegrać się na Malfoyu i ku ich wielkiemu zadowoleniu możliwość taka pojawiła się tydzień później, wraz z poranną pocztą.

Kiedy sowy jak zwykle wleciały do Wielkiej Sali, uwagę wszystkich przykuł długi, wąski pakunek, niesiony aż przez sześć sówek. Harry tak jak inni był ciekaw, co może być w tej paczce i zdumiał się, kiedy sówki złożyły ją przed nim, zrzucając przy okazji na podłogę jego bekon. Zaledwie odleciały, inna sowa upuściła na paczkę list.

Harry najpierw rozerwał kopertę i dobrze zrobił, bo list głosił:

NIE OTWIERAJ PACZKI PRZY STOLE.

Jest w niej nowy Nimbus Dwa Tysiące, ale nie cha, żeby wszyscy wiedzieli, że dostałeś miotle, bo każdy też będzie chciał. Oliver Wood spotka się z tobą dziś na boisku quidditcha o siódmej wieczorem na pierwszym treningu.

Profesor M. McGonagall

Harry nie mógł ukryć radości, kiedy wręczył Ronowi liścik do przeczytania.

— Nimbus Dwa Tysiące! — jęknął z zazdrością Ron. — Nigdy nawet nie miałem go w rękach.

Szybko opuścili salę, pragnąc obejrzeć miotłę jeszcze przed pierwszą lekcją, ale drogę zagrodzili im Crabbe i Goyle. Malfoy wyrwał Harry'emu paczkę i pomacał ją.

— To miotła — powiedział i odrzucił paczkę Harry'emu z mieszaniną zazdrości i złości na twarzy. — Tym razem podpadłeś, Potter, pierwszorocznikom nie wolno posiadać mioteł.

Ron nie mógł się powstrzymać.

— To nie jest jakaś stara miotła — powiedział. — To Nimbus Dwa Tysiące. Podobno masz Kometę Dwa Sześćdziesiąt, tak, Malfoy? — Wyszczrzył zęby do Harry'ego. — Komety są dość szybkie, ale o klasę gorsze od Nimbusów.

— A co ty o tym wiesz, Weasley, przecież nie stać cię nawet na pół kij a — odwarknął Malfoy. — Założę się, że ty i twoi bracia musicie oszczędzać na każdą witkę osobno.

Zanim Ron zdążył mu coś odpowiedzieć, pojawił się profesor Flitwick.

— Chyba się nie kłóćcie, co, chłopcy? — zaskrzeczał.

— Potterowi przysłano miotłę, panie profesorze — powiedział szybko Malfoy.

— Tak, tak, znakomicie — rzekł profesor Flitwick, uśmiechając się do Harry'ego. — Profesor McGonagall powiedziała mi o specjalnych okolicznościach, Potter. Co to za model?

— Nimbus Dwa Tysiące, panie profesorze — odpowiedział Harry, powstrzymując się, by nie wybuchnąć śmiechem na widok miny Malfoya. — A to wszystko dzięki Malfoyowi — dodał.

Harry i Ron pobiegli po schodach na górę, krztusząc się ze śmiechu.

— Bo to prawda — zarechotał Harry, kiedy już byli na szczycie marmurowych schodów. — Gdyby nie ukradł Neville'owi przypominajki, nie byłoby mnie w drużynie...

— Więc wydaje ci się, że to nagroda za łamanie regulaminu? — rozległ się pełen złości głos tuż za jego plecami.

To Hermiona wchodziła po schodach, spoglądając z niesmakiem na paczkę w rękach Harry'ego.

— Myślałem, że się do nas nie odzywasz — powiedział Harry.

— Tak, tak, i nie przestawaj — dodał szybko Ron. — Tak się cieszyliśmy.

Hermiona pomaszerowała dalej, z nosem wycelowanym w sufit.

Tego dnia Harry miał duże kłopoty ze skupieniem myśli na lekcjach. Wciąż uciekały mu do dormitorium, gdzie pod łóżkiem leżała jego nowa miotła, albo pędziły na pole do quidditcha, gdzie wieczorem miał rozpocząć trening. Po lekcjach wchłonał szybko kolację, nie bardzo wiedząc, co połyka, i popędził z Ronem na górę, żeby rozwinąć Nimbusa Dwa Tysiące.

— Ojejku — westchnął Ron, kiedy miotła potoczyła się na łóżko Harry'ego.

Nawet Harry, który w ogóle nie znał się na miotłach, pomyślał, że naprawdę wygląda wspaniale. Smukła i lśniąca, z mahoniową rączką, miała długi ogon ze starannie dobranych, prostych witek, a tuż przy końcu rączki lśnił złoty napis: Nimbus Dwa Tysiące.

Przed siódmą Harry opuścił zamek i w gęstniejącym zmierzchu ruszył w stronę boiska do quidditcha. Jeszcze nigdy nie był na stadionie. Wokół boiska wznosiły się rzędy ławek, tak żeby widzowie dobrze widzieli, co się na nim dzieje. Po obu stronach tkwiły trzy złote tyczki zakończone pętlami. Harry'emu przypominały one małe, plastikowe patyczki, służące dzieciom mugoli do wydmuchiwania baniek, tyle że te miały z pięćdziesiąt stóp wysokości.

Harry tak się palił do latania, że nie czekając na Wooda, dosiadł swojej miotły i odepchnął się stopami od ziemi. Ach, cóż to było za uczucie! Krążył od bramki do bramki, a potem przyspieszał i opadał jak jastrząb na boisko. Nimbus Dwa Tysiące reagował na najlżejszy ruch i dotyk.

— Harry Potter! Na dół!

Przybył Oliver Wood. Pod pachą niósł drewnianą klatkę. Harry wylądował tuż obok niego.

— Świetnie — rzekł Wood, a oczy mu błyszczały. — No, teraz rozumiem, co miała na myśli McGonagall... naprawdę masz talent. Dzisiaj zapoznani cię z zasadami gry, a potem będziesz trzy razy w tygodniu ćwiczył z drużyną.

Otworzył klatkę. Wewnątrz były cztery kule różnej wielkości.

— No dobra — powiedział Wood. — Quidditch dość łatwo zrozumieć, nawet jeśli nie tak łatwo w niego grać. Po każdej stronie jest siedmiu graczy. Trzech z nich to ścigający.

— Trzech ścigających — powtórzył Harry, kiedy Wood wyjął z klatki jasnoczerwoną kulę wielkości piłki futbolowej.

— Ta kula nazywa się kaflem. Ścigający podają sobie kafla i starają się przerzucić go przez jedną z pętli, żeby zdobyć gola. Za każde przerzucenie kafla przez jedną z pętli zdobywa się dziesięć punktów. Wszystko jasne?

— Ścigający podają sobie kafla i przerzucają go przez jedną z pętli, by zdobyć punkty — wyrecytował Harry. — Zatem... to jest coś w rodzaju koszykówki z sześcioma koszami, w którą gra się na latających miotłach, tak?

— Co to jest koszykówka? — zapytał Wood, wyraźnie zaintrygowany.

— Nieważne — odpowiedział szybko Harry.

— Teraz tak... W każdej drużynie jest jeden gracz, który nazywa się obrońcą... Ja jestem obrońcą Gryfonów.

Latam wokół słupków bramkowych i powstrzymuję przeciwników, żeby nie strzelili nam gola.

— Trzech ścigających, jeden obrońca — rzekł Harry, chcąc to wszystko zapamiętać. — I grają kaflem. W porządku, rozumiem. A te do czego służą? — Wskazał na trzy pozostałe kule wewnątrz skrzynki.

— Zaraz ci pokażę — rzekł Wood. — Weź to. Wręczył Harry'emu niewielką pałkę, trochę krótszą od kija do bejsbolu.

— Pokażę ci, co robią tłuczki. Te dwie kule to tłuczki.

Pokazał Harry'emu dwie identyczne kule, czarne i lśniące, trochę mniejsze od czerwonego kafla. Harry zauważył, że drżą lekko, jakby chciały się uwolnić spod przytrzymujących je rzemieni i ulecieć z klatki.

— Cofnij się — ostrzegł go Wood. Pochylił się i uwolnił jedną kulę.

Czarna kula natychmiast wzniosła się w powietrze, a potem pomknęła ku twarzy Harry'ego. W ostatniej chwili odbił ją pałką, ratując nos przed złamaniem. Kula świsnęła zygzakiem w powietrze, zawisła nad ich głowami i wystrzeliła w Wooda, który rzucił się na nią całym ciałem i przygwoździł do ziemi.

— Widziałeś? — wysapał Wood, wpychając tłuczka z powrotem do klatki i przymocowując go rzemieniem. — Tłuczki latają nad boiskiem, starając się zwalić graczy z mioteł. Dlatego każda drużyna ma po dwóch pałkarzy... w naszej są nimi Weasleyowie... Ich zadaniem jest obrona reszty swoich graczy przed tłuczkami i odbicie ich w stronę przeciwników. No to jak... wszystko jasne?

— Trzech ścigających stara się zdobyć punkty kaflem, obrońca broni słupków bramkowych, pałkarze chronią kolegów przed tłuczkami.

— Bardzo dobrze — pochwalił go Wood.

— Ee... czy tłuczki już kogoś zabiły? — zapytał Harry, mając nadzieję, że zabrzmiało to bardzo zdawkowo.

— W Hogwarcie nigdy. Było trochę połamanych szczęk, ale nic gorszego. A teraz posłuchaj. Ostatni członek drużyny nazywa się szukającym. To właśnie ty. Ciebie nie obchodzi kafel czy tłuczki...

— ...chyba że rozwałą mi głowę.

— Nie martw się, Weasleyowie dają sobie radę z tłuczkami... zobaczysz, sami są jak para ludzkich tłuczków.

Wood sięgnął do klatki i wyjął czwartą kulę. W porównaniu z kaflem i tłuczkami była o wiele mniejsza, wielkości dużego orzecha włoskiego, złota, z małymi srebrnymi skrzydełkami.

— To jest złoty znicz — oznajmił Wood — kula najważniejsza ze wszystkich czterech. Bardzo trudno ją złapać, bo jest szybka i trudna do zauważenia. Złapanie jej jest zadaniem szukającego. Musisz ją wyłowić spośród ścigających, pałkarzy, tłuczków i kafla, i złapać przed szukającym przeciwników, bo za złapanie jej zyskuje się dla swojej drużyny aż sto pięćdziesiąt punktów, co zwykle przesądza o wyniku meczu. Właśnie dlatego szukający są tak często faulowani. Mecz quidditcha kończy się z chwilą złapania znicza, więc może trwać bardzo długo... Rekord wynosił prawie trzy miesiące, tak że musieli wprowadzać zastępców, żeby gracze mogli się trochę przespać. No cóż, to chyba wszystko... Masz jakieś pytania?

Harry potrząsnął głową. Zrozumiał już wszystko, nawet to, że prawdziwym problemem jest opanowanie tego wszystkiego w praktyce.

— Nie będziemy dzisiaj ćwiczyć ze zniczem — rzekł

Wood, ostrożnie umieszczając go w klatce. — Jest za ciemno, moglibyśmy go zgubić. Spróbujmy na razie z tymi. Wyciągnął z kieszeni worek ze zwykłymi piłkami golfowymi i w chwilę później on i Harry byli już w powietrzu. Wood rzucał piłkami z całej siły i we wszystkie strony, a Harry musiał je łapać.

Harry wyłapał wszystkie piłki i Wood był zachwycony. Minęło pół godziny i zrobiło się ciemno, więc musieli skończyć.

— W tym roku na pucharze będzie nazwa naszej drużyny — powiedział uradowany Wood, kiedy wracali do zamku. —

Wcale bym nie był zaskoczony, gdybyś okazał się lepszy od Charliego Weasleya, a on mógłby grać w reprezentacji Anglii, gdyby nie wyjechał polować na smoki.

Może z powodu nawału zajęć, bo teraz trenował quidditcha trzy razy w tygodniu, po odrobieniu masy zadań domowych, Harry zdumiał się, kiedy zdał sobie sprawę, że jest już w Hogwarcie pełne dwa miesiące. W zamku czuł się jak w domu, inaczej niż kiedykolwiek na Privet Drive. Teraz, kiedy już opanował podstawy, zajęcia też były coraz ciekawsze.

W dzień poprzedzający Noc Duchów obudził ich cudowny zapach pieczonej dyni, rozchodzący się po korytarzach. Mało tego, profesor Flitwick oznajmił im, że są już przygotowani do tego, by na ich rozkaz latały różne przedmioty, co stanowiło przedmiot ich marzeń od chwili, gdy na ich oczach sprawił, że ropucha Neville'a obleciała całą klasę. Flitwick podzielił ich na pary. Partnerem Harry'ego został Seamus Finnigan (co powitał z ulgą, bo Neville okropnie go rozpraszał). Ronowi trafiła się jednak Hermiona Granger.

Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej niezadowolone z tego powodu. Nie odzywała się do nich od dnia, w którym Harry dostał Nimbusa Dwa Tysiące.

— Proszę nie zapominać o tym lekkim ruchu nadgarstka, który tak długo ćwiczyliśmy! — zaskrzeczał profesor Flitwick, usadowiony jak zwykle na stosie książek. — Smagnąć i poderwać, pamiętajcie, smagnąć i poderwać! I wypowiadać zaklęcie dokładnie, to bardzo ważne... Nie zapominajcie o czarodzieju Baruffio, który źle wypowiedział spółgłoskę i znalazł się na podłodze, przygnieciony bawołem.

Było to bardzo trudne. Harry i Seamus smagali i podrywali, ale piórko, które mieli wysłać pod sufit, leżało sobie nadal na stoliku. Seamus tak się zniecierpliwił, że dotknął go różdżką, co spowodowało, że się zapaliło — Harry musiał ugasić mały pożar swoją tiarą.

Ronowi, przy sąsiednim stole, też nic nie wychodziło.

— Wingardium Leviosa! — krzyczał raz po raz, wymachując ramionami jak wiatrak.

— Źle to wypowiadasz — prychnęła Hermiona. — Wing—gar—dium Levi—o—sa. “Gar” musi być melodyjne i długie.

— To zrób to sama, jak jesteś taka mądra — warknął Ron.

Hermiona podwinęła rękawy szaty, smagnęła różdżką. i powiedziała:

— Wingardium Leviosa!

Piórko uniosło się i zawisło jakieś cztery stopy nad ich głowami.

— Wspaniale! — krzyknął profesor Flitwick, klaszcząc w dłonie. — Niech wszyscy popatrzą, pannie Granger już się udało!

Ron był markotny do końca lekcji.

— Nic dziwnego, że nikt nie może jej znieść — powiedział do Harry’ego, kiedy przeciskali się przez zatłoczony korytarz. — Ona jest koszmarna, naprawdę.

Ktoś wpadł na Harry’ego w tłoku. Była to Hermiona. Harry zobaczył jej twarz — była zalana łzami.

— Chyba to usłyszała.

— No to co? — burknął Ron, ale wyraźnie się zmieszał. — Sama musiała zauważyć, że nie ma przyjaciół.

Hermiona nie pojawiła się na następnej lekcji i przez całe popołudnie nikt jej nie widział. Idąc do Wielkiej Sali na ucztę świąteczną, Harry i Ron podsłuchali, jak Parvati Patii opowiada swojej przyjaciółce Lavender, że Hermiona ryczy w łazience i nie chce nikogo widzieć. Ron jeszcze bardziej się zmieszał, ale chwilę później wkroczyli do Wielkiej Sali, gdzie na widok świątecznych dekoracji zapomnieli o Hermionie.

Ze ścian i sklepienia zwisało z tysiąc żywych nietoperzy, a drugie tysiąc śmigało ciemnymi chmurami nad stołami, powodując migotanie płomieni świec, osadzonych w dyniach.

Tym razem potrawy pojawiły się na złotych półmiskach, tak jak podczas bankietu powitalnego.

Harry nakładał sobie właśnie wielkiego pieczonego ziemniaka, kiedy na salę wpadł biegiem profesor Quirrell w przekrzywionym turbanie i z przerażoną twarzą. Wszyscy zamilkli, wytrzeszczając oczy, a Quirrell dobiegł do krzesła profesora Dumbledore'a, oparł się o stół i wysapał:

— Troll... w lochach... uznałem, że powinien pan wiedzieć.

Wybuchło zamieszanie. Profesor Dumbledore musiał kilka razy wystrzelić purpurowe rakiety ze swojej różdżki, żeby uciszyć salę.

— Prefekci! — zagrzmiął. — Natychmiast zaprowadzić swoje domy do dormitoriów! Percy był w swoim żywiole.

— Za mną! Pierwszorocznici, trzymać się razem! Nie musicie bać się trolli, jeśli będziecie wypełniać moje polecenia! Teraz trzymać się tuż za mną. Przejdźcie, najpierw wychodzą pierwszorocznici! Przepraszam, jestem prefektem!

— Jak troll mógł się tu dostać? — zapytał Harry, kiedy szli po schodach.

— Mnie nie pytaj, trolle to naprawdę głupie stwory — odpowiedział Ron. — Może Irytek wpuścił go dla draki.

Po drodze mijali różne grupy, spieszące w różnych kierunkach. Kiedy przepychali się przez tłum przerażonych Puchonów, Harry nagle złapał Rona za łokieć.

— Pomyślałem sobie o... Hermionie.

— Że co?

— Ona nic nie wie o trollu. Ron przygryzł wargę.

— No dobra... — burknął. — Ale lepiej niech Percy nas nie zauważy.

Pochylili głowy i przyłączyli się do Puchonów, zmierzających w inną stronę, przemknęli przez opustoszałą część korytarza i pobiegli do łazienki dziewczyn. Właśnie skręcili za róg korytarza, kiedy usłyszeli za sobą szybkie kroki.

— Percy! — syknął Ron, wciągając Harry'ego za wielkiego kamiennego gryfa.

Wyglądając ukradkiem zza posągu, zobaczyli jednak nie Percy'ego, lecz Snape'a. Przebiegł przez korytarz i zniknął im z oczu.

— Co on robi? — szepnął Harry. — Dlaczego nie jest w lochach razem z innymi nauczycielami?

— Żebym to ja wiedział.

Ruszyli za oddalającymi się krokami Snape'a, starając się iść jak najciszej.

— Ty, on idzie na trzecie piętro — szepnął Harry, ale Ron podniósł rękę.

— Czujesz coś?

Harry pociągnął nosem i poczuł zgniły odór, przywodzący na myśl stare skarpetki i ubikację, której nikt nie sprząta.

I wówczas to usłyszeli — głucho powarkiwanie i pacnięcia wielkich stóp. Ron pokazał palcem: na końcu korytarza po lewej stronie czerniało coś wielkiego, co szło w ich stronę. Przywarli do ściany znajdującej się w cieniu, i patrzyli, osłupiali, jak to coś wlazło w plamę księżycowego blasku.

Był to straszny, mrozący krew w żyłach widok. Wysoki na dwanaście stóp, o matowej, granitowoszarej skórze, o wielkim, niezdarnym cielsku przypominającym głaz, z małą, łysą głową sterczącą na czubku jak orzech kokosowy. Miał krótkie nogi, grube jak pniaki, z płaskimi, zrogowaciałymi stopami. Smród, jaki wydzielał, trudno było znieść. W ręku trzymał wielką maczugę, która wlokła się za nim, bo tak długie miał ramiona.

Troll zatrzymał się przy sąsiednich drzwiach i zajrzał do środka. Poruszył długimi uszami, a potem wlaź powoli do środka.

— Klucz jest w zamku — wybełkotał Harry. — Możemy go zamknąć.

— Dobry pomysł — odpowiedział nerwowo Ron.

Podsunęli się tuż do drzwi, wstrzymując oddechy i modląc się, by trollowi nie zachciało się wyjść. A potem Harry jednym skokiem stanął przed drzwiami, złapał za klamkę, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

— Dobra!

Zarumienieni z emocji i dumni ze swego wyczynu, ruszyli z powrotem korytarzem, ale kiedy doszli do rogu, usłyszeli coś, co sprawiło, że serca im zamarły — wysoki, zduszony wrzask, który dochodził wyraźnie zza drzwi, które właśnie zamknęli.

— Och, nie... — wyjąkał Ron blady jak Krwawy Baron.

— To była łazienka dziewczyn! — wydyszał Harry.

— Hermiona! — powiedzieli jednocześnie.

Była to na pewno ostatnia rzecz, jaką teraz chcieli zrobić, ale nie mieli wyboru. Odwrócili się i popędzili z powrotem do owych drzwi, by przekręcić klucz w zamku. Drżąc ze strachu, Harry otworzył drzwi i wbiegli do środka. Hermiona Granger przywarła do ściany naprzeciw drzwi, wyglądając, jakby miała za chwilę zemdleć. Troll zbliżał się do niej, wrywając po drodze krany.

— Trzeba go skołować! — powiedział Harry do Rona i schwyciwszy jeden z leżących na podłodze kranów, cisnął nim w ścianę.

Troll zatrzymał się kilka stóp od Hermiony. Rozejrzał się wokoło, mrugając głupawo tępyimi oczkami, żeby zobaczyć, co narobiło takiego hałasu. Zobaczył Harry'ego. Zawahał się, a potem ruszył ku niemu, podnosząc maczugę.

— Hej, ciastomózgi! — ryknął Ron z drugiej strony i rzucił w niego metalową rurą. Troll nawet nie poczuł, gdy rura trzasnęła go w ramię, ale posłyszał wrzask i znowu się zatrzymał, zwracając swój obrzydliwy pysk w stronę Rona. Harry wykorzystał to i obiegnął go naokoło.

— Szybko, uciekaj! Biegiem! — wrzasnął Harry, próbując pociągnąć Hermionę w stronę drzwi, ale nie była w stanie się

ruszyć, wciąż wciskała się w ścianę, otworzywszy szeroko usta w niemym okrzyku przerażenia.

Krzyki, odbijające się echem od ścian, doprowadziły trolla do szału. Ryknął i ruszył ku Ronowi, który był najbliżej i nie miał dokąd uciec.

Harry zrobił wówczas coś, co było bardzo odważne i bardzo głupie: rozpędził się i skoczył trollowi na plecy, oplatając ręce wokół jego szyi. Troll nie poczuł, że wisi na nim jakiś krasnoludek, ale nawet troll nie jest aż tak głupi, by nie zauważyć, że ktoś wsadza mu do nosa kawał długiego drewna, a Harry wciąż miał w ręku swoją różdżkę i kiedy skoczył, niechcący wepchnął ją trollowi w jedną z dziurek w nosie.

Wyjąc z bólu, troll wywinął młynka maczugą. Harry trzymał się go kurczowo, świadom, że jego życie wisi na włosku; w każdej chwili troll mógł go strząsnąć z siebie jednym ruchem albo roztrzaskać maczugą jak komara.

Hermiona osunęła się na podłogę. Ron wyciągnął swoją różdżkę i nie wiedząc, co robić, wykrzyknął pierwsze zaklęcie, jakie mu przyszło do głowy:

— Wingardium Leviosa!

Maczuga nagle wyrwała się z dłoni trolla, uniosła wysoko w powietrze, powoli obróciła i... opadła ze straszliwym trzaskiem na głowę swojego właściciela. Troll zachwiał się i runął na twarz z łoskotem, aż zadygotało całe pomieszczenie.

Harry wstał. Trząśnięty całym i z trudem łapał powietrze. Ron wciąż stał z uniesioną różdżką, gapiąc się na to, co zrobił.

Pierwsza odzyskała głos Hermiona.

— Czy on... umarł?

— Chyba nie — odpowiedział Harry. — Chyba tylko został znokautowany.

Pochylił się i wyciągnął swoją różdżkę z nosa trolla. Cała była umazana czymś, co przypominało szary klej.

— Ueee... smarki trolla.

Wytarł ją o spodnie olbrzyma.

Nagle wszyscy troje poderwali głowy, słysząc głośny tupot i trzaskanie drzwi. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, jakiego musieli narobić hałasu. W chwilę później do łazienki wpadła profesor McGonagall, za nią Snape, a na końcu Quirrell. Quirrell rzucił okiem na trolla, jęknął i szybko usiadł na jednym z sedesów, trzymając się kurczowo za serce.

Snape pochylił się nad trollem. Profesor McGonagall wpatrywała się w Harry'ego i Rona. Harry jeszcze nigdy nie widział jej tak rozwścieczonej. Miała zupełnie białe wargi. Pożegnał się z nadzieją na zdobycie pięćdziesięciu punktów dla Gryffindoru.

— Co wy sobie w ogóle myślicie? — zapytała profesor McGonagall z zimną furią w głosie. Harry spojrział na Rona, który wciąż stał pośrodku z podniesioną różdżką. — Macie szczęście, że was nie pozabijał. Dlaczego nie jesteście w swoim dormitorium?

Snape przeszył Harry'ego wzrokiem. Harry wbił wzrok w podłogę. Bardzo chciał, żeby Ron wreszcie opuścił tę różdżkę.

Nagle z ciemnego kąta rozległ się cichy głos.

— Pani profesor... proszę... oni szukali mnie.

— Panna Granger!

Hermionie w końcu udało się stanąć na nogach.

— Ja... poszłam szukać tego trolla, bo... myślałam, że sama sobie z nim dam radę... no... bo przeczytałam o nich wszystko.

Ron opuścił różdżkę. Hermiona Granger łgająca nauczycielom jak najęta?

— Gdyby mnie nie znaleźli, już bym była martwa. Harry uderzył go różdżką w nos, a Ron znokautował go jego własną maczugą. Nie mieli czasu kogoś wezwać. Kiedy tu wpadli, on już chciał ze mną skończyć.

Harry i Ron starali się robić takie miny, jakby cała ta opowieść nie była dla nich nowością.

— No cóż... jeśli tak... — powiedziała profesor McGonagall, przypatrując im się po kolei. — Granger, ty głupia dziewczyno, skąd ci przyszło do głowy, że poradysz sobie sama z górskim trollem?

Hermiona zwiesiła głowę. Harry'emu odebrało mowę. Hermiona była ostatnią osobą, która mogła zrobić coś sprzecznego z regulaminem szkolnym, a oto udawała, że to zrobiła, żeby wybawić ich z opresji. To tak, jakby Snape zaczął ich częstować cukierkami.

— Panno Granger, Gryffindor właśnie stracił przez to pięć punktów — oświadczyła profesor McGonagall. — Bardzo się na tobie zawiodłam, Granger. Jeśli nic ci się nie stało, maszeruj do wieży. Uczniowie kończą ucztę w swoich domach.

Hermiona wyszła.

Profesor McGonagall zwróciła się do Harry'ego i Rona.

— No cóż, mieliście dużo szczęścia, bo niewielu pierwszoroczników dałoby sobie radę z dorosłym górskim trollem. Każdy z was zarobił dla Gryffindoru po pięć punktów. Poinformuję o tym profesora Dumbledore'a. Możecie odejść.

Szybko wyszli z łazienki i nie odzywali się, póki nie wspięli się dwa piętra wyżej. Dopiero tu odetchnęli z ulgą, bo uwolnili się od smrodu trolla i byli sami.

— Powinniśmy zarobić więcej niż dziesięć punktów — mruknął Ron.

— Pięć, bo drugie pięć już odjęła za Hermionę.

— Wybawiła nas z kłopotów, ale to chyba żadna łaska... W końcu uratowaliśmy jej życie.

— Nie musiałyby tego robić, gdybyśmy go tam nie zamknęli — przypomniał mu Harry. Doszli do portretu Grubej Damy.

— Świński ryj — powiedzieli i przeszli przez dziurę.

W pokoju wspólnym był tłok i gwar. Wszyscy zajadali się świątecznymi potrawami, które tu przysłano. Tylko Hermione czekała na nich samotnie przy drzwiach. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie, a potem wszyscy troje powiedzieli “dzięki” i poszli po talerze.

Ale od tego czasu zaprzyjaźnili się z Hermiona. Są takie wydarzenia, które — przeżyte wspólnie — muszą się zakończyć przyjaźnią, a znokautowanie trzymetrowego trolla górskiego na pewno jest jednym z nich.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

QUIDDITCH



Nadszedł listopad i zrobiło się bardzo zimno. Góry wokół szkoły pobieły, a jezioro lśniło jak stalowa tafla. Rano trawniki pokrywał szron. Z okien zamku można było zobaczyć Hagrida, jak oczyszcza oblodzone tyczki bramkowe na boisku, ubrany w kurtkę z kretów, rękawice z królików i wysokie buty z bobrów.

Rozpoczął się sezon quidditcha. W sobotę Harry miał wystąpić w swoim pierwszym meczu po wielu tygodniach

treningu: Gryfoni przeciw Ślizgonom. Jeśli wygrają Gryfoni, przesuną się na drugie miejsce w tabeli domów.

Mało kto widział Harry'ego w grze, bo Wood postanowił, że będzie ich tajną bronią i utrzymywał to w tajemnicy. Ale i tak wieść o tym, że Harry trenuje jako szukający, jakoś się rozniosła i nie wiadomo było, co jest gorsze — ludzie mówiący mu, że jest naprawdę dobry, czy ci, którzy twierdzili, że będą pod nim biegać z materacem.

Przyjaźń z Hermiona miała dla niego naprawdę duże znaczenie. Bez niej nie poradziłby sobie z nawałem prac domowych, bo Wood wyciskał z nich ostatnie poty na treningach. Pożyczyła mu też Quidditch przez wieki, książkę, która okazała się bardzo ciekawą, choć nie zawsze dodającą otuchy lekturą.

Harry dowiedział się, że w quidditchu istnieje aż siedemset sposobów faulowania i że wszystkie zostały wykorzystane w Pucharze Świata — w 1473 roku; że szukający byli zwykle najmniejszymi i najszybszymi graczami i że najpoważniejsze kontuzje przytrafiały się właśnie im; że choć rzadko dochodziło do wypadków śmiertelnych, zdarzało się, że znikali sędziowie, by po paru miesiącach odnaleźć się na Saharze. Od czasu, gdy Harry i Ron uratowali ją od niechybnej śmierci z rąk górskiego trolla, Hermiona nie była już tak bezwzględna wobec łamania regulaminu szkolnego i obcowanie z nią stało się o wiele przyjemniejsze. W dniu poprzedzającym pierwszy mecz Harry'ego wszyscy troje wyszli podczas przerwy na zimny dziedziniec, a Hermiona wyczarowała im jasny, niebieski płomień, który można było zamknąć w słoju od marmolady. Stali, grzejąc się przy nim, kiedy nagle pojawił się Snape. Harry zauważył, że Snape utyka na jedną nogę. Skupili się blisko, by ukryć płomień, bo byli pewni, że wykorzystywanie magii do takich celów jest zabronione. Niestety, ich miny musiały się wydać Snape'owi podejrzane, bo

podszedł do nich, wyraźnie chcąc się do czegoś przyczepić. Nie zobaczył płomienia, ale wypatrzył książkę, którą Harry trzymał pod pachą.

— Co tam masz, Potter?

Harry pokazał mu książkę; był to Quidditch przez wieki.

— Książek z biblioteki nie wolno wносить poza obręb szkoły. Daj mi ją. Gryffindor traci pięć punktów.

— Przed chwilą stworzył ten przepis — mruknął Harry ze złością, kiedy Snape pokuśtykał dalej. — Ciekawe, co mu się stało w nogę.

— Nie wiem, ale mam nadzieję, że mu ostro dokucza — powiedział Ron mściwym tonem.

Tego wieczora w salonie Gryffindoru było wyjątkowo gwarnie. Harry, Ron i Hermiona siedzieli razem tuż przy oknie. Hermiona sprawdzała im pracę domową z zaklęć. Nigdy nie dawała im gotowych wypracowań do przepisania, ale czytała je na głos, żeby sami doszli do właściwych odpowiedzi. Harry czuł niepokój. Bardzo mu brakowało odebranej przez Snape'a książki, bo miał nadzieję, że pogrążenie się w lekturze pomoże mu odwrócić uwagę od jutrzejszego meczu. A właściwie dlaczego tak się boi Snape'a? Wstał i oznajmił Ronowi i Hermionie, że idzie do Snape'a, żeby go poprosić o zwrot książki.

— Mnie do tego nie namówisz — odpowiedzieli równocześnie.

Ale Harry uważał, że Snape mu nie odmówi, jeśli będzie przy tym jakiś inny nauczyciel.

Zszedł na dół do pokoju nauczycielskiego i zapukał. Nie było odpowiedzi. Zapukał ponownie. Nic.

Może Snape zostawił tam książkę? Warto spróbować. Uchylił lekko drzwi, zajrzał do środka — i zobaczył coś, co nim wstrząsnęło.

W pokoju byli tylko Snape i Filch. Snape zadarł szatę ponad kolana. Jedna z jego nóg była zakrwawiona i poszarpana. Filch podawał mu bandaż.

— Cholerna sprawa — mówił Snape. — Niby jak miałem upilnować się przed trzema głowami naraz? Harry starał się jak najciszej zamknąć drzwi, ale...

— POTTER!

Twarc Snape'a wykrzywił grymas wściekłości. Puścił szybko skraj szaty, by ukryć nogę. Harry przełknął ślinę.

— Ja tylko chciałem zapytać, czy mógłby mi pan oddać moją książkę.

— WYNOŚ SIĘ! PRECZ!

Harry uciekł, zanim Snape zdążył pozbawić Gryffindor kilku kolejnych punktów. Wrócił pędem na górę.

— No i co? Masz? — zapytał Ron. — Co się stało? Harry opowiedział im szeptem, co zobaczył.

— Wiecie, co to znaczy? Próbował przejść zakazanym korytarzem! Pamiętacie? To tam właśnie szedł, kiedy go widzieliśmy w Noc Duchów... On szukał tego, czego strzeże ten potwór! I stawiam moją różdżkę, że to on wpuścił do zamku trolla, żeby narobić zamieszania!

Hermiona zrobiła wielkie oczy.

— Nie... tego by nie zrobił. Wiem, że nie jest zbyt miły, ale przecież nie próbowałby ukraść czegoś, co tak zazdrośnie ukrywa Dumbledore.

— Bo ty jesteś przekonana, że wszyscy nauczyciele są święci — prychnął Ron. — Ja tam się zgadzam z Harrym. Nie mam za grosz zaufania do tego Snape'a. Ale czego on szuka? Czego strzeże ten piekielny pies?

Harry poszedł do łóżka z głową pełną pytań. Neville chrapał już głośno, ale Harry nie mógł zasnąć. Starał się uwolnić od natłoku myśli, wiedział, że powinien się wyspać, przecież za kilka godzin wystąpi w swoim pierwszym meczu

quidditcha, ale nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy Snape'a, kiedy zobaczył jego zakrwawioną nogę.

Ranek był słoneczny i mroźny. Wielką Salę wypełniał rozkoszny zapach pieczonych kiełbasek i podniecony gwar. Wszyscy szykowali się na dobre widowisko.

— Musisz coś zjeść.

— Nie chcę.

— Chociaż kawałek tostów — błagała Hermiona.

— Nie jestem głodny.

Harry czuł się okropnie. Za godzinę miał wyjść na boisko.

— Harry, musisz mieć siły — powiedział Seamus Finnigan.

— Przeciwnicy zawsze chcą wyeliminować szukającego.

— Dziękuję ci, stary — odrzekł Harry, patrząc, jak Seamus polewa sobie kiełbaski keczupem.

O jedenastej na stadionie zebrała się chyba cała szkoła. Wielu miało lornetki. Ławki dla publiczności były umieszczone dość wysoko, ale w trakcie meczu quidditcha czasami i tak trudno było zobaczyć, co się dzieje.

Ron i Hermiona usiedli w najwyższym rzędzie, razem z Neville'em, Seamusem i Deanem. Mieli dla Harry'ego niespodziankę: wielki transparent, zrobiony z jednego z pogryzionych przez Parszywka prześcieradeł, z napisem: POTTER NA PREZYDENTA. Dean, który był dobry z rysunków, namalował pod spodem lwa — godło Gryffindoru. Hermiona wyszukała sprytne małe zakłęcie, tak że lwa i napis mieniły się różnymi kolorami.

Tymczasem Harry i reszta drużyny przebierali się w szatni w szkarłatne szaty do quidditcha (Ślizgoni mieli grać w zielonych).

Wood odchrząknął głośno, żeby wszystkich uciszyć.

— No dobra, chłopaki... — zaczął.

— I dziewczyny — powiedziała Angelina Johnson, grająca na pozycji ścigającego.

— I dziewczyny — zgodził się Wood. — To jest to.

— Coś naprawdę wielkiego — powiedział Fred Weasley.

— Coś, na co wszyscy czekaliśmy — dodał George.

— Znamy przemówienie Olivera na pamięć — powiedział Harry'emu Fred. — Byliśmy w drużynie w zeszłym roku.

— Wy dwaj, zamknijcie się — uciszył ich Wood. — To najlepsza drużyna Gryffindoru od wielu lat. Wychodzimy po zwycięstwo. I wiem, że zwyciężymy.

Obrzucił ich groźnym spojrzeniem, jakby chciał dodać “albo przegramy”.

— Dobra. Już czas. Życzę wszystkim powodzenia.

Harry wyszedł z szatni za Fredem i George'em i mając nadzieję, że nogi nie odmówią mu posłuszeństwa, wkroczył na boisko wśród głośnych wiwatów.

Sędziowała pani Hooch. Stała pośrodku boiska, czekając na obie drużyny. Miotłę trzymała w ręku.

— A teraz posłuchajcie: chcę, żeby to była ładna, czysta gra — powiedziała, kiedy wszyscy zawodnicy zebrali się wokół niej.

Harry zauważył, że mówiąc to, zwracała się szczególnie do kapitana Ślizgonów, Markusa Flinta z piątego roku, który sprawiał wrażenie, jakby miał w żyłach trochę krwi trollów. Kątem oka dostrzegł też powiewający wysoko transparent ze świetlistym napisem “Potter na prezydenta”. Serce mu podskoczyło., Poczul się lepiej.

— Proszę dosiąść mioteł.

Harry dosiadł swojego Nimbusa Dwa Tysiące.

Pani Hooch zadęła w wielki srebrny gwizdek.

Piętnaście mioteł poderwało się w powietrze. Zaczęło się.

— ...Angelina Johnson natychmiast przejmuje kafla... cóż to za wspaniały ścigający, ta dziewczyna, no i przy tym taka ładna...

— JORDAN!

— Przepraszam, pani profesor.

Przyjaciel bliźniaków, Lee Jordan, był komentatorem, a profesor McGonagall kontrolowała jego popisy.

— Świetne prowadzenie, zgrabny przerzut do Alicji Spinnet, to nowe odkrycie Olivera Wooda, w zeszłym roku była w rezerwie... z powrotem do Johnson i... nie, Gryfoni tracą piłkę, kapitan Ślizgonów, Marcus Flint przejmuje kafla i natychmiast podrywa się w górę... szybuje jak orzeł... zamierza strze... nie, Wood, obrońca Gryfonów, znakomicie wyłapuje kafla, oddaje Katie Bell, co za wspaniały zwód, ograła Flinta, już jest wysoko, nurkuje i... OCH!... to musiało zboleć, tłuczek rąbnął ją w tył głowy... kafel w posiadaniu Ślizgonów... to Adrian Pucey szybuje ku słupkom bramkowym, ale... tak, zablokowany przez drugi tłuczek, podbity tam przez Freda albo George'a Weasleya, trudno powiedzieć, którego... w każdym razie to bardzo ładne zagranie pałkarza i Johnson znowu ma kafla, przed nią nie ma nikogo, rusza do przodu... naprawdę, mknie jak jastrząb... wyminęła pędzący ku niej tłuczek... słupki są już blisko... strzelaj, Angelino!... obrońca Bletchey nurkuje... nie trafia... GOL DLA GRYFONÓW!

Rozległy się radosne wiwaty Gryfonów i jęki zawodu Ślizgonów.

— Ruszajcie się! Śmiało!

— Hagrid!

Ron i Hermiona ścisnęli się, by zrobić Hagridowi miejsce obok siebie.

— Patrzyłem z mojej chaty — rzekł Hagrid, klepiąc wielką lornetę, wiszącą mu na szyi — ale to nie to, co być tutaj, w tłumie. Znicz jeszcze się nie pokazał, co?

— Nie — odrzekł Ron. — Na razie Harry nie ma wiele do roboty.

— Unika kłopotów, bardzo dobrze — powiedział Hagrid, podnosząc lornetkę do oczu i wpatrując się w plamkę na niebie.

Harry szybował wysoko, ponad grającymi, wypatrując znicza.. Była to część planu jego i Wooda.

— Trzymaj się z daleka, dopóki nie wypatrzysz znicza. — powiedział mu Wood. — Nie chcemy, żeby cię zaatakowali, zanim nadejdzie właściwa pora.

Kiedy Angelina zdobyła pierwsze dziesięć punktów, Harry zrobił w powietrzu parę pętli, by dać upust swej radości. Teraz wrócił na swoją pozycję, rozglądając się za zniczem. Raz zobaczył jakiś złoty błysk, ale okazało się, że to tylko refleks słońca w zegarku któregoś z Weasleyów, a raz tłupek wystrzelił ku niemu jak kula armatnia, ale zrobił unik, a po chwili pojawił się ścigający Fred Weasley.

— Jak, w porządku? — krzyknął w locie i z całej siły odbił tłupek w kierunku Marcusa Flinta.

— Ślizgoni mają kafla — mówił Lee Jordan — ścigający Pucey unika dwóch tłupeków, mija obu Weasleyów, Bell, śmiga ku... zaraz, zaraz... czy to był znicz?

Pomruk przeszedł przez tłum, kiedy Adrian Pucey puścił kafla, oglądając się przez ramię na złoty błysk, który przemknął mu koło lewego ucha.

Harry zobaczył to. Czując, jak go ogarnia fala podniecenia, zanurkował w dół, za złotą smugą. Ślizgon Terence Higgs też ją dostrzegł. Obaj, ramię w ramię, pomknęli ku zniczowi, a wszyscy ścigający zawiśli w powietrzu, zapominając o tym, co powinni robić.

Harry był szybszy od Higgsa. Widział już dobrze małą kulkę, trzepoczące srebrne skrzydełka... zwiększył szybkość i...

ŁUUUP! Ryk wściekłości wydarł się z gardeł Gryfonów na trybunach — Marcus Flint umyślnie zablokował Harry'ego, tak że ten ledwo się utrzymał na miotle, która zboczyła z kursu.

— Faul! — krzyczeli Gryfoni.

Pani Hooch skarciła ostro Flinta i zarządziła rzut wolny dla Gryfonów. Zrobiło się małe zamieszanie, a złoty znicz ponownie gdzieś zniknął.

— Usunąć go z boiska! Czerwona kartka! — ryczał Dean Thomas.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się Ron.

— Czerwona kartka! W piłce nożnej pokazują ci czerwoną kartkę i musisz zejść z boiska!

— Ale to nie jest piłka nożna — przypomniał mu Ron. Hagrid poparł jednak Deana.

— Powinni zmienić przepisy. Flint mógł strącić Harry'ego z miotły.

Lee Jordan miał problemy z bezstronnością.

— Tak więc... po tym oczywistym i odrażającym oszustwie...

— Jordan! — warknęła profesor McGonagall.

— To znaczy... po tym jawnym, oburzającym faulu...

— Jordan, ostrzegam cię...

— No dobrze już, dobrze. Flint o mały włos nie zabił szukającego Gryfonów, co mogło się zdarzyć każdemu, to jasne, więc rzut wolny dla Gryfonów, wybija Spinnet, bez kłopotów, gra toczy się dalej, kafel wciąż w posiadaniu Gryfonów...

To się stało, gdy Harry uniknął jeszcze jednego tłuczka, który śmignął mu tuż koło głowy. Nagle jego miotła pochyliła się gwałtownie, tak że przez ułamek sekundy był pewny, że z niej spadnie. Ścisnął mocno kij dłońmi i kolanami. Jeszcze nigdy nie poczuł czegoś takiego.

To stało się ponownie — jakby miotła próbowała go z siebie rzucić. Co się dzieje? Przecież Nimbus Dwa Tysiące nie może ni stąd ni zowąd postanowić, że będzie zrzucał z siebie jeźdźców. Harry spróbował zawrócić w kierunku słupków Gryffindoru — pomyślał, że trzeba poprosić Wooda o czas — i

zdał sobie sprawę, że miotła w ogóle go nie słucha. Nie mógł jej zawrócić. W ogóle nie mógł nią kierować. Robiła zygzaki w powietrzu, a co jakiś czas podrygiwała raptownie, co sprawiało, że z wielkim trudem utrzymywał się na kiju. Lee wciąż komentował.

— Ślizgoni mają piłkę... Flint leci z kaflem... mija Spinnet... mija Bell... tłuczek trafia go prosto w twarz... mam nadzieję, że ma złamany nos... to był żart, pani profesor... strzela... och, nieeee....

Ślizgoni ryknęli z radości. Jak dotąd nikt nie zauważył dziwnego zachowania miotły Harry'ego, która unosiła go powoli coraz wyżej, poza pole gry, podrygując i robiąc gwałtowne skręty, jak narowisty koń.

— Nie mam pojęcia, co ten Harry wyprawia — mruknął Hagrid, który patrzył przez lornetkę. — Gdybym go nie znał, to bym powiedział, że stracił panowanie nad miotłą... ale przecież on nie może...

Nagle wszyscy wstali, pokazując sobie palcami Harry'ego. Jego miotła zaczęła wywijać koziółki, a on ledwo się na niej trzymał. A potem cała widownia zamarła. Miotła raptownie podskoczyła, stanęła dęba, a Harry zsunął się z niej i zawisł na kiju, trzymając się go jedną ręką.

— Może coś się stało, kiedy go Flint przyblokował? — szepnął Seamus.

— To niemożliwe — powiedział Hagrid roztrzęsionym głosem. — Miotle nic nie może zaszkodzić... oprócz czarnej magii... Żaden dzieciak nie mógłby uszkodzić Nimbusa Dwa Tysiące.

Na te słowa Hermiona złapała jego lornetkę, ale zamiast spojrzeć na Harry'ego, zaczęła nią gorączkowo przeszukiwać tłum.

— Co ty robisz? — jęknął Ron, szary na twarzy.

— Wiedziałam — wy dyszała. — Snape... zobacz.

Ron chwycił lornetkę. Snape stał pośrodku trybuny naprzeciw nich. Oczy miał utkwione w Harrym i nieustannie coś mamrotał.

— On coś robi... czaruje miotłę — powiedziała Hermiona.

— To co zrobimy?

— Zostawcie to mnie.

I znikła, zanim Ron zdążył wypowiedzieć słowo. Ron znowu skierował lornetkę na Harry'ego. Miotła dygotała tak wściekle, że wydawało się niemożliwe, by utrzymał się dłużej. Wszyscy już stali, patrząc z przerażeniem, jak Weasleyowie próbują ściągnąć Harry'ego na jedną ze swoich mioteł, ale bez rezultatu — za każdym razem, gdy się do niego zbliżali, jego miotła podskakiwała jeszcze wyżej. Krążyli więc pod nim, najwyraźniej mając nadzieję złapać go w locie. Tymczasem Marcus Flint przejął kafla i strzelił pięć bramek, choć nikt nie zwracał na to uwagi.

— Hermiono, zrób coś — mruczał zrozpaczony Ron.

Hermiona przepchnęła się do sektora, w którym stał Snape i pobiegła wzdłuż rzędu tuż za nim. Nawet się nie zatrzymała, żeby powiedzieć "przepraszam", gdy niechcący popchnęła profesora Quirrella, tak że wpadł na głowę do następnego rzędu.

Kiedy dotarła do Snape'a, kucnęła, wyciągnęła różdżkę i wyszeptała parę dobrze dobranych słów. Z różdżki wystrzelił jasnoniebieski płomień — wprost na skraj szaty Snape'a.

Minęło ze trzydzieści sekund, zanim Snape zorientował się, że płonie. Po jego krótkim wrzasku poznała, że osiągnęła to, co zamierzała. Szybko zebrała płomienie do małego garnuszka, który miała w kieszeni, i wycofała się chyłkiem, prawie na czworakach. Snape nigdy się nie dowie, co się właściwie stało.

Ale to wystarczyło. Wysoko, w powietrzu, Harry nagle poczuł, że jest w stanie z powrotem dosiąść Nimbusa.

— Neville, możesz już patrzeć! — krzyknął Ron. Neville od pięciu minut szlochał z twarzą ukrytą w kurtce Hagrida.

Harry szybował już w dół. Wszyscy zobaczyli, jak zakrywa sobie usta rękami, jakby miał wymiotować — wylądował prawie na czworakach — zakaszał — i coś złotego spadło mu na dłoń.

— Mam znicz! — krzyknął, wymachując nim nad głową.

Mecz zakończył się ogólnym zamieszaniem.

— On go nie złapał, on go prawie połknął — ryczał wciąż Flint jeszcze dwadzieścia minut później, ale niczego to nie zmieniało: Harry nie złamał żadnego przepisu i Lee Jordan wciąż wykrzykiwał rezultat — Gryffindor wygrał stu siedemdziesięcioma punktami do sześćdziesięciu. Ale Harry już tego nie słyszał. Pił mocną herbatę w chatce Hagrida, razem z Ronem i Hermioną.

— To był Snape — wyjaśniał mu Ron. — Hermioną go zobaczyła. Czarował twoją miotłę, nie spuszczał z ciebie wzroku.

— Bzdury — rzekł Hagrid. — Niby dlaczego miałyby to robić?

Harry, Ron i Hermioną wymienili znaczące spojrzenia, zastanawiając się, czy mu powiedzieć. Harry uznał, że trzeba wyjawić prawdę.

— Czegoś się o nim dowiedziałem — powiedział. — W Noc Duchów próbował przejść koło psa o trzech głowach. Potwór go ugryzł. Sądzymy, że chciał ukraść to, czego strzeże pies.

Hagrid wypuścił z rąk dzbanek.

— Skąd wiecie o Puszku? — zapytał.

— O Puszku?

— No tak... to mój pies... kupiłem go od jednego Greka... w pubie, w zeszłym roku... pożyczyłem go Dumbledore'owi, żeby pilnował...

— Czego? — zapytał Harry.

— No... co to, to nie, więcej wam nic nie powiem, nawet nie pytajcie — odburknął Hagrid. — To ściśle tajne, ot co.

— Ale Snape próbował to wykraść.

— Bzdura — powtórzył Hagrid. — Snape jest nauczycielem w Hogwarcie, nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

— Więc dlaczego próbował zabić Harry'ego? — zawołała Hermiona.

Po wydarzeniach ostatniego popołudnia z całą pewnością zmieniła zdanie o Snapie.

— W końcu potrafię poznać, czy ktoś rzuca zły urok, jak to zobaczę — dodała. — Trzeba mieć stały kontakt wzrokowy, a Snape ani razu nie mrugnął okiem, sama widziałam!

— A ja wam mówię, że się mylicie! — zaperzył się Hagrid. — Nie mam pojęcia, dlaczego miotła Harry'ego zachowywała się tak dziko, ale Snape nigdy by nie zabił ucznia! A teraz posłuchajcie mnie, wszyscy troje! Grzebiecie w sprawach, które was nie dotyczą. To niebezpieczne. Zapomnijcie o tym psie, zapomnijcie o tym, czego on strzeże. To jest sprawa między profesorem Dumbledore'em a Nicolasem Flamelem...

— Aha! — krzyknął Harry. — A więc w to jest zamieszany jakiś Nicolas Flamel, tak?

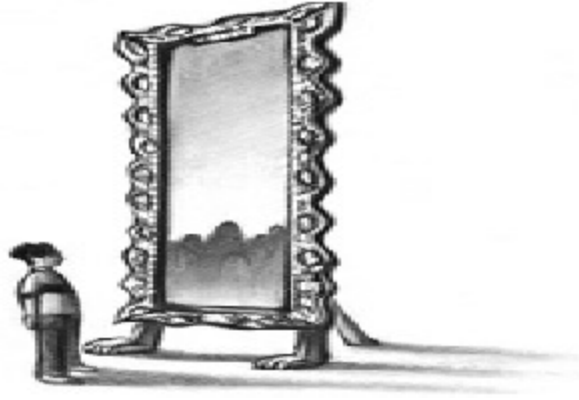
Hagrid miał taką minę, jakby był wściekły na samego siebie.

ROZDZIAŁ

DWUNASTY

ZWIERCIADŁO

AIN EINGARP



Zbliżało się Boże Narodzenie. Pewnego ranka w połowie grudnia Hogwart obudził się pokryty grubą warstwą śniegu. Jezioro zamarzło na dobre, a Weasleyowie zostali ukarani za zaczarowanie kilkunastu pigułek śniegowych, które ścigały profesora Quirrella, grzmocąc w jego turban. Kilka sów, którym się udało przebić przez zamiecie i zawieje, by przekazać pocztę, musiało przejść kurację u Hagrida. Wszyscy nie mogli doczekać się przerwy świątecznej. W pokoju wspólnym Gryffindoru i w Wielkiej Sali ogień huczał w kominkach, ale na korytarzach panował straszliwy ziąb, a w klasach wiatr łomotał w okna. Najgorsze były zajęcia z profesorem Snape'em, które odbywały się w lochach, gdzie oddech zamieniał się w parę; żeby się ogrzać, trzymali się jak najbliżej gorących kociołków.

— Naprawdę mi żal — powiedział Draco Malfoy na jednej z lekcji eliksirów — tych wszystkich, którzy będą musieli zostać na Boże Narodzenie, bo nie chcą ich w domu.

Kiedy to mówił, patrzył na Harry'ego. Crabbe i Goyle zachichotali. Harry, który właśnie odważał porcję sproszkowanego kręgosłupa skorpeny, zignorował ich. Od meczu quidditcha Malfoy zrobił się jeszcze bardziej nieprzyjemny. Wściekły z powodu przegranej Slytherinu, próbował wszystkich rozśmieszyć propozycją, by w następnym meczu na pozycji szukającego Harry'ego zastąpiła żaba

drzewna, bo ma szersze usta. W końcu zorientował się, że nikogo to nie śmieszy. Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem wyczynu Harry'ego, który zdołał się utrzymać na zbuntowanej miotle. Powrócił więc do swojej dawnej metody szydzenia z jego sieroctwa i dzieciństwa u mugoli.

Harry rzeczywiście nie zamierzał wracać na święta do Dursleyów. Profesor McGonagall obeszła wszystkie domy, spisując uczniów, którzy zostają w zamku, i Harry natychmiast wpisał się na listę. Nie czuł się wcale nieszczęśliwy z tego powodu, przeciwnie, uważał, że będą to najlepsze święta, jakie dotąd przeżył. Ron i jego bracia też zostawali, ponieważ państwo Weasleyowie wybierali się do Rumunii, by odwiedzić Charliego.

Po lekcji, gdy chcieli wyjść z lochów, stwierdzili, że korytarz jest zablokowany przez wielką jodłę, spod której wystają dwie olbrzymie stopy. Po głośnym sapaniu poznali, że za drzewkiem jest Hagrid.

— Cześć, Hagrid, pomóc ci? — zapytał Ron, wpychając głowę między gałęzie.

— Nie, dzięki, dam radę, Ron.

— Może byście przestali blokować przejście, co? — rozległ się za nimi zimny głos Malfoya. — Chcesz sobie dorobić, Weasley? Masz nadzieję zostać gajowym, jak skończysz szkołę albo jak szkoła z tobą skończy? Chatka Hagrida to chyba pałac w porównaniu z twoim rodzinnym domem, nie?

Ron rzucił się na Malfoya, ale w tej samej chwili na szczyt schodów dotarł Snape.

— WEASLEY!

Ron puścił przód szaty Malfoya.

— Został sprowokowany, panie psorze — powiedział Hagrid, wystawiając swoją wielką, włochatą głowę zza jodły. — Malfoy obrażał jego rodzinę.

— Może i tak było, ale bijatyki są w Hogwarcie zakazane, Hagrid — rzekł Snape. — Minus pięć punktów dla Gryffindoru, Weasley, i bądź wdzięczny, że tylko tyle. Ruszajcie stąd, wszyscy.

Malfoy, Crabbe i Goyle precyzyjnie się obok drzewka, rozsiewając wokoło igły i śmiejąc się głupkowato.

— Jeszcze go dostanę — wycodził Ron przez zęby. — Któregoś dnia odpowie mi za wszystko.

— Nienawidzę ich obu — mruknął Harry. — Malfoya i Snape'a.

— No, chłopaki, głowa do góry, Boże Narodzenie za pasem — powiedział Hagrid. — Wiecie co? Chodźcie ze mną i zobaczcie Wielką Salę, wygląda naprawdę ekstra.

Poszli więc za Hagridem i jego drzewkiem do Wielkiej Sali, której dekorowaniem byli zajęci profesor McGonagall i profesor Flitwick.

— Ach, Hagrid, ostatnie drzewko... postaw je tam w rogu, dobrze?

Sala wyglądała naprawdę wspaniale. Festony ostrokrzewu i jemioty wisiały na wszystkich ścianach, a wokoło stało ze dwanaście pięknych jodeł; niektóre migotały małymi sopelkami, inne jarzyły się setkami świec.

— Ile dni wam zostało do ferii świątecznych? — zapytał Hagrid.

— Tylko jeden — odpowiedziała Hermiona. — To mi przypomniało... Harry, Ron, mamy pół godziny do obiadu, powinniśmy pójść do biblioteki.

— Och, tak, masz rację — rzekł Ron, odrywając oczy od profesora Flitwicka, który wyczarowywał różdżką złote bombki i wieszał na gałązkach właśnie dostarczonego drzewka.

— Do biblioteki? — zdziwił się Hagrid, wychodząc za nimi z sali. — Tuż przed feriami? Macie bzika czy jak?

— Och, tu nie chodzi o naukę — wyjaśnił mu Harry.

— Od kiedy wspomniałeś o Nicolasie Flamelu, próbujemy się dowiedzieć, kim on jest.

— Co robicie? — Hagrid wytrzeszczył oczy. — Słuchajcie... mówiłem wam już... zostawcie to. Nic wam do tego, czego pilnuje Puszek.

— My tylko chcemy się dowiedzieć, kim jest ten Flamel, nic poza tym — powiedziała Hermiona.

— Chyba że ty nam powiesz i zaoszczędzisz nam trudu — dodał Harry. — Przewaliliśmy już setki książek i nic nie możemy znaleźć... Daj nam tylko jakąś wskazówkę... Wiem, że gdzieś już spotkałem to nazwisko.

— Nic nie powiem.

— No to musimy szukać sami — rzekł Harry i zostawili Hagrida samego, z kwaśną miną, spiesząc do biblioteki.

Od czasu, gdy Hagridowi wyrwało się to nazwisko, rzeczywiście przetrząsali książki w poszukiwaniu jakichś informacji o Flamelu, bo — jak dotąd — był to jedyny sposób, by dowiedzieć się, co chciał wykraść Snape. Kłopot polegał na tym, że nie mieli pojęcia, od czego zacząć, bo nie wiedzieli, co takiego mógł zrobić ten Flamel, by znaleźć się w jakiejś książce. Nie było go w Wielkich czarodziejach dwudziestego wieku ani w Wybitnych postaciach świata magii naszych czasów; nie było go też w Najważniejszych współczesnych odkryciach magicznych i w Najnowszych osiągnięciach czarodziejstwa.

A biblioteka była ogromna: dziesiątki tysięcy ksiąg, setki półek, tysiące rzędów.

Hermiona sporządziła sobie listę tematów i tytułów, które postanowiła sprawdzić, natomiast Ron chodził wzdłuż półek i wyciągał woluminy na chybił trafił. Harry powędrował ku działowi Ksiąg Zakazanych. Niestety, żeby korzystać ze zgromadzonych tu dzieł, trzeba było mieć specjalne pozwolenie na piśmie od któregoś z nauczycieli, a doskonale wiedział, że

żaden mu go nie da. Były tam księgi zawierające tajemnice czarnej magii, której w Hogwarcie nigdy się nie nauczało, a dostęp do nich mieli wyłącznie studenci starszych lat, uczący się zaawansowanej obrony przeciw czarnoksięstwu.

— Czego szukasz, chłopcze?

— Niczego.

Pani Pince, bibliotekarka, machnęła mu przed nosem miotełką z piór.

— Więc lepiej stąd zmykaj. Wynoś się! Już!

Żałując, że nie przyszedł mu do głowy jakiś pomysł, Harry opuścił bibliotekę. Już na samym początku ustalili, że lepiej nie pytać pani Pince, gdzie można znaleźć coś o Flamelu. Byli pewni, że potrafiłaby im udzielić wskazówek, ale nie chcieli ryzykować, że Snape dowie się, czego szukają.

Harry czekał na korytarzu, żeby się dowiedzieć, czy Ron i Hermiona czegoś nie znaleźli, choć nie miał na to wielkiej nadziei. Poszukiwania prowadzili co prawda od dwóch tygodni, a ponieważ mogli to robić jedynie w przerwach między lekcjami, trudno się dziwić, że na nic jeszcze nie natrafili. Potrzebne im było dokładne, długie przeszukanie, bez pani Pince dyszącej im w karki.

Pięć minut później wyszli Ron i Hermiona, kręcąc głowami. Poszli na obiad.

— Będziecie dalej szukać, jak mnie nie będzie, tak? — powiedziała Hermiona. — I przyślijcie mi sowę, jak coś znajdziecie.

— A ty zapytaj rodziców, może coś wiedzą o tym Flamelu — rzekł Ron. — To chyba bezpieczne.

— Bardzo bezpieczne, bo oboje są dentystami — odpowiedziała Hermiona.

W końcu ferie się rozpoczęły. Ron i Harry mieli teraz aż za dużo czasu, by rozmyślać o Flamelu. W dormitorium spali tylko we dwóch, a że w salonie też było o wiele luźniej, bez

trudu udawało się zająć dobre miejsca przy kominku. Przesiadali tam godzinami, pojadając wszystko, co dało się nadzieć na rożen — chleb, angielskie bułeczki, ślazowe marmoladki — i wymyślając najróżniejsze sposoby pozbycia się Malfoya ze szkoły, co było bardzo zabawne, nawet jeśli zupełnie nierealne.

Ron zaczął uczyć Harry'ego gry w szachy czarodziejów. Od szachów mugoli różniły się tym, że figury były żywe, co sprawiało wrażenie, że dowodzi się oddziałami w bitwie. Komplet figur Rona był bardzo stary i zniszczony. Jak wszystko, co posiadał, należał kiedyś do któregoś z członków jego rodziny — w tym przypadku do dziadka. Starość figur nie była jednak wcale ich wadą. Ron tak dobrze je znał, że bez trudu skłaniał je do robienia tego, co zechciał.

Harry grał kompletem pożyczonym od Seamusa Finnigana i miał spore trudności. Figury nie miały do niego za grosz zaufania i wciąż udzielały mu rad, co go trochę deprimowało. “Nie stawiaj mnie tutaj, nie widzisz jego laufra? Rusz się tym, nie możemy sobie pozwolić na jego stratę”.

W wigilię Bożego Narodzenia Harry poszedł do łóżka, rozmyślając o wszystkich jutrzejszych pysznościach i zabawach, ale nie oczekując żadnych prezentów. A jednak, kiedy obudził się rano, zobaczył stosik paczuszek w nogach swojego łóżka.

— Wesołych świąt — mruknął Ron sennym głosem, kiedy Harry wygramolił się z łóżka i założył szlafrok.

— Nawzajem — odpowiedział Harry. — Widziałeś? Dostałem prezenty!

— A czego się spodziewałeś, pietruszki? — powiedział Ron, spoglądając na swój stos, który był trochę większy.

Harry chwycił paczuszkę leżącą na wierzchu. Zapakowana była w gruby, brązowy papier, na którym niewprawna ręka wypisała: “Dla Harry'ego, od Hagrida”. W środku był dość

toporny drewniany flecik. Hagrid musiał go sam wystrugać. Harry dmuchnął weń, a flet wydał dźwięk podobny do krzyku sowy.

Dru ga mała paczuszka zawierała kartkę:

Otrzyma liśmy wiadomość od ciebie i przesyłamy ci prezent bożonarodzeniowy. Od wuja Vernona i ciotki Petunii.

Do kartki przyklejona była taśmą moneta pięćdziesięciopensowa.

— To miłe — rzekł Harry.

Ron był bardzo zafascynowany monetą.

— Ojej! Co za kształt! To są pieniądze?

— Możesz ją zatrzymać — odpowiedział Harry, śmiejąc się z jego zdumienia. — Hagrid, ciotka i wuj... więc od kogo ta reszta?

— Chyba wiem, od kogo jest ten — powiedział Ron, rumieniąc się i wskazując na niezbyt porządną paczkę. — Od mojej mamy. Powiedziałem jej, że nie spodziewasz się żadnych prezentów i... och, nie... — jęknął — zrobiła ci sweter Weasleyów!

Harry rozerwał paczkę i wyjął gruby, robiony na drutach, szmaragdowozielony sweter i duże pudełko domowych krówek.

— Co roku robi nam swetry — westchnął Ron i rozwinął swój — a mój zawsze jest kasztanowy.

— To naprawdę bardzo miłe z jej strony — rzekł Harry, próbując krówki, która okazała się bardzo smaczna.

Kolejny prezent też zawierał słodczy — wielkie pudło czekoladowych żab od Hermiony.

Pozostała już tylko jedna paczka. Harry wziął ją do ręki i pomacał. Była bardzo lekka. Rozwinął ją. Coś wiotkiego i srebrnoszarego zsunęło się na podłogę i leżało tam, połyskując i migocąc. Ron wydał zduszony okrzyk.

— Ojej... słyszałem o tym — wyszeptał, wypuszczając z rąk pudełko fasolek wszystkich smaków od Hermiony. — Jeśli to

jest to, o czym myślę... to naprawdę wielka rzadkość i bardzo cenny prezent.

— Co to jest?

Harry podniósł z podłogi lśniąca, srebrzystą szatę. Była dziwna w dotyku, jakby tkanina była wykonana z wody.

— To peleryna—niewidka — powiedział Ron z przejęciem. — Jestem prawie pewny... przymierz ją.

Harry zarzucił płaszcz na ramiona, a Ron wrzasnął krótko.

— Tak! Spójrz w dół!

Harry spojrzał na swoje stopy — ale stóp nie było. Podbiegł do lustra. Zobaczył swoje odbicie, ale była to tylko głowa zawieszona w powietrzu. Naciągnął pelerynę na głowę i odbicie całkowicie zniknęło.

— Tu jest jakaś kartka! — zawołał Ron. — Odpadła kartka!

Harry zdjął płaszcz i chwycił list. Napisany był wąskim, pełnym zakrętów pismem, które widział po raz pierwszy w życiu.

Twój ojciec pozostawił to pod moją opieką, zanim umarł. Już czas, by wróciło do ciebie. Zrób z tego dobry użytek. Życzę ci bardzo wesołych świąt.

Nie było podpisu. Harry gapił się na liścik. Ron podziwiał płaszcz.

— Oddałbym za to wszystko — powiedział. — Wszystko. Co ci jest?

— Nic, nic — odrzekł Harry, ale poczuł się bardzo dziwnie. Kto mu przysłał ten płaszcz? Czy naprawdę należał kiedyś do jego ojca?

Zanim zdążył coś jeszcze pomyśleć albo powiedzieć, drzwi dormitorium otworzyły się z hukiem i wpadli Fred i George Weasleyowie. Harry szybko zgarnął płaszcz i przykrył kocem. Jakoś nie chciał się z nikim dzielić tą tajemnicą.

— Wesołych świąt!

— Hej, zobacz! Harry dostał sweter Weasleyów! Fred i George mieli na sobie niebieskie swetry; na jednym było duże F, na drugim G.

— Ale jego jest lepszy — zauważył Fred, podnosząc sweter Harry’ego. — Widać, że bardziej się przyłożyła.

— Dlaczego nie włożyłeś swojego sweterka, Ronuś? — zapytał George. — Włóż, taki jest ładny i ciepły.

— Nienawidzę koloru kasztanowego — jęknął Ron i wciągnął swój sweter przez głowę.

— Na twoim nie ma litery — zauważył George. — Chyba uważa, że nie zapominasz swojego imienia. Ale my nie jesteśmy tacy głupi, wiemy, że nazywamy się Gred i Forge.

— Co to za hałasy?

Percy Weasley wetknął głowę przez drzwi, patrząc na nich surowo. Najwyraźniej też już rozpakował część swoich prezentów, bo miał zarzucony na ramiona sweter. Wszedł do środka, a Fred natychmiast ściągnął mu sweter.

— P czyli prefekt! Wkładaj go, Percy, my już swoje mamy na sobie, Harry też dostał.

— Nieee... nie chcę... — wysapał Percy spod swetra, który bracia już mu wciągali przez głowę, strącając przy okazji okulary.

— I dzisiaj nie siedzisz z innymi prefektami — oznajmił George. — Boże Narodzenie to rodzinne święto. Wyprowadzili Percy’ego z sypialni, spętanego swetrem.

Harry jeszcze nigdy w życiu nie jadł takiego świątecznego obiadu. Były tam setki tłustych, pieczonych indyków, góry pieczonych i gotowanych ziemniaków, półmiski frytek, wazy pełne polanego masłem groszku, srebrne łódki z gęstym sosem pieczeniowym i żurawinowym — a także sterty czarodziejskich strzelających niespodzianek, rozłożone co kawałek na wszystkich stołach. Te fantastyczne petardy nie przypominały w niczym owych żałosnych “niespodzianek”

mugoli, które zwykle kupowali na Boże Narodzenie Dursleyowie i z których wypadały małe plastikowe zabawki albo byle jakie papierowe kapelusze. Harry i Fred pociągnęli czarodziejską petardę za oba końce, a ona wybuchła ze straszliwym hukiem, spowiła ich obłokiem niebieskiego dymu, a ze środka wyleciał najprawdziwszy kapelusz admirałski i kilkanaście żywych białych myszek. Przy stole nauczycielskim profesor Dumbledore zamienił swoją wysoką, spiczastą tiarę czarodzieja na ukwiecony beret i chichotał z dowcipu, który mu właśnie przeczytał profesor Flitwick. Po indyku pojawiły się na stołach płonące bożonarodzeniowe puddingi. Percy o mało nie złamał sobie zęba na srebrnym sykle, który był w jego porcji. Harry obserwował

Hagrida, który robił się coraz bardziej czerwony na twarzy po kolejnych kielichach wina, a w końcu pocałował profesor McGonagall w policzek, która, ku zdumieniu Harry'ego, zachichotała i spłonęła rumieńcem.

Kiedy Harry odchodził od stołu, dźwigał stos przedmiotów, które powylały z petard—niespodzianek, a wśród nich pudło z niezniszczalnymi, świecącymi balonami, zestaw do wyhodowania kurzajek i nowy komplet czarodziejskich figur do szachów. Białe myszki gdzieś zniknęły i Harry miał nieprzyjemne przeczucie, że skończą jako bożonarodzeniowy obiad Pani Norris.

Po południu Harry i Weasleyowie wzięli udział w wielkiej bitwie na śnieżki w szkolnym parku, a później, zziębnięci, przemoczeni i zadyszani, wrócili do pokoju wspólnego Gryffindoru, gdzie ogień huczał w kominku. Harry zrobił chrzest bojowy swoim nowym figurom szachowym i przegrał z Ronem. Podejrzewał, że klęska nie byłaby aż tak sromotna, gdyby Percy nie pomagał bratu.

Po kolacji, na którą składały się kanapki z indykiem, krokiety, biszkopty z kremem i bożonarodzeniowy placek, wszyscy poczuli się tak ociężali i senni, że tylko siedzieli i patrzyli, jak Percy ściga po całej wieży Freda i George'a, którzy ukradli mu odznakę prefekta.

Było to dla Harry'ego najwspanialsze Boże Narodzenie w życiu, a jednak na dzień duszy coś go nękało przez cały dzień. Dopiero gdy położył się do łóżka, miał czas, by o tym pomyśleć: o pelerynie—niewidce i o tym, kto mu ją przysłał.

Ron, objedzony indykiem i ciastem i nie dręczony żadnymi zagadkami, usnął prawie natychmiast po zasunięciu kotary swojego łóża. Harry przechylił się i wyciągnął spod łóżka pelerynę.

Jego ojca... to należało do jego ojca. Przesuwał w dłoniach delikatną tkaninę, gładką jak jedwab, lekką jak powietrze. Zrób z tego dobry użytek — głosił liścik.

Korciło go, by znowu wypróbować działanie czarodziejskiego płaszcza. Wstał z łóżka i narzucił go na ramiona. Spojrzał na swoje nogi i zobaczył tylko plamę księżycowego blasku i cienie. Bardzo dziwne uczucie.

Zrób z tego dobry użytek.

Nagle rozbudził się całkowicie. W tym płaszczu cały Hogwart stoi przed nim otworem! Poczuł silne podniecenie. Przecież teraz może chodzić, gdzie chce, a Filch go nie zobaczy!

Ron mruknął przez sen. Obudzić go? Coś go powstrzymało... to płaszcz ojca... teraz poczuł to wyraźnie... po raz pierwszy... musi być sam...

Wymknął się z dormitorium, zszedł po schodach, minął pokój wspólny i przełaził przez dziurę za portretem.

— Kto tu jest? — zaskrzeczała Gruba Dama. Harry nic nie odpowiedział i ruszył cicho korytarzem.

Dokąd iść? Zatrzymał się i nagle serce zabiło mu mocno. Ależ tak! Do biblioteki, do działu Ksiąg Zakazanych. Będzie mógł szperać tam do woli, czytać co zechce i zostać tak długo, aż znajdzie coś o Flamelu. Otulił się szczelnie peleryną i zdecydowanym krokiem wszedł do biblioteki.

W bibliotece było ciemno i niesamowicie. Zapalił lampę, żeby widzieć drogę wzdłuż rzędów książek. Lampa wyglądała, jakby sama płynęła w powietrzu. Czuł, że ją trzyma, ale mimo to na ten widok dreszcze przebiegały mu po plecach.

Dział Ksiąg Zakazanych mieścił się w samym końcu sali. Harry przeszedł ostrożnie ponad sznurem oddzielającym ten dział od reszty biblioteki i uniósł lampę, by widzieć tytuły książek.

Niewiele mu mówiły. Złuszczone, wyblakłe złote litery składały się na słowa w nie znanych mu językach. Niektóre księgi w ogóle nie miały tytułów na grzbiecie. Na jednej była ciemna plama, która wyglądała jak dawno zaschła krew. Poczuł mrowienie w karku. Może to sobie wyobraził, a może nie, ale miał wrażenie, że książki szepcą coś cicho, jakby wiedziały, że ogląda je ktoś, kto nie powinien tu być.

Trzeba od czegoś zacząć. Postawił ostrożnie lampę na podłodze i zaczął przeglądać najniższy rząd w poszukiwaniu czegoś ciekawego. Jego uwagę zwrócił wielki, czarno—srebrny wolumin. Wyciągnął go z trudem, bo okazał się bardzo ciężki, wsparł na uniesionym kolanie i otworzył.

Ciszę przerwał przesywający, mrozący krew w żyłach wrzask. Harry zatrzasnął książkę, ale wrzask trwał i trwał — wysoki, nieprzerwany, dżgający w uszy ton. Przerażony, cofnął się i przewrócił lampę, która natychmiast zgasła. Usłyszał kroki na korytarzu. Wepchnął księgę na swoje miejsce i pobiegł ku wyjściu. Minał Filcha w drzwiach; jego blade, straszne oczy wpatrywały się poprzez niego w ciemność

biblioteki. Przemknął pod jego wyciągniętą ręką i pobiegł dalej korytarzem, wciąż mając w uszach ten okropny wrzask.

Zatrzymał się nagle przed jakąś zbroją. W panicznej ucieczce z biblioteki nie zwrócił w ogóle uwagi, dokąd biegnie. Było ciemno i nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Wiedział, że jakaś zbroja stoi w pobliżu kuchni, ale przecież nie schodził w dół, wciąż musiał być pięć pięter wyżej.

— Poleciał mi pan, panie profesorze, żebym natychmiast pana powiadomił, jeśli ktoś będzie chodził nocą po zamku, a ktoś właśnie był w bibliotece... w dziale Ksiąg Zakazanych.

Harry poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Filch musiał znać jakieś przejście na skróty, bo jego cichy, oślizgły głos zbliżał się coraz bardziej. A głos, który mu odpowiedział, Harry poznał natychmiast.

— W dziale Ksiąg Zakazanych? No, daleko nie uciekł, zaraz go złapiemy.

To był głos Snape'a.

Harry cofnął się najciszej, jak potrafił. Na lewo majaczyły jakieś drzwi. Namacał klamkę, wstrzymał oddech i poczuł z ulgą, że drzwi ustępują. Wśliznął się do środka przez szparę i zamarł bez ruchu. Filch i Snape poszli dalej, a Harry oparł się o ścianę, oddychając głęboko i nasłuchując oddalających się kroków. Uff! Bardzo niewiele brakowało... Dopiero po chwili rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym znalazł kryjówkę.

Pokój wyglądał jak nieużywana klasa. Pod ścianami piętrzyły się stosy krzeseł i stolików, dostrzegł też przewrócony do góry nogami kosz na śmieci. Ale było tu również coś, co nie pasowało do całości, coś, co sprawiało wrażenie, jakby ktoś wstawił to tutaj, żeby nie zawadzało.

Było to piękne lustro, oparte o ścianę, sięgające aż do sufitu, w bogato zdobionej złotej ramie. Na szczycie ramy widniał napis: AIN EINGARP ACRESO GEWTEL AZ RAWTA WTE IN MAJ IBDO.

Kroki Filcha i Snape'a ucichły całkowicie i Harry poczuł, że jest bezpieczny. Zbliżył się do lustra, chcąc jeszcze raz przeżyć to niesamowite wrażenie, kiedy nie widzi się własnego odbicia.

Stanął przed lustrem i musiał szybko przyłożyć obie dłonie do ust, żeby nie krzyknąć. Obrócił się gwałtownie, serce waliło mu o wiele mocniej niż wtedy, gdy otworzył wrzeszczącą księgę. Był niewidzialny, a jednak zobaczył swoje odbicie w czarodziejskim płaszczu. I nie tylko swoje. Tuż za sobą ujrzął tłum postaci.

Przecież pokój był pusty! Oddychając szybko, odwrócił się powoli do lustra.

Tak, to był on, jego odbicie. Twarz biała jak papier, przerażona, a za nim... przynajmniej z dziesięć postaci. Spojrzał przez ramię do tyłu — nie zobaczył nikogo. Może oni też są niewidzialni? Może znalazł się w pokoju pełnym niewidzialnych ludzi, a to zaczarowane lustro odbija wszystkich, widzialnych i niewidzialnych?

Znowu spojrzął w lustro. Kobieta, która stała tuż za nim, uśmiechała się i machała do niego ręką. Sięgnął za siebie, ale nie wyczuł niczego. Gdyby naprawdę tam była, musiałby jej dotknąć, ich odbicia znajdowały się bardzo blisko siebie... Ale jego ręka natrafiła na pustkę — ta kobieta i ci inni ludzie istnieli tylko w lustrze.

Kobieta była bardzo piękna. Miała kasztanowe włosy, a jej oczy... Jej oczy są zupełnie jak moje, pomyślał Harry, przysuwając się do lustra. Jasnozielone, tego samego kształtu... Dopiero teraz dostrzegł, że kobieta płacze, uśmiecha się przez łzy. Stojący obok niej wysoki, chudy, czarnowłosy mężczyzna, objął ją ramieniem. Miał okulary i bardzo rozczochrane włosy. Sterczały do tyłu tak jak Harry'emu.

Harry przysunął się tak blisko do lustra, że prawie dotykał nosem swojego odbicia.

— Mamo? — szepnął. — Tato? Lecz oni tylko patrzyli na niego, uśmiechając się smutno. Powiódł wzrokiem po twarzach innych ludzi w zwierciadle i ujrzał inne pary takich samych zielonych oczu, inne nosy, tak podobne do jego nosa, a jeden staruszek miał nawet takie same jak on kościste kolana. Patrzył na swoją rodzinę, patrzył na nią po raz pierwszy w życiu.

Potterowie uśmiechali się i machali do niego rękami, a Harry pochłaniał ich wzrokiem, przyciskając dłonie do lustra, jakby miał nadzieję, że przeniknie przez zimne szkło i znajdzie się między nimi. A w sercu czuł przedziwną mieszaninę radości i dojmującego smutku.

Nie wiedział, jak długo tam stał. Odbicia nie bladły, a on patrzył na nie i patrzył, aż gdzieś z daleka dobiegł go jakiś hałas, który pomógł mu wrócić do rzeczywistości. Oderwał oczy od twarzy matki, szepnął: “Wróć” i wybiegł z pokoju.

— Mogłeś mnie obudzić — powiedział ze złością Ron.

— Możesz iść dziś w nocy, wracam tam, chcę ci pokazać to zwierciadło.

— Bardzo bym chciał zobaczyć twojego tatę i twoją mamę.

— A ja chcę zobaczyć całą twoją rodzinę, wszystkich Weasleyów. Będziesz mi mógł pokazać swoich innych braci.

— Zawsze możesz ich zobaczyć — rzekł Ron. — Wystarczy, że w lecie pojedziemy razem do mojego domu. A w ogóle, może to lustro pokazuje tylko umarłych? Szkoda, że nie znalazłeś niczego o tym Flamelu. Weź trochę bekonu, czy czegoś, dlaczego nic nie jesz?

Harry wcale nie miał ochoty na jedzenie. Widział swoich rodziców i zobaczy ich znowu tej nocy. Prawie zapomniał o Flamelu. Straciło to dla niego znaczenie. Kogo obchodzi, czego pilnuje trójgłowy pies? Czy to ważne, że Snape może to wykraść?

— Hej, nic ci nie jest? — zapytał Ron. — Wyglądasz jakoś dziwnie.

Teraz Harry bał się tylko jednego: że nie trafi po raz drugi do lustra. Wędrówka pod jednym płaszczem z Ronem też nie była łatwa. Próbowali odtworzyć trasę Harry'ego z biblioteki, ale choć przez godzinę błąkali się po ciemnych korytarzach, nie znaleźli opuszczonej klasy.

— Piekielnie zmarzłem — powiedział Ron. — Dajmy sobie z tym spokój i wracajmy do naszej wieży.

— Nie! — szepnął Harry. — Wiem, że to musi być gdzieś tutaj.

Minęli ducha wysokiej wiedźmy, szybującego w przeciwnym kierunku, ale nikogo więcej nie spotkali. Ron właśnie zaczął jęczeć, że stopy mu zupełnie zdrętwiały z zimna, kiedy Harry dostrzegł zbroję.

— To tu... o, tutaj... tak!

Otworzyli drzwi. Harry zrzucił płaszcz z ramion i podbiegł do lustra.

Byli tam. Jego matka i ojciec rozpromienili się na jego widok.

— Widzisz? — szepnął Harry.

— Nic nie widzę.

— Patrz! Patrz na nich wszystkich... jest ich tam wielu...

— Widzę tylko ciebie.

— Popatrz lepiej, stań tu, gdzie ja. Harry odsunął się na bok, ale teraz widział tylko Rona w jego piżamie w misie.

Ron wpatrywał się jednak w lustro jak urzeczony.

— Harry, spójrz na mnie!

— Widzisz całą swoją rodzinę?

— Nie... jestem sam... ale jakiś inny... wyglądam starzej... i jestem... jestem najlepszy!

— Co?

— Jestem... mam odznakę, taką jak miał Bili... i trzymam Puchar Domów... i Puchar Quidditcha... Jestem kapitanem drużyny!

Ron oderwał oczy od tego cudownego widoku i spojrzał na Harry'ego.

— Myślisz, że to lustro pokazuje przyszłość?

— Niby jak? Przecież cała moja rodzina nie żyje... poczekaj, spojrzę jeszcze raz...

— Ty już się napatrzyłeś, pozwól mi jeszcze trochę...

— Trzymasz Puchar Quidditcha, no i co z tego? A ja chcę zobaczyć moich rodziców.

— Nie pchaj mnie...

Niespodziewany hałas na korytarzu zakończył dyskusję. Nie zdawali sobie sprawy, jak głośno rozmawiają.

— Szybko!

Ron ledwo zdążył narzucić na nich płaszcz, gdy w drzwiach pojawiły się świetliste oczy Pani Norris. Stali nieruchomo, myśląc o tym samym: czy płaszcz działa na koty? Ale po długiej chwili Pani Norris wyszła.

— Nie jest dobrze... — szepnął Ron. — Może poszła po Filcha. Założę się, że nas usłyszała. Idziemy. I wypchnął Harry'ego z pokoju.

Następnego ranka wszystko było nadal pokryte śniegiem.

— Zagramy w szachy? — zapytał Ron.

— Nie.

— Może pójdziemy odwiedzić Hagrida?

— Nie... Idź sam.

— Wiem, o czym myślisz, Harry. O tym lustrze. Nie idź tam dziś w nocy.

— Dlaczego?

— Nie wiem, mam jakieś złe przeczucie... Za dużo osób tam się kręci. Filch, Snape, teraz Pani Norris. Nie widzą cię,

ale przecież w każdej chwili mogą tam wejść. A jak na coś wpadniesz?

— Mówisz zupełnie jak Hermiona.

— Mówię poważnie, Harry, nie chodź.

Ale Harry myślał tylko o jednym: o powrocie przed zaczarowane zwierciadło. Ron nie był w stanie go powstrzymać.

Trzeciej nocy bardzo szybko znalazł drogę. Szedł tak prędko, że jego kroki dudniły w pustym korytarzu, ale tym razem nie spotkał nikogo.

I znowu zobaczył matkę i ojca, a jeden z jego dziadków pokiwał głową, uradowany. Harry usiadł na podłodze przed lustrem. Nic nie mogło go powstrzymać przed siedzeniem tu przez całą noc razem ze swoją rodziną. Nic.

Nic prócz...

— A więc znowu tu wróciłeś, Harry?

Harry poczuł się tak, jakby brzuch miał wypełniony lodem. Na jednym ze stolików przy ścianie siedział nie kto inny, jak sam Albus Dumbledore. Harry musiał przejść tuż obok niego, tak zafascynowany lustrem, że go nie zauważył.

— Ja... ja nie widziałem pana, panie profesorze.

— To dziwne, jak niewidzialność popsowała ci wzrok — rzekł Dumbledore, a Harry poczuł ulgę, bo zobaczył, że profesor się uśmiecha. — Tak więc i ty — dodał, zsuwając się ze stolika i siadając na podłodze obok Harry'ego — jak setki innych przed tobą, odkryłeś rozkosze Zwierciadła Ain Eingarp.

— Nie wiedziałem, że ono tak się nazywa, panie profesorze.

— Ale chyba już wiesz, co ono potrafi?

— No... pokazuje mi moją rodzinę...

— I twojego przyjaciela Rona jako prymusa.

— Skąd pan wie.

— Nie muszę mieć płaszcza, żeby stać się niewidzialnym — powiedział łagodnie Dumbledore. — No dobrze, ale czy już

wiesz, co pokazuje nam wszystkim Zwierniadio Ain Eingarp?

Harry potrzęsnał głową.

— Zaraz ci to wyjaśnię. Tylko najszcześliwszy człowiek na świecie mógłby używać Zwierniadia Ain Eingarp jak zwykłego lustra, to znaczy, że mógłby patrzeć w nie i widzieć swoje normalne odbicie. Teraz już rozumiesz?

Harry pomyślał, a potem powiedział powoli:

— Ono pokazuje nam to, czego pragniemy... czego każdy z nas pragnie...

— Tak i nie — odpowiedział spokojnie Dumbledore. — Pokazuje nam ni mniej, ni więcej, tylko najgłębsze, najbardziej utęsknione pragnienie naszego serca. Ty, który nigdy nie znałeś swojej rodziny, widzisz ją całą, stojącą wokół ciebie. Ronald Weasley, który zawsze był w cieniu swoich braci, widzi tylko siebie, ale jako najlepszego z nich wszystkich. To lustro nie dostarcza nam jednak ani wiedzy, ani prawdy. Ludzie tracą przed nim czas, oczarowani tym, co widzą, albo nawet wpadają w szaleństwo, nie wiedząc, czy to, co widzą w zwierniadiu, jest prawdziwe lub choćby możliwe.

— Jutro Zwierniadio Ain Eingarp zostanie przeniesione, Harry, a ja proszę cię, żebyś już go nie szukał. Jeśli kiedykolwiek na nie się natkniesz, zostałeś ostrzeżony. Pamiętaj: naprawdę niczego nie daje pograżanie się w marzeniach i zapominanie o życiu. A teraz, załóż swój cudowny płaszcz i wracaj do łóżka, dobrze?

Harry wstał.

— Panie profesorze... Czy mogę o coś zapytać?

— Właśnie to zrobiłeś. — Dumbledore uśmiechnął się. — Ale dobrze, możesz mnie jeszcze o coś zapytać.

— Co pan profesor widzi, jak patrzy w to lustro?

— Ja? Widzę siebie trzymającego parę grubych, wełnianych skarpetek.

Harry wytrzeszczył oczy.

— Nigdy się nie ma za dużo skarpetek — powiedział Dumbledore. — Minęło jeszcze jedno Boże Narodzenie, a ja znowu nie dostałem ani jednej pary. Wszyscy wciąż dają mi książki.

Dopiero kiedy Harry znalazł się z powrotem w łóżku, pomyślał, że profesor Dumbledore mógł mu nie powiedzieć całej prawdy. Ale w końcu, uznął, spychając Parszywka ze swojej poduszki, było to bardzo osobiste pytanie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

NICOLAS FLAMEL



Dumbledore przekonał Harry'ego, że nie należy szukać Zwierciadła Ain Eingarp, i przez resztę ferii świątecznych peleryna—niewidka spoczywała na dnie jego kufra. Harry bardzo chciał zapomnieć o tym, co zobaczył w zwierciadle, ale nie było to takie łatwe. Zaczął mieć nocne koszmary. Wciąż i wciąż śnili mu się rodzice znikający w rozbłysku zielonego światła, gdy jakiś wysoki głos zaczynał złośliwie chichotać.

— Widzisz, Dumbledore miał rację, kiedy mówił, że od tego lustra można dostać świra — zauważył Ron, kiedy Harry opowiedział mu o swoich snach.

Hermiona, która wróciła na dzień przed rozpoczęciem zajęć, miała na temat tej przygody inne zdanie. Z jednej strony przerażała ją sama myśl o tym, że Harry przez trzy noce z rzędu włóczył się po zamku (“Przecież Filch mógł cię złapać!”), a z drugiej była rozczarowana tym, że nie udało mu się znaleźć żadnej informacji o Nicolasie Flamelu.

Stracili już prawie nadzieję, że znajdą coś o nim w bibliotece, choć Harry wciąż się upierał, że już gdzieś widział to nazwisko. Kiedy lekcje się rozpoczęły, mogli szperać w książkach tylko w ciągu dziesięciminutowych przerw. Harry miał jeszcze mniej czasu od nich, bo znowu zaczęły się treningi quidditcha.

Wood wyciskał z nich siódme poty. Nie powstrzymał go nawet nie kończący się deszcz, który zajął miejsce padającego wcześniej śniegu. Weasleyowie narzekali, że Woodowi odbiło i stał się fanatykiem, ale Harry był po jego stronie. Jeśli wygrają następny mecz przeciw Puchonom, wysuną się na czoło tabeli po raz pierwszy od siedmiu lat. Niezależnie od chęci zwycięstwa, Harry spostrzegł, że od czasu, gdy zaczęły się treningi, ten okropny sen dręczył go coraz rzadziej.

A potem, podczas jednego szczególnie mokrego i błotnistego treningu Wood zdradził im bardzo nieprzyjemną wiadomość. Rozzłościł się właśnie na Weasleyów, którzy pikowali na siebie i udawali, że spadają z mioteł.

— Przestańcie robić sobie szopkę z gry! — ryknął. — Właśnie przez coś takiego możemy przegrać mecz! Tym razem sędziuje Snape i możecie być pewni, że wystarczy mu byle jaki pretekst, by odjąć nam punkty!

Na te słowa George Weasley naprawdę spadł ze swojej miotły.

— Snape sędziuje? — wymamrotał, wypluwając błoto. — Przecież on nigdy nie sędziował! I na pewno nie będzie sprawiedliwy, kiedy zdobędziemy więcej punktów.

Reszta drużyny wylądowała obok niego z kwaśnymi minami.

— Czy to moja wina? — zachnął się Wood. — Musimy być po prostu pewni, że gramy czysto, tak żeby Snape nie miał się do czego przyczepić.

Było to na pewno słuszne, ale Harry miał inny powód, dla którego nie chciał, żeby Snape był w pobliżu niego podczas gry w quidditcha.

Reszta drużyny pograżyła się w ożywionej rozmowie, jak zwykle po skończonym treningu, ale Harry wrócił prosto do pokoju wspólnego Gryffindoru, gdzie zastał Rona i Hermionę grających w szachy. Szachy były jedyną rzeczą, która sprawiała Hermionie sporo kłopotów, a Harry i Ron uważali, że coś takiego jest jej bardzo potrzebne.

— Nie mów do mnie przez chwilę — rzekł Ron, kiedy Harry usiadł obok niego. — Muszę się sku... — Spojrzał na Harry'ego. — Co się stało? Wyglądasz okropnie.

Harry po cichu opowiedział im o nagłym i złowieszczym pragnieniu Snape'a, by sędziować podczas najbliższego meczu.

— Nie graj — powiedziała natychmiast Hermiona.

— Powiedz, że jesteś chory — doradził Ron.

— Udaj, że złamałeś nogę — podsunęła Hermiona.

— Naprawdę złamałeś nogę — powiedział Ron.

— Nie mogę — odrzekł Harry. — Nie mamy rezerwowego szukającego. Jeśli się wycofam, Gryfoni w ogóle nie zagrają.

W tym momencie do salonu wpadł Neville. Dosłownie wpadł, bo dał susa i upadł na podłogę. Trudno zgadnąć, jak mu się udało przejść przez dziurę w portrecie, ponieważ nogi miał sklezione czymś, w czym natychmiast rozpoznali pewne zaklęcie, znane jako Zwieracz Nóg. Przez całą drogę do wieży musiał skakać jak królik.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, prócz Hermiony, która zerwała się na równe nogi i wypowiedziała przeciwnie. Neville wstał, dygocąc na całym ciele.

— Co się stało? — zapytała Hermiona, prowadząc go do Harry'ego i Rona.

— To Malfoy — odrzekł Neville roztrzęsionym głosem. — Spotkałem go przy bibliotece. Powiedział, że szuka kogoś, na kim by mógł poćwiczyć.

— Idź do profesor McGonagall! — nalegała Hermiona. — Poskarż na niego! Neville potrząsnął głową.

— Nie chcę mieć większych kłopotów — wymamrotał.

— Musisz mu się postawić — rzekł Ron. — Zwykle depce po ludziach, ale nie można kłaść się przed nim, żeby mu to ułatwić.

— Nie musisz mi mówić, że nie jestem dość dzielny, żeby być w Gryffindorze. Malfoy już rozrobił — wykrztusił Neville.

Harry sięgnął do kieszeni i wyciągnął czekoladową żabę, ostatnią z pudełka, które dostał od Hermiony na Boże Narodzenie. Dał ją Neville'owi, który wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać.

— Słuchaj, Neville, jesteś wart tyle co tuzin Malfoyów — powiedział Harry. — Tiara Przydziału wybrała ciebie do Gryffindoru, prawda? A gdzie jest Malfoy? W śmierdzącym Slytherinie.

Neville uśmiechnął się, odwijając żabę.

— Dzięki, Harry... Chyba pójdę do łóżka... Chcesz kartę? Zbierasz je, prawda?

Kiedy Neville odszedł, Harry spojrzał na kartę Sławnych Czarodziejów.

— Znowu Dumbledore — powiedział. — Był na mojej pierwszej karcie i... — Wydał zduszony okrzyk. Obrócił kartę, a potem popatrzył na Rona i Hermionę.

— Znalazłem go! — wyszeptał. — Znalazłem Flamela! Mówiłem wam, że gdzieś widziałem to nazwisko. Przeczytałem je w pociągu, którym tu jechaliśmy... Posłuchajcie:

“Przez wielu uważany za największego czarodzieja współczesności, Dumbledore znany jest szczególnie ze zwycięstwa nad czarnoksiężnikiem Grindelwaldem (1945), z odkrycia dwunastu sposobów wykorzystania smoczej krwi i ze swoich dzieł alchemicznych, napisanych wspólnie z Nicolasem Flamelem”!

Hermiona zerwała się na równe nogi. Jeszcze nigdy nie wyglądała na tak podnieconą od czasu, gdy mieli poznać swoje stopnie za pierwsze wypracowanie domowe.

— Poczekajcie tutaj! — krzyknęła i poleciała na górę do dormitorium dziewcząt. Harry i Ron ledwo zdążyli wymienić zdumione spojrzenia, kiedy powróciła, niosąc jakąś wielką księgę.

— Nie przyszło mi na myśl, żeby zajrzeć tutaj! — wyszeptała z przejęciem. — Wypożyczyłam to z biblioteki kilka tygodni temu, żeby się rozerwać jakąś lekką lekturą.

— Lekką? — zdumiał się Ron, ale Hermiona powiedziała mu, żeby siedział cicho, a sama zaczęła wertować księgę, mrucząc coś do siebie. W końcu znalazła to, czego szukała.

— Wiedziałam! Wiedziałam!

— Czy możemy już się odezwać? — zapytał Ron. Hermiona zignorowała go.

— Nicolas Flamel — powiedziała dramatycznym szeptem — jest jedynym znanym twórcą Kamienia Filozoficznego!

Na Harrym i Ronię nie zrobiło to tak wielkiego wrażenia, jakiego najwidoczniej się spodziewała.

— Czego? — zapytali jednocześnie.

— No nie... Czy wy nic nie czytacie? Patrzcie... przeczytajcie, o tu.

Popchnęła ku nim księgę, a Harry i Ron przeczytali:

Najważniejszym celem starożytnej sztuki alchemii jest stworzenie Kamienia Filozofów, legendarnej substancji posiadającej zdumiewającą moc. Kamień ów zamienia każdy metal w najczystsze złoto. Wytwarza też Elikzir Życia, który daje nieśmiertelność temu, kto go wypije.

Kamień Filozofów pojawia się w wielu doniesieniach historycznych, ale jedyny Kamień, który istnieje do dziś, jest w posiadaniu pana Nicolasa Flamela, wybitnego alchemika i miłośnika opery. Pan Flamel, który w ubiegłym roku obchodził swoje sześćset sześćdziesiąte piąte urodziny, prowadzi spokojne życie w hrabstwie Devon, razem ze swoją żoną Perenellą (sześćset pięćdziesiąt osiem lat).

— Rozumiecie? — zapytała Hermiona. — Ten pies musi strzec Kamienia Filozoficznego, odkrytego przez Flamela! Założę się, że poprosił Dumbledore'a, żeby się zaopiekował Kamieniem, bo przecież są przyjaciółmi, a Flamel wiedział, że ktoś tego skarbu szuka, i właśnie dlatego Dumbledore kazał Hagridowi zabrać go z podziemi Gringotta!

— Kamień, który wytwarza złoto i czyni nieśmiertelnym! — szepnął Harry. — Nic dziwnego, że Snape chce go mieć.

— I nic dziwnego, że nie mogliśmy znaleźć Flamela we Współczesnych osiągnięciach czarodziejstwa — dodał Ron. — Nie bardzo jest współczesny, skoro ma sześćset sześćdziesiąt pięć lat, prawda?

Następnego dnia, podczas zajęć z obrony przed czarną magią, przepisując różne sposoby leczenia ukąszeń wilkołaka, Harry i Ron wciąż rozprawiali o tym, co by zrobili, gdyby mieli Kamień Filozoficzny. Dopiero kiedy Ron powiedział, że wystawiłby własną drużynę quidditcha, Harry przypomniał sobie o Snapie i zbliżającym się meczu.

— Będę grał — powiedział Ronowi i Hermionie. — Gdybym się wycofał, wszyscy Ślizgoni pomyśleliby, że boję się Snape'a. Już ja im pokażę... Zetrę im te głupie uśmiešky z twarzy, jak zwyciężymy.

— Jeżeli przedtem nie zetrą ciebie z boiska — zauważyła Hermiona.

Im bliżej meczu, tym Harry robił się coraz bardziej nerwowy. Reszta drużyny też nie była spokojna. Wszyscy marzyli o zdobyciu pucharu, ale czy to w ogóle możliwe z tak stronnickým sędzią?

Może Harry sobie to wmawiał, ale wydawało mu się, że wciąż wpada na Snape'a. Czasami zastanawiał się, czy Snape przypadkiem go nie śledzi, żeby go na czymś przyłapać. Lekcje eliksirów były cotygodniową torturą, bo Snape naprawdę wziął się na niego. Czy to możliwe, by dowiedział się, że odkryli prawdę o Kamieniu Filozoficznym? Ale jak? Czasami miał jednak dziwne wrażenie, że Snape po prostu czyta w ich myślach.

Następnego popołudnia, kiedy Ron i Hermiona życzyli mu szczęścia, Harry wiedział, że zastanawiają się, czy go jeszcze zobaczą żywego. Nie dodało mu to otuchy. Wszedł za innymi do szatni, ale prawie do niego nie dochodziły słowa Wooda, kiedy włożył szatę do quidditcha i chwycił swojego Nimbusa Dwa Tysiące.

Ron i Hermiona znaleźli sobie miejsca koło Neville'a, który nie mógł zrozumieć, dlaczego są tacy ponurzy i zaniepokojeni, i dlaczego zabrali swoje różdżki. Harry nie wiedział, że jego przyjaciele w tajemnicy przed nim ćwiczili rzucanie Zwieracza Nóg. Wpadli na ten pomysł po głupim dowcipie, jaki Malfoy zrobił Neville'owi, i gotowi byli zrobić to samo Snape'owi, gdyby chciał skrzywdzić Harry'ego.

— Tylko nie zapomnij: Locomotor Mortis — mruknęła Hermiona, kiedy Ron wsunął swoją różdżkę w rękaw.

— Przecież wiem — odburknął Ron. — Nie bądź nudna.

W szatni Wood wziął Harry'ego na stronę.

— Nie chcę na ciebie wywierać żadnego nacisku, Potter, ale w tym meczu bardzo by nam pomogło, gdyby ci się udało dość wcześnie upolować znicza. Wiesz, chodzi o to, żeby zakończyć grę, zanim Snape całkowicie nas pograży.

— Jest cała szkoła! — krzyknął Fred Weasley, wyglądając przez drzwi. — Nawet... a niech to... słuchajcie, nawet Dumbledore przyszedł!

Harry'emu drgnęło serce.

— Dumbledore? — powtórzył i podbiegł do drzwi, żeby się upewnić. Fred miał rację. Trudno było się pomylić, widząc tę srebrzystą brodę.

Harry poczuł, jak rozpiera go radość. A więc jest bezpieczny. Przecież Snape nie ośmielił się zrobić mu krzywdy na oczach dyrektora.

Może właśnie dlatego Snape miał tak wściekłą minę, kiedy obie drużyny wymaszerowały na boisko. Ron też to zauważył.

— Jeszcze nigdy nie widziałem Snape'a w takim stanie

— powiedział Hermionie. — Patrz... już się zaczęło. Auuu!

Ktoś rąbnął go w tył głowy. Odwrócił się: to był Malfoy.

— Och, przepraszam, Weasley, nie chciałem. Malfoy wyszczerzył zęby do Crabbe'a i Goyle'a.

— Ciekaw jestem, jak długo tym razem Potter utrzyma się na miotle. Ktoś chce się założyć? Może ty, Weasley?

Ron nie odpowiedział. Snape właśnie obdarzył Puchonów rzutem wolnym, bo George Weasley odbił tłuczka prosto w niego. Hermiona, która skrzyżowała palce na podołku, wpatrywała się w Harry'ego, który krążył nad stadionem jak jastrząb, wypatrując znicza..

— Wiecie, jak wybierają skład drużyny Gryfonów? — powiedział Malfoy kilka minut później, kiedy Snape przyznał Puchonom kolejny rzut wolny, tym razem bez żadnego

powodu. — Wybierają tych, którzy cierpią, bo czegoś nie mają. Na przykład taki Potter, nie ma rodziców... Weasleyowie nie mają pieniędzy... Ty, Longbottom, też powinienes być w drużynie, bo nie masz rozumu.

Neville zaczerwienił się i odwrócił do Malfoya.

— Jestem wart tyle, co tuzin takich jak ty, Malfoy — warknął.

Malfoy, Crabbe i Goyle ryknęli śmiechem, ale Ron, nie odrywając oczu od gry, powiedział:

— Dobrze mu powiedziałaś, Neville.

— Longbottom, gdyby mózgi były ze złota, byłbyś biedniejszy od Weasleya, a to już jest nie lada wyczyn.

Ron miał kłopoty z panowaniem nad sobą, bo bardzo się niepokoił o Harry'ego.

— Ostrzegam cię, Malfoy... jeszcze jedno słowo...

— Ron! — powiedziała nagle Hermiona — Harry...

— Co? Gdzie?

Harry nagle zanurkował brawurowo, co wywołało okrzyki i wiwaty na widowni. Hermiona wstała, trzymając skrzyżowane palce w ustach. Harry mknął ku ziemi jak pocisk.

— Ale ci się trafiło, Weasley, Potter na pewno zobaczył jakąś monetę na boisku! — zadrwił Malfoy.

Zanim zdążył się zorientować, Ron rzucił się na niego, zwalając go z ławki. Neville zawahał się, po czym przelazł przez oparcie, żeby mu pomóc.

— Brawo, Harry! — wrzasnęła Hermiona, wskakując na ławkę, żeby lepiej widzieć, jak Harry pędzi wprost na Snape'a; nawet nie zauważyła, że Malfoy i Ron potoczyli się pod jej siedzenie, a tuż za nią Neville, rycząc dziko, walczy dzielnie z Crabbe'em i Goyle'em.

Wysoko w powietrzu Snape obrócił swoją miotłę i zobaczył, jak coś szkarłatnego przemknęło o kilka cali od niego. W

następnej sekundzie Harry wyhamował tuż nad ziemią i uniósł rękę, w której błysnął znicz.

Widownia eksplodowała wrzaskiem. To był chyba absolutny rekord. Chyba w żadnym meczu nie schwymano znicza tak szybko.

Harry zeskoczył z miotły o stopę nad ziemią. Sam nie mógł w to uwierzyć. Dokonał tego — gra się skończyła, choć minęło zaledwie pięć minut. Uradowani Gryfoni już wbiegali na boisko. Niedaleko od niego wylądował Snape, blady i z zaciśniętymi wargami. Nagle Harry poczuł na ramieniu czyjąś rękę, odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą twarz Dumbledore'a.

— Dobra robota — powiedział cicho dyrektor, tak że tylko Harry mógł to dosłyszeć. — Cieszę się, że nie szukałeś tego zwierciadła... że zająłeś się czymś innym... Wspaniale...

Snape splunął ze złością na trawę.

Jakiś czas później Harry opuścił samotnie szatnię, żeby zanieść swojego Nimbusa Dwa Tysiące do szopy na miotły. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy. Dokonał czegoś, z czego mógł być naprawdę dumny — już nikt mu nie powie, że ma tylko sławne nazwisko. Szedł przez mokre błonia, przeżywając w myślach ostatnią godzinę, a była to godzina cudownego, podniecającego zamieszania: Gryfoni podbiegający, by ponieść go na ramionach, Ron i Hermiona podskakujący na ławce w oddali, Ron wrzeszczący z radości pomimo krwi buchającej mu z nosa.

Doszedł do szopy. Oparł się o drewniane drzwi i spojrzał na Hogwart, którego okna poczerwieniały w blasku zachodzącego słońca. Gryfoni na czele tabeli. On tego dokonał, on pokazał Snape'owi...

A jeśli już mowa o Snapie...

Po stopniach wiodących od bramy zamku zbiegła zakapturzona postać. Rozglądając się czujnie, jakby w obawie,

że ją ktoś zobaczy, pomaszerowała szybko ku Zakazanemu Lasowi. Harry zapomniał o swoim zwycięstwie. Natychmiast poznał ten skradający się krok. Snape wymykający się ukradkiem do Zakazanego Lasu, kiedy wszyscy są na kolacji?... O co tu chodzi?

Harry wskoczył na Nimbusa Dwa Tysiące i wzbił się w powietrze. Zataczając krąg ponad zamkiem, zobaczył, jak Snape wbiega do lasu. Poszybował za nim.

Drzewa rosły tu tak gęsto, że stracił Snape'a z oczu. Krążył nad lasem coraz niżej, dotykając stopami górnych gałęzi drzew. Nagle usłyszał głosy. Dał nurka w gęstwinę i wylądował bezszelestnie tuż obok potężnego buka.

Uniósł się ostrożnie ku jednej z gałęzi, mocno ściskając kij, stanął prawie na samym jej końcu i spojrzał w dół poprzez liście.

Na cienistej polanie stał Snape, ale nie był już sam. Był tam również Quirrell. Harry nie widział wyrazu jego twarzy, ale nawet stąd mógł dostrzec, że Quirrell trzęsie się jeszcze bardziej niż zwykle. Harry wyteżył słuch, żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiają.

— ... n—n—nie wiem d—dlaczego chciałeś się ze mną s—s—spotkać w t—t—takim miejscu, Severusie...

— Och, nie chciałem mieć świadków — odpowiedział Snape lodowatym tonem. — Chyba się ze mną zgodzisz, że uczniowie nie powinni się dowiedzieć o Kamieniu Filozoficznym.

Harry wychylił się do przodu. Quirrell coś mamrotał. Snape mu przerwał.

— Wymyśliłeś już coś, jak ominąć tego psa Hagrida?

— A—a—ale Severusie, ja...

— Quirrell, chyba nie chcesz mieć we mnie wroga, co?

— warknął Snape, robiąc krok w jego kierunku.

— J—j—ja nie wiem, co ty...

Sowa zahuczała w pobliżu i Harry o mało co nie zleciał z drzewa. Zdążył odzyskać równowagę, żeby usłyszeć, jak Snape mówi:

— ...jakiś twoje hokus—pokus. Czekam.

— A—a—ale ja n—n—nie...

— Świetnie — przerwał mu Snape. — Wkrótce znowu utniemy sobie pogawędkę, kiedy przemyślisz to wszystko i zdecydujesz, po której jesteś stronie.

Zarzucił kaptur na głowę i opuścił polanę. Zrobiło się już prawie ciemno, ale Harry wciąż widział Quirrella, stojącego nieruchomo jak posąg.

— Harry, gdzie ty byłeś? — zaskrzeczała Hermiona.

— Zwyciężyliśmy! Zwyciężyłeś! Zwyciężyliśmy! — wrzeszczał Ron, waląc Harry'ego po plecach. — A ja podbiłem Malfoyowi oko, a Neville sam jeden rzucił się na Crabbe'a i Goyle'a! Na razie jest w szpitalu, ale pani Pomfrey mówi, że nic mu nie będzie... Wszyscy na ciebie czekają w pokoju wspólnym, urządzamy balangę, Fred i George ukradli z kuchni trochę ciastek...

— Teraz mamy na głowie inne sprawy — szepnął Harry. — Znajdźmy jakiś pusty pokój, a wszystkiego się dowiecie...

Upewnił się, że Irytka nie ma w środku, i zamknął za nimi drzwi pustej klasy, a potem opowiedział, co zobaczył i usłyszał.

— A więc mieliśmy rację, to naprawdę jest Kamień Filozoficzny, a Snape próbuje zmusić Quirrella, żeby pomógł mu go wykraść. Chce, żeby Quirrell wymyślił jakiś sposób na Puszka... I wspomniał o jakimś "hokus—pokus"... Myślę, że nie tylko Puszek pilnuje tego skarbu, muszą go chronić jakieś potężne zaklęcia, a Quirrell na pewno zna jakieś przeciwzaklęcia i Snape chce z tego skorzystać...

— Więc myślisz, że Kamień jest bezpieczny, póki Quirrell opiera się Snape'owi? — zapytała Hermiona.

— Czyli do następnego wtorku — powiedział Ron.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

NORWESKI SMOK KOLCZASTY



A jednak wszystko wskazywało, że Quirrell wcale nie jest takim ciamajdą i tchórzem, na jakiego wyglądał. W ciągu najbliższych tygodni robił się coraz bledszy i chudszy, ale nic nie wskazywało, by się załamał i poddał. Za każdym razem, kiedy przechodzili obok korytarza na trzecim piętrze, Harry, Ron i Hermiona przykładali uszy do drzwi, żeby sprawdzić, czy Puszek wciąż za nimi powarkuje. Snape chodził po szkole z wściekłą miną, co oznaczało, że Kamień nadal tam jest. Harry, mijając Quirrella, obdarzał go uśmiechem, chcąc dodać mu otuchy, a Ron zaczął przekonywać kolegów, że to nieładnie wyśmiewać się z czyjegoś jąkania.

Jeśli chodzi o Hermionę, to Kamień Filozoficzny nie był jej jedynym zmartwieniem. Zaczęła opracowywać szczegółowe plany powtórki z różnych przedmiotów i podkreślać swoje notatki różnymi kolorami. Harry i Ron stukali się w czoło, ale ona wciąż ich męczyła, żeby robili to samo.

— Ależ Hermiono, mamy jeszcze kupę czasu do egzaminów.

— Dziesięć tygodni — odpowiedziała sucho Hermiona. — I wy to nazywacie kupą? Dla Nicolasa Flamela to zaledwie sekunda.

— Ale my nie mamy sześciuset lat — przypomniał jej Ron. — Zresztą, po co się tego wszystkiego uczysz? Przecież już to umiesz.

— Po co się uczyć? Zwariowałaś? Czy do ciebie nie dociera, matołku, że musimy zdać te egzaminy, jeśli chcemy przejść na drugi rok? To bardzo ważne, powinnam była zacząć uczyć się miesiąc temu, naprawdę, sama nie wiem, co się ze mną dzieje...

Niestety, wyglądało na to, że nauczyciele myślą bardzo podobnie jak ona. Zadawali im tyle prac domowych, że ferie wielkanocne nie były już tak przyjemne jak bożonarodzeniowe. Trudno było się odprężyć, kiedy miało się koło siebie Hermionę recytującą na głos dwanaście sposobów wykorzystania smoczej krwi albo ćwiczącą ruchy różdżką. Harry i Ron spędzali większość wolnego czasu razem z nią w bibliotece, jęcząc, ziewając i starając się jakoś przebrnąć przez wszystkie dodatkowe zajęcia.

— Nigdy tego nie zapamiętam — wybuchnął Ron pewnego popołudnia, odrzucając ze złością pióro i patrząc tęsknie w okno biblioteki. Był pierwszy naprawdę pogodny dzień od wielu miesięcy. Niebo było czyste, niezapominajkowe niebieskie i czuło się nadchodzącą wiosnę.

Harry, który ślęczał nad "Dyptamem" w księdze Tysiąc magicznych ziół i grzybów, nie podniósł głowy aż do chwili, gdy usłyszał, jak Ron mówi:

— Hagrid! Co ty robisz w bibliotece?

Hagrid podszedł do nich, ukrywając coś za plecami. Wyglądał bardzo nie na miejscu w swojej kurtce ze skórek kretów.

— A... tak sobie chodzę i patrzę — odpowiedział głosem, który natychmiast obudził w nich zainteresowanie. — A wy co robicie? — Nagle obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem. — Chyba nie szukacie wciąż Nicolasa Flamela, co?

— Och, już dawno go znaleźliśmy — odpowiedział Ron lekceważącym tonem. — I wiemy, czego pilnuje ten pies. To Kamień Filo...

— Ciiiicho! — Hagrid rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy nikt ich nie słucha. — Przestań o tym trąbić! Co jest z tobą?

— Prawdę mówiąc, brakuje nam jeszcze odpowiedzi na kilka pytań — powiedział Harry. — Na przykład, co jeszcze strzeże Kamienia oprócz Puszka...

— CIIICHO! — powtórzył Hagrid. — Słuchajcie... przyjdźcie do mnie później, nie obiecuję, że coś wam powiem, ale przestańcie węszyć i ryc, uczniowie nie mają prawa o tym wiedzieć. Jeszcze pomyślą, że to ja wam powiedziałem ...

— No, to do wieczora — pożegnał go Harry. Hagrid odszedł, szurając po posadzce swoimi ciężkimi butami.

— Co on tam chował za plecami? — zapytała Hermiona.

— Myślisz, że to ma coś wspólnego z Kamieniem?

— Zaraz zobaczę, który dział go zainteresował — oznajmił Ron, który miał już serdecznie dość nauki. Wrócił po minucie ze stertą książek w ramionach i złożył je na stole.

— Smoki! — wyszeptał, podniecony. — Hagrid szukał czegoś o smokach! Zobaczcie: Gatunki smoków w Wielkiej Brytanii i Irlandii; Od jaja dopiekła; Poradnik hodowcy smoków.

— Hagrid zawsze chciał mieć smoka, powiedział mi o tym, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

— Ale przecież to jest sprzeczne z prawem — rzekł Ron. — Hodowanie smoków zostało zabronione przez Konwencję Czarodziejów z 1709 roku, wszyscy o tym wiedzą. Tylko mugole są nadal przekonani, że każdy z nas trzyma smoka w

ogródka... Zresztą i tak nie można oswoić smoka, to bardzo niebezpieczne. Żebyście widzieli, jak Charliego poparzyły dzikie smoki w Rumunii...

— Ale chyba w Anglii nie ma dzikich smoków? — zapytał Harry.

— Ależ są, oczywiście! Zwykłe walijskie zielone i czarne hybrydzkie. Ministerstwo Magii ma z nimi dużo kłopotów, naprawdę. Muszą wciąż rzucać zaklęcia na mugoli, którzy zobaczyli smoka... No wiesz, żeby o tym zapomnieli ...

— Więc co chodzi Hagridowi po głowie? — zapytała Hermiona.

Kiedy godzinę później zapukali do drzwi chatki gajowego, zaskoczyło ich, że wszystkie zasłony są zasunięte. Hagrid podszedł do drzwi, zawołał: "Kto tam?", wpuścił ich dopiero wtedy, kiedy się upewnił, że to oni, a potem szybko zaniknął drzwi.

W środku było okropnie gorąco. Pomimo że dzień był wyjątkowo ciepły, na kominku płonął wielki ogień. Hagrid nalał im herbaty i zaproponował kanapki z mięsem gronostaja, ale grzecznie odmówili.

— No więc... tego... chcieliście mnie o coś zapytać, tak?

— Tak — rzekł Harry, który uznał, że nie ma sensu owijać sprawy w bawełnę. — Zastanawialiśmy się, czy nie mógłbyś nam powiedzieć, co strzeże Kamienia Filozoficznego oprócz Puszka.

Hagrid zmarszczył czoło.

— No pewnie, że nie mogę. Po pierwsze, sam nie wiem. Po drugie, za dużo już wiecie, więc i tak bym wam nie powiedział. Kamień jest dobrze strzeżony i, jak wiecie, nie bez powodu. Mało brakowało, a wykradliby go z podziemi Gringotta... O tym to już chyba sami wiecie, co? Tylko... niech skonam, jak się dowiedzieliście o Puszkę?

— No dobra, Hagridzie, możesz nie chcieć nam powiedzieć, ale dobrze wiemy, że wiesz. Przecież ty wiesz o wszystkim, co tu się dzieje — powiedziała Hermiona ciepłym, przymilnym głosem. Hagridowi broda się zatrzęsała, jakby zachichotał. — My tylko się zastanawiamy, kto zorganizował całą tę ochronę. Zastanawialiśmy się, komu Dumbledore najbardziej ufa, oczywiście poza tobą.

Po ostatnim zdaniu Hagrid wypiął pierś. Harry i Ron spojrzeli z podziwem na Hermionę.

— No cóż... chyba nie zaszkodzi, jak wam powiem, że... no... zaraz... no więc on pożyczył ode mnie Puszka... a potem niektórzy z profesorów rzucili zaklęcia... Profesor Sprout... Profesor Flitwick... Profesor McGonagall... — wyliczał na palcach — Profesor Quirrell... no i sam Dumbledore też coś od siebie dorzucił. A niech to, o kimś zapomniałem... No tak, profesor Snape.

— Snape?

— Tak... A wy wciąż o tym samym, co? Słuchajcie, Snape pomógł w bezpiecznym ukryciu Kamienia, więc nie może zamierzać go wykraść, to chyba jasne, nie?

Harry wiedział, że Ron i Hermiona myślą to samo, co on. Jeśli Snape uczestniczył w bezpiecznym ukryciu Kamienia, to mógł się dowiedzieć, jakich zaklęć użyli inni profesorowie. Wskazywałoby to, że znał wszystkie zaklęcia prócz tego, które rzucił Quirrell. No i nie wiedział, jak unieszkodliwić Puszka.

— Tylko ty jeden wiesz, jak przejść koło Puszka, prawda, Hagridzie? — zapytał Harry. — I nie powiedziałabyś nikomu, prawda? Nawet któremuś z profesorów?

— O tym wiem tylko ja jeden, no i Dumbledore — oświadczył z dumą Hagrid.

— No, to już jest coś — mruknął Harry do dwójki przyjaciół. — Hagridzie, może byś otworzył okno? Tutaj można się ugotować.

— Bardzo mi przykro, Harry, ale nie mogę. Harry zauważył, że Hagrid zerknął na ogień, więc sam tani spojrzał.

— Hagridzie... co to jest?

Ale nie musiał pytać. W samym środku ognia, pod kociołkiem, spoczywało wielkie czarne jajo.

— Ach, to... — odrzekł Hagrid, szarpiąc nerwowo brodę. — To jest ee... no...

— Skąd to masz, Hagridzie? — zapytał Ron, kucając przy kominku, żeby lepiej jajo obejrzeć. — Musiało kosztować majątek.

— Wygrałem — wyznał Hagrid. — Wczoraj wieczorem. Wybrałem się do wioski, żeby wypić parę szklaneczek, no i zagrałem sobie w karty z jakimś nieznajomym. Niech skonam, ale chyba z ulgą się tego pozbył.

— Ale co z nim zrobisz, jak się wylęgnie? — zapytała Hermiona.

— No... trochę już czytałem na ten temat — odrzekł Hagrid, wyciągając grubą księgę spod poduszki. — Wziąłem to z biblioteki... Hodowanie smoków dla przyjemności i dla zysku... Trochę przestarzałe, ale wszystko tu jest. Jajo trzeba trzymać w ogniu, bo matki ogrzewają je oddechem, a kiedy maleństwo się wylęgnie, karmi się je koniakiem zmieszonym z krwią kurczaków. Wiaderko co pół godziny.

O, i popatrzcie tutaj... jak rozpoznawać różne jaja... To, co ja mam, to norweski smok kolczasty. Są bardzo rzadkie.

Sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego, czego nie można było powiedzieć o Hermionie.

— Hagridzie, przecież ty mieszkasz w drewnianym domku! Ale Hagrid nie słuchał. Nucił coś, uradowany, pod nosem, dorzucając dREW do ognia.

Tak więc teraz mieli już coś, o co mogli się naprawdę martwić: co się stanie z Hagridem, kiedy ktoś odkryje, że w swojej chatce ukrywa nielegalnie smoka.

— Już zapomniałem, jak to jest, kiedy się wie dzie spokojne życie — wzdychał Ron, kiedy wieczór za wieczorem ślęczeli nad dodatkowymi pracami domowymi. Hermione zaczęła już opracowywać konspekty również dla nich, co doprowadzało ich do szału.

A potem, któregoś ranka, Hedwiga przyniosła Harry'emu list od Hagrida. Na pomiętej karteczce napisane były tylko dwa słowa: Wykluwa się.

Ron zamierzał zwać z zielarstwa i pędzić do chatki. Hermione nie chciała o tym słyszeć.

— Hermiono, przecież to jedyna w życiu okazja, żeby zobaczyć, jak wykluwa się smok!

— Mamy lekcje, wpadniemy w kłopoty, a to jeszcze nic w porównaniu z tym, co stanie się z Hagridem, jak ktoś odkryje, co on tam robi...

— Przestań! — szepnął Harry.

Malfoy zatrzymał się o kilka stóp od nich, wyraźnie podsłuchując. Co usłyszał? Harry'emu bardzo się nie podobał wyraz jego twarzy.

W drodze na lekcję zielarstwa Ron i Hermione kłócili się przez cały czas i w końcu Hermione zgodziła się pobiec z nimi do Hagrida podczas przerwy na lunch. Kiedy zaczął bić dzwon, oznajmiając koniec lekcji, rzucili szpadle i popędzili przez park na skraj lasu. Hagrid powitał ich, zaczerwieniony i bardzo przejęty.

— Już prawie wylazł.

Jajo leżało na stole, całe popękane. W środku coś się ruszało i stukało. Przysunęli sobie krzesła do stołu i wpatrzyli się w jajo, wstrzymując oddech.

Nagle rozległ się chrobot, potem trzask i jajo rozpękało się na trzy części. Na stół wypadło smocze pisklę. Nie było piękne: Harry'emu przypominało zniszczony czarny parasol. Kolczaste skrzydła były o wiele większe od chudego, czarnego tułowia, z

którego sterczał łeb z długim ryjkiem, zaczątkami rogów i wyłupiastymi, pomarańczowymi ślepiami.

Smoczątko kichnęło. Z pyska wyleciało kilka iskier.

— Prawda, jaki cudowny! — mruknął Hagrid. Wyciągnął rękę, żeby pogładzić gada po łbie. Smok zasyczał i obnażył ostre kły.

— Mój maleńki, poznaje swoją mamusię! — zawołał uradowany Hagrid.

— Hagridzie, a właściwie jak szybko rosną norweskie smoki kolczaste? — zapytała Hermiona.

Hagrid już miał odpowiedzieć, kiedy nagle pobladł, zerwał się na nogi i podbiegł do okna.

— Co się stało?

— Ktoś zaglądał przez szparę... jakiś chłopak... teraz biegnie do szkoły.

Harry już był przy drzwiach i otwierał je drżącymi rękami. Nawet z tej odległości poznałby Malfoya.

Malfoy widział smoka.

Przez cały następny tydzień na twarzy Malfoya czaił się uśmiezek, który sprawiał, że Harry, Ron i Hermiona czuli się bardzo niespokojnie. Większość wolnego czasu spędzali w chatce Hagrida, próbując przemówić mu do rozsądku.

— Po prostu go wypuść — nalegał Harry. — Niech sobie idzie.

— Nie mogę — odpowiedział Hagrid. — Jest za mały. Zdechłby beze mnie.

Spojrzeli na smoka. W ciągu tygodnia urósł trzykrotnie. Z nozdrzy wylatywały strużki dymu. Hagrid zaniedbał się w obowiązkach gajowego, bo teraz na nic nie miał czasu. W izbie było pełno piór kurczaków i pustych butelek po brandy.

— Postanowiłem nadać mu imię Norbert — oznajmił Hagrid, patrząc na smoka wilgotnymi oczami. — On mnie

naprawdę rozpoznaje. Zobaczcie. Norbert! Norbert! Gdzie jest mamusia?

— On ma świra — mruknął Ron do Harry'ego.

— Hagridzie — powiedział głośno Harry — jeszcze dwa tygodnie i Norbert będzie wielkości twojej chatki. Malfoy w każdej chwili może donieść Dumbledore'owi.

Hagrid przygryzł wargi.

— Ja... ja wiem, że nie mogę go trzymać wiecznie, ale przecież go nie wyrzucę... nie mogę. Harry nagle zwrócił się do Rona.

— Charlie — powiedział.

— Tobie też już odbiło. Jestem Ron, pamiętasz?

— Nie... Charlie... twój brat Charlie. W Rumunii. On bada życie smoków. Moglibyśmy mu wysłać Norberta. Charlie się nim zaopiekuje, a potem wypuści na wolność!

— Ekstra! Co ty na to, Hagridzie?

Po długich namowach Hagrid zgodził się, by wysłali sowę do Charliego.

Następny tydzień włókł się niemiłosiernie. W środowy wieczór Hermiona i Harry siedzieli sami w pokoju wspólnym; wszyscy już dawno poszli spać. Stary zegar na ścianie właśnie wybił północ, kiedy nagle otworzyła się dziura w portrecie, a po chwili wyłonił się z nicości Ron, zrzuciwszy pelerynę — niewidkę. Wrócił z chatki Hagrida, gdzie pomagał ostatnio karmić Norberta, który pożerał mnóstwo zdechłych szczurów.

— Ugryzł mnie! — powiedział, pokazując im rękę owiniętą pokrwawioną chusteczką. — Nie będę mógł pisać przez tydzień. Mówię wam, ten smok to najokropniejsza gadzina, jaką widziałem, a Hagrid obchodzi się z nim jak z małym, puszystym króliczkiem! Ten gad mnie ugryzł, a Hagrid zrugął mnie za to, że go przestraszyłem. A kiedy wychodziłem, śpiewał mu kołysankę.

W ciemne okno coś zastukało.

— To Hedwiga! — powiedział Harry i pobiegł, by ją wpuścić. — Na pewno z odpowiedzią od Charliego! Cała trójka pochyliła się nad listem.

Kochany Ronie,

Jak się miewasz? Dziękuję za list — bardzo bym chciał zabrać norweskiego smoka kolczastego, ale nie będzie łatwo go przetransportować. Myślę, że najlepiej byłoby go wysłać razem z moimi przyjaciółmi, którzy mają mnie odwiedzić w przyszłym tygodniu. Problem w tym, że nikt nie może ich zobaczyć, bo transportowanie smoków jest nielegalne.

Czy moglibyście czekać z nim w niedzielę o północy na najwyższej wieży? Moi przyjaciele zjawiliby się tam i zabrali go, kiedy będzie ciemno.

Czekam pilnie na odpowiedź.

Pozdrowienia, Charlie

Popatrzyli po sobie.

— Mamy pelerynę—niewidkę — powiedział Harry. Chyba nie będzie trudności... jest tak duża, że przykryje nas obu i Norberta.

Musiał to być dla nich naprawdę okropny tydzień, bo pozostała dwójka natychmiast się z nim zgodziła. Zgodziliby się na wszystko, byle tylko pozbyć się Norberta — i Malfoya.

Jednak nazajutrz wszystko się skomplikowało. Dłoń Rona spuchła do rozmiarów dwóch normalnych pięści. Nie chciał iść do pani Pomfrey, bo bał się, że pozna, co go ugryzło. Po południu nie miał już wyboru. Ręka pozieleniała. Wyglądało na to, że ukąszenia Norberta są jadowite.

Wieczorem Harry i Hermiona poszli do skrzydła szpitalnego i zastali Rona w okropnym stanie.

— Nie chodzi mi tylko o rękę — wyszeptał — chociaż czuję się tak, jakby miała mi odpaść. Malfoy powiedział pani

Pomfrey, że chce pożyczyć ode mnie książkę, przyszedł tu i był naprawdę okropny. Naśmiewał się ze mnie, groził, że powie jej, co mnie ugryzło... Wiecie, ja jej powiedziałem, że to był pies, ale chyba mi nie uwierzyła... Niepotrzebnie tak go rąbnałem podczas meczu, teraz się mści.

Harry i Hermiona próbowali go uspokoić.

— W niedzielę o północy będzie po wszystkim — powiedziała Hermiona, ale to go wcale nie uspokoiło. Przeciwnie, usiadł nagle w łóżku, zlany potem.

— W niedzielę o północy — krzyknął ochrypłym głosem. — Och, nie... nie!... Właśnie sobie przypomniałem... list Charliego był w tej książce, którą Malfoy ode mnie wziął! Dowie się, kiedy zamierzamy wytransportować Norberta.

Harry i Hermiona nie mieli możliwości wypowiedzieć ani jednego słowa, bo akurat weszła pani Pomfrey i kazała im wyjść, mówiąc, że Ron potrzebuje snu.

— Już za późno, by zmienić plan — powiedział Harry do Hermiony. — Za mało czasu, żeby wysłać Charliemu sowę, zresztą to może być nasza jedyna szansa, by pozbyć się Norberta. Musimy zaryzykować. No i mamy pelerynę— niewidkę. Malfoy o tym nie wie. i

Poszli do Hagrida, żeby mu o wszystkim powiedzieć. Przed chatką zobaczyli Kła z obandażowanym ogonem. Hagrid rozmawiał z nimi przez okno.

— Nie mogę was wpuścić do środka. Norbert jest w stanie... no... trochę swawolnym. Nie mogę sobie z nim poradzić.

Kiedy powiedzieli mu o liście Charliego, oczy napełniły mu się łzami, ale może dlatego, że Norbert właśnie ugryzł go w nogę.

— Auuuu! To nic, nic, przegryzł tylko but... po prostu się bawi... w końcu to jeszcze dziecko.

Dziecko walnęło ogonem w ścianę, aż zabrzęczały szyby we wszystkich oknach. Harry i Hermiona wrócili do zamku, czując, że do niedzieli jest jeszcze strasznie daleko.

Na pewno żał by im było Hagrida, kiedy nadszedł czas pożegnania z Norbertem, gdyby nie byli tak przerażeni tym, co muszą zrobić. Była ciemna, pochmurna noc i trochę się spóźnili, bo musieli czekać, aż Irytek opuści salę wejściową, gdzie ćwiczył tenisa, odbijając piłkę od ściany. Hagrid zapakował już Norberta do wielkiej klatki.

— Dostał na drogę mnóstwo brandy i szczurów — powiedział wilgotnym głosem. — I wsadziłem mu też jego pluszowego misia, żeby się nie czuł samotny.

Z wnętrza klatki dobiegły odgłosy przypominające rozrywanie pluszowego misia na strzępy.

— Zegnaj, Norbercie! Pa, pa, mój mały! — załkał Hagrid, kiedy Harry i Hermiona okryli klatkę peleryną—niewidką i sami pod nią weszli. — Mamusia nigdy o tobie nie zapomni!

Jak im się udało zataszczyć klatkę do zamku, sami nie wiedzieli. Północ już się zbliżała, kiedy wciągnęli ją po marmurowych schodach, a potem nieśli ciemnymi korytarzami. Jeszcze jedno schody... i następne... i kolejny korytarz... Nawet jeden ze skrótów Harry'ego niewiele im ulżył.

— No, już prawie jesteśmy! — wydyszał Harry, kiedy znaleźli się w korytarzu pod najwyższą wieżą.

Nagle zobaczyli przed sobą jakiś ruch i mało brakowało, a wypuściliby klatkę z rąk. Zapominając, że są niewidzialni, przywarli do ściany w jakimś zakamarku, wpatrując się w ciemne zarysy dwóch postaci szamocących się ze sobą. Rozbłysła latarka.

Profesor McGonagall, w kraciastym szlafroku i z mokrymi włosami, trzymała za ucho Malfoya.

— Areszt! — krzyknęła. — Areszt i minus dwadzieścia punktów dla Ślizgonów! Wałęsanie się po zamku o północy... Jak śmiesz...

— Pani profesor nic nie rozumie! Zaraz tu będzie Harry Porter... on ma smoka!

— Co za bzdury! Jak śmiesz opowiadać mi takie dyrdymałki! Jeszcze mi tu będzie łągać w żywe oczy! Za mną, Malfoy. Idziemy do profesora Snape'a!

Po tym wydarzeniu pokonanie stromych spiralnych schodów wiodących na szczyt wieży było już dziecinną igraszką. Dopiero na samej górze, kiedy znaleźli się pod ciemnym niebem i poczuli chłodne powietrze, zrzucili pelerynę, oddychając z ulgą. Hermiona wykonała jakiś dziki taniec.

— Malfoy w areszcie! Chce mi się śpiewać!

— Ale nie rób tego — poradził Harry.

Czekali, naśmiewając się z Malfoya. Norbert miotał się niespokojnie w klatce. Jakies dziesięć minut później z

ciemności nocy wyłoniły się cztery miotły, które wylądowały na wieży.

Przyjaciele Charliego byli w świetnych humorach. Pokazali im uprząż, którą zrobili, żeby podwiesić Norberta między sobą. Potem wszyscy czterej jakoś mu ją założyli, choć był to widok mrozący krew w żyłach, uściskali Harry'emu i Hermionie ręce i gorąco im podziękowali.

W końcu Norbert uniósł się w powietrze i po chwili zniknął w ciemności.

Wracali krętymi schodami, czując wielką ulgę. Pozbyli się smoka, Malfoy został ukarany aresztem — co jeszcze mogło zepsuć im szczęście?

Odpowiedź czekała na nich u stóp schodów. Z ciemnego korytarza wyłonił się nagle Filch.

— No, no, no — wyszeptał. — Chyba mamy kłopoty. Zostawili pelerynę—niewidkę na szczycie wieży.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ZAKAZANY LAS



Nie mogło być gorzej. Filch zaprowadził ich na dół, do gabinetu profesora McGonagall na pierwszym piętrze, gdzie

usiedli i czekali, nie odzywając się do siebie. Hermione dygotała. W głowie Harry'ego trwała rozpaczliwa gonitwa wyjaśnień, alibi i najdzikszych historyjek, mających wytłumaczyć nocną eskapadę, a wszystkie były do niczego. Tym razem wydawało się, że nic ich nie uratuje. Znaleźli się w potrzasku. Jak mogli być takimi głupcami, żeby zostawić pelerynę na wieży? Trudno sobie wyobrazić powód, dla którego profesor McGonagall mogłaby wybaczyć im wałęsanie się po szkole w środku nocy, a tym bardziej wspinanie się na szczyt wieży astronomicznej, na którą wstęp był dozwolony tylko w czasie lekcji, pod opieką nauczyciela. A jeśli doda się do tego Norberta i pelerynę—niewidkę, mogą już pakować kufry.

Tak więc Harry był przekonany, że nie może być gorzej. Mylił się. Ujrzeni bowiem profesor McGonagall, prowadzącą Neville'a.

— Harry! — krzyknął Neville, gdy tylko ich zobaczył.

— Chciałem was odnaleźć i ostrzec, słyszałem, jak Malfoy mówił, że zamierza was nakryć, i mówił, że masz smo...

Harry potrząsnął gwałtownie głową, żeby go uciszyć, ale profesor McGonagall to zobaczyła. Wyglądała, jakby za chwilę sama miała zionąć ogniem.

— Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że którekolwiek z was mogło zrobić coś takiego. Pan Filch twierdzi, że byliście na szczycie wieży astronomicznej. Jest pierwsza w nocy. Czekam na wyjaśnienia.

Po raz pierwszy w życiu Hermione nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie zadane przez nauczyciela. Zamarła i wpatrywała się tępo w swoje bambosze.

— Myślę, że wiem, o co w tym wszystkim chodzi — powiedziała profesor McGonagall. — Nie trzeba być geniuszem, żeby sobie to wyobrazić. Naopowiadaliście Malfoyowi bajeczek o smoku, żeby go wyciągnąć z łóżka i

wpakować w kłopoty. Już go złapałam. I na pewno uważacie za bardzo dobry dowcip, że Longbottom usłyszał te bzdury i też w nie uwierzył, co?

Harry spojrzał na Neville'a i starał się przekazać mu bez słów, że to nieprawda, bo Neville rzeczywiście sprawiał wrażenie oszukanego i obrażonego. Biedny, otumaniony Neville... Harry dobrze wiedział, ile go musiało kosztować błędzenie po ciemnych korytarzach, żeby ich ostrzec.

— To naprawdę odrażające — powiedziała profesor McGonagall. — Czworo uczniów wałęsających się nocą po szkole! To pierwszy taki przypadek w mojej karierze! Mogłam się spodziewać, że chociaż panna Granger okaże trochę więcej rozsądku. A jeśli chodzi o pana, panie Potter, to myślałam, że Gryffindor trochę więcej dla pana znaczy. Wszyscy troje zostaniecie ukarani aresztem... tak, pan też, panie Longbottom... Nic nie daje wam prawa chodzenia po szkole w nocy, zwłaszcza w tych dniach, kiedy jest to szczególnie niebezpieczne. A Gryffindor traci przez was pięćdziesiąt punktów.

— Pięć... dziesiąt— wyjąkał Harry. W ten sposób utracą prowadzenie, które zdobyli podczas ostatniego meczu quidditcha.

— Po pięćdziesiąt punktów za każde z was — oświadczyła profesor McGonagall, sapiąc głośno przez swój długi, ostro zakończony nos.

— Pani profesor... błagam...

— Pani nie może...

— Nie waż się mi mówić, co mogę, a czego nie mogę, Potter. A teraz marsz do łóżek. Wszyscy. Jeszcze nigdy mieszkańcy Gryffindoru nie zrobili mi takiego wstydu.

Sto pięćdziesiąt punktów. Gryffindor spadał na ostatnie miejsce w tabeli domów. W ciągu jednej nocy bezpowrotnie zaprzepaścili szansę zdobycia pucharu. Harry poczuł się tak,

jakby jego żołądek został nagle pozbawiony dna. Wiedział, że nigdy tego nie nadrobią.

Nie spał przez całą noc. Przez parę godzin słyszał Neville'a łkającego w poduszkę. Nie przychodziło mu na myśl nic, czym mógłby go pocieszyć. Wiedział, że Neville, podobnie jak on sam, boi się świtu. Co będzie, kiedy reszta Gryfonów dowie się o wszystkim?

Z początku Gryfoni przechodzący obok wielkiej klepsydry, wskazującej liczbę punktów zdobytych przez dom, sądzili, że to jakaś pomyłka. W jaki sposób mogliby stracić aż sto pięćdziesiąt punktów w ciągu jednej nocy? A potem się rozeszło: to Harry Potter, ten słynny Harry Potter, bohater dwóch meczów quidditcha, stracił te wszystkie punkty — on i para innych głupich pierwszoroczników.

Z najbardziej lubianego i podziwianego ucznia w szkole nagle stał się najbardziej zniechęconym. Odwrócili się od niego nawet Krukoni i Puchoni, bo wszyscy z utęsknieniem czekali na utratę pucharu przez Ślizgonów. Wszyscy wytykali go palcami i nie raczyli nawet zniżyć głosów, kiedy wieszali na nim psy. Natomiast Ślizgoni klaskali, kiedy ich mijał, gwizdali i wołali: "Brawo, Potter, jesteśmy ci wdzięczni!"

Tylko Ron go nie opuścił.

— Zobaczysz, za parę tygodni zapomną. Fred i George stracili już kupę punktów, a ludzie wciąż ich lubią.

— Ale nigdy nie stracili stu pięćdziesięciu punktów za jednym razem, prawda?

— No... nie — zgodził się Ron.

Było już trochę za późno, by naprawić szkodę, ale Harry przysiągł sobie, że odtąd nie będzie mieszał się do nie swoich spraw. Wszystko przez to łażenie po zamku, węszenie i szpiegowanie. Czuł się tak podle, że poszedł do Wooda i oświadczył, że gotów jest zrezygnować z grania w drużynie quidditcha.

— Zrezygnować? — zagrzemiał Wood. — I co nam to da? Jak odzyskamy choć część punktów, jeśli nie zwyciężymy w quidditchu?

Ale teraz nawet quidditch stracił cały swój urok. Reszta drużyny nie odzywała się do niego podczas treningów, a kiedy o nim mówili, nie używali imienia lub nazwiska, tylko nazywali go “szukającym”.

Hermiona i Neville też bardzo cierpieli. Nie spotykali się z tak powszechnym potępieniem, bo nie byli tak znanymi postaciami jak Harry, ale do nich też nikt się nie odzywał. Hermiona przestała wyrywać się do odpowiedzi na lekcjach, siedząc ze zwieszoną głową i pracując w milczeniu.

Harry prawie się cieszył z tego, że egzaminy są tak blisko. Nauka pozwalała mu oderwać się od ponurych myśli. On, Ron i Hermiona trzymali się razem, wkuwając do późnej nocy, starając się zapamiętać składniki skomplikowanych eliksirów, nauczyć na pamięć zaklęć, zapamiętać daty wszystkich odkryć w dziedzinie magii i rebelii goblinów...

A później, na tydzień przed egzaminami, postanowienie Harry’ego, że nie będzie się wtrącał w cudze sprawy, zostało wystawione na ciężką próbę. Pewnego popołudnia, wracając z biblioteki, usłyszał czyjś krzyk dochodzący z klasy na końcu korytarza. Kiedy podszedł bliżej, poznał głos Quirrella.

— Nie... nie... błagam... ja już nigdy...

Wyglądało na to, że ktoś mu grozi. Harry podszedł do drzwi.

— Dobrze... już dobrze... — jęczał Quirrell.

W następnej chwili z klasy wypadł Quirrell w przekrzywionym turbanie. Był blady i wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać, a w każdym razie na pewno Harry’ego nie zauważył. Harry odczekał, aż kroki profesora ucichły i zajrzał do klasy. Była pusta, ale drzwi po przeciwnej stronie były

otwarte. Harry już ku nim zmierzał, gdy przypomniał sobie, że przecież miał się do niczego nie mieszać.

Mógłby się jednak założyć o Kamień Filozoficzny, że to Snape właśnie wyszedł z klasy tymi drzwiami, a z bełkotu Quirrella można było wywnioskować, że wreszcie się poddał.

Wrócił do biblioteki, gdzie Hermiona przepytowała Rona z astronomii. Powiedział im, co usłyszał.

— Zatem Snape w końcu go złamał! — jęknął Ron. — Jeśli Quirrell powiedział mu, jak pokonać jego zaklęcie...

— Jest jeszcze Puszka — zauważyła Hermiona.

— Może Snape sam, bez pomocy Hagrida, znalazł jakiś sposób na Puszka — powiedział Ron, spoglądając na otaczające go stosy książek. — Założę się, że jest jakaś książka, w której opisano, jak bezpiecznie przejść obok wielkiego trójgłowego psa. Więc co zrobimy, Harry?

W oczach Rona już tlił się ogień przygody, ale Hermiona była szybsza.

— Pójdziemy do Dumbledore'a. Już dawno powinniśmy to zrobić. Jeśli znowu chcecie działać sami, możecie się pożegnać ze szkołą.

— Przecież nie mamy żadnego dowodu! — zachnął się Harry. — Quirrell jest za bardzo przerażony, żeby nas poprzeć. Snape po prostu oświadczy, że nie ma pojęcia, jak troll dostał się do szkoły, a on sam nigdy nie był nawet w pobliżu trzeciego piętra... Jak myślicie, komu uwierzą, jemu czy nam? Wszyscy wiedzą, że go nie znosimy. Dumbledore pomyśli, że opowiadamy to wszystko, żeby go pognębić. Filch też nam nie pomoże, trzyma stronę Snape'a, a zresztą dla niego im więcej uczniów wyrzuca, tym lepiej. I nie zapominajmy, że nie powinniśmy wiedzieć o Kamieniu czy o Puszku. Trzeba by zbyt wiele wyjaśniać.

Hermionę chyba to przekonało, ale Rona nie.

— Harry, jeśli znowu zaczniemy węszyć...

— Nie — przerwał mu Harry martwym głosem — nie będziemy już nigdzie węszyć.

Przyciągnął ku sobie mapę Jowisza i zaczął się uczyć na pamięć nazw jego księżyców.

Następnego ranka wszystkim trojgu wręczono przy śniadaniu kartki. Na każdej był ten sam tekst:

Twój areszt rozpocznie się dzisiaj, o jedenastej wieczorem. Proszę czekać na pana Filcha w sali wejściowej.

Profesor M. McGonagall

Harry zupełnie zapomniał o areszcie, myślał tylko o utracie tych stu pięćdziesięciu punktów. Sądził, że Hermione zaraz zacznie biadolić, bo nie będą mogli się uczyć w nocy, ale nie powiedziała ani słowa. Ona też uważała, że zasłużyli na to wszystko.

O jedenastej wieczorem pożegnali się z Ronem i razem z Neville'em zeszli do sali wejściowej. Filch już na nich czekał. Był również Malfoy. Harry zapomniał i o tym, że Malfoy też otrzymał karę aresztu.

— Za mną — powiedział Filch, zapalając lampę. Wyprowadził ich z zamku.

— Założę się, że teraz dwa razy pomyślicie, zanim znowu złamiecie regulamin, co? — zagadał, uśmiechając się drwiąco. — Tak, tak... ciężka praca i ból to najlepsi nauczyciele, przynajmniej moim zdaniem... Szkoda tylko, że nie stosuje się już tych dobrych, dawnych kar... Na przykład takie wieszanie za ręce pod sufitem... Po kilku dniach bylibyście posłuszni jak baranki. Mam jeszcze łańcuchy, a jakże, trzymam je w swoim kantorku, oliwię od czasu do czasu, może jeszcze kiedyś się przydadzą... No dobra, idziemy. Tylko nawet nie myślcie o ucieczce, bo będzie jeszcze gorzej.

Poprowadził ich przez ciemny park. Neville głośno pociągał nosem. Harry zastanawiał się, na czym ma polegać kara

“aresztu”. Musi to być coś okropnego, bo Filch wyraźnie jest w siódmym niebie.

Księżyc był prawie w pełni, ale co jakiś czas przesłaniały go chmury, więc szli w ciemności. Potem zobaczyli oświetlone okna chatki Hagrida, a po chwili usłyszeli okrzyk:

— To ty, Filch? Pospiesz się, chcę już zaczynać.

Harry ucieszył się: jeśli kara ma polegać na pracowaniu z Hagridem, nie będzie tak źle. Filch musiał zauważyć ulgę na jego twarzy, bo powiedział:

— Pewno myślisz, że z tym niedojdą będziecie mieli pyszną zabawę, co? No to radzę ci to jeszcze raz przemyśleć, chłopcze, bo idziemy do lasu, a coś mi się widzi, że nie wyjdziecie z niego cało.

Neville jęknął cicho, a Malfoy zatrzymał się gwałtownie.

— Do lasu? — powtórzył, bez śladu swojego zwykłego dobrego samopoczucia. — Nie możemy tam iść w nocy... tam są różne takie... mówią, że wilkołaki.

Neville chwycił kurczowo Harry'ego za rękaw i wydał dziwny odgłos, jakby się krztusił.

— No to będziecie mieć kłopoty, co? — odrzekł Filch z wyraźną uciechą. — A nie powinniście czasem pomyśleć o wilkołakach, zanim zaczęliście szwendać się po nocy?

Z ciemności wyłonił się Hagrid z Kłem u nogi. Niósł wielką kuszę, a na jego ramieniu wisiał kołczan pełen strzał.

— Trochę późno — burknął. — Czekam na was już od pół godziny. No jak, w porządku, Harry? Głowa do góry, Hermiono.

— Lepiej się z nimi nie cackaj, Hagridzie — powiedział chłodno Filch. — Ostatecznie mają być ukarani, prawda?

— Aaa... to dlatego się spóźniliście — rzekł Hagrid, obrzucając Filcha niezbyt przyjaznym spojrzeniem. — Zrobiłeś im małą lekcję wychowawczą, tak? Kłopot w tym, Filch, że ani

się do tego nie nadajesz, ani to do ciebie nie należy. No dobra, odwalisz swoją robotę, teraz ja ich przejmuję.

— Będę tu o świcie — mruknął Filch — żeby zabrać to, co z nich zostanie.

Odwrócił się i odszedł w stronę zamku, a po chwili jego lampa zniknęła za ciemnymi zaroślami.

Malfoy zwrócił się teraz do Hagrida.

— Nie mam zamiaru wchodzić do lasu — oświadczył, a Harry z zadowoleniem stwierdził, że w jego głosie brzmi prawdziwe przerażenie.

— Ale wejdiesz, jeśli chcesz zostać w Hogwarcie — burknął Hagrid. — Narobiłeś niezłego bigosu i teraz musisz za to zapłacić.

— To robota dla służby, nie dla uczniów. Myślałem, że będziemy za karę coś przepisywać... Gdyby dowiedział się o tym mój ojciec, to...

— ...to by ci powiedział, że tak to już jest w Hogwarcie

— warknął Hagrid. — Przepisywać! A to sobie wymyślił! A co komu z tego? Musisz zrobić coś pożytecznego albo jutro wyleją cię na zbity pysk. Skoro myślisz, że twój ojciec woli, żeby cię wywalili ze szkoły, to wracaj do zamku i pakuj manatki. No, ruszaj się!

Malfoy ani drgnął. Wpatrywał się w Hagrida wściekłym wzrokiem, ale po chwili spuścił oczy.

— A teraz róbcie to, co wam powiem — rzekł Hagrid

— bo nie idziemy na grzyby, a ja nie chcę nikogo niepotrzebnie narażać. W tym lesie w nocy nie jest bezpiecznie. Chodźcie za mną.

Zaprowadził ich na sam skraj lasu. Tam uniósł wysoko lampę i wskazał na wąską, krętą ścieżkę, która ginęła między grubymi pniami drzew. Powiał lekki wiatr i włosy stanęły im dęba, kiedy spojrzeli w ciemność przed sobą.

— Popatrzcie tutaj. Widzicie te świecące ślady na ziemi? Takie srebrne? To krew jednoroźca. Gdzieś tu jest jednorożec, którego coś ciężko zraniło. To już drugi raz w tym tygodniu. W zeszłą środę znalazłem jednego martwego. Musimy znaleźć tego biedaka. Może uda się nam mu pomóc.

— A jeśli to coś, co poraniło jednoroźca, znajdzie nas najpierw? — zapytał Malfoy, nie będąc w stanie ukryć strachu.

— W tym lesie nic nie robi wam krzywdy, dopóki jesteście ze mną i z Kłem — odpowiedział Hagrid. — I trzymajcie się ścieżki. A teraz podzielimy się na dwie grupy i każda pójdzie ścieżką w inną stronę. Pełno tu wszędzie krwi, biedak musi się błąkać po lesie przynajmniej od zeszłej nocy.

— Chcę mieć przy sobie psa — powiedział szybko Malfoy, spoglądając na długie zęby Kła.

— Dobrze, ale ostrzegam cię, że to straszny tchórz. Więc tak... Ja, Harry i Hermiona idziemy w jedną stronę, a Draco, Neville i Kieł w drugą. Jak któreś z nas znajdzie jednoroźca, strzelamy zielonymi iskrami, dobra? Wyjmijcie swoje różdżki i spróbujcie... znakomicie... Jeśli ktoś znajdzie się w opałach, strzela czerwonymi iskrami, a reszta natychmiast spieszy mu z pomocą... Wszystko jasne? No, to idziemy.

W lesie było ciemno i cicho. Po kilkudziesięciu krokach doszli do rozwidlenia ścieżki. Harry, Hermiona i Hagrid skierowali się w lewo, a Malfoy, Neville i Kieł w prawo.

Szli w milczeniu, wpatrując się w ścieżkę. Co jakiś czas przez gałęzie przedzierał się promień księżyca i oświetlał plamy srebrnoniebieskiej krwi na zeschniętych liściach.

Harry spostrzegł, że Hagrid jest czymś bardzo zaniepokojony.

— Czy wilkołak może zabić jednoroźca? — zapytał.

— Ho, ho, nie tak łatwo — odrzekł Hagrid. — Jednoroźce mają potężną magiczną moc. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby coś zraniło jednoroźca.

Przeszli koło omszałego pniaka. Harry usłyszał plusk wody; gdzieś w pobliżu musiał być strumień. Wzdłuż krętej ścieżki wciąż napotykali ślady jednoroźca.

— Co z tobą, Hermiono? — zapytał szeptem Hagrid.

— Nie martw się, nie mógł odejść daleko, jeśli jest tak poraniony, a jak go znajdziemy... MIGIEM ZA TO DRZEWO! I pociągnął Harry'ego i Hermionę za pień olbrzymiego dębu rosnącego tuż przy ścieżce. Wyjął z kołczanu strzałę, włożył ją w rowek kuszy i uniósł broń gotową do strzału. Nasłuchiwali. Coś szeleściło w pobliżu, jakby ktoś ciągnął płaszcz po zeschniętych liściach. Hagrid wpatrywał się w ciemną ścieżkę, ale po chwili dziwny odgłos oddalił się.

— Wiedziałem — mruknął. — Tu jest coś, czego wcale nie powinno być.

— Wilkołak? — zapytał Harry.

— To nie był żaden wilkołak ani żaden jednorożec — odpowiedział ponuro Hagrid. — Dobra, idziemy, tylko teraz uważajcie.

Poszli dalej, nieco wolniej, nasłuchując najlżejszego szmeru. Nagle, tuż za krzakami, coś na pewno się poruszyło.

— Kto tam? — zawołał Hagrid. — Pokaż się... jestem uzbrojony!

Stanęli na skraju niewielkiej polanki. I oto pojawił się na niej... Nie, to nie był koń... ale i nie człowiek... Do pasa mężczyzna z rudymi włosami i brodą, od pasa kasztanowy koń z długim czerwonym ogonem. Harry'emu i Hermionie szczęki opadły ze zdumienia.

— Ach, to ty, Konanie — powiedział z ulgą Hagrid.

— Jak się masz?

Wyszedł na polankę i uścisnął centaurovi rękę.

— Witaj, Hagridzie — rzekł Ronan. Miał głęboki, melancholijny głos. — Chciałeś mnie postrzelić?

— Ostrożność nigdy nie zawadzi — odpowiedział Hagrid, poklepując kuszę. — Coś niedobrego wałęsa się po lesie. Aha, to jest Harry Potter, a to Hermiona Granger. Uczniowie ze szkoły. A to jest Ronan. Centaur.

— Zauważyliśmy — wyjąkała Hermiona.

— Dobry wieczór — przywitał ich Ronan. — Studenci, tak? Bardzo was męczą w tej szkole?

— Eee...

— Trochę — odpowiedziała Hermiona lekko drżącym głosem.

— Trochę. Nigdy nie za mało — westchnął Ronan. Odrzucił głowę do tyłu i spojrzał na niebo. — Mars jasno płonie.

— Taa — mruknął Hagrid, też patrząc w niebo. — Słuchaj, to dobrze, że się spotkaliśmy, bo tu gdzieś jest ranny jednorożec... może go widziałeś?

Ronan nie odpowiedział od razu. Wciąż wpatrywał się w niebo, a po chwili znowu westchnął.

— Niewinni zawsze są pierwszymi ofiarami — rzekł. — Tak było przed wiekami i tak jest teraz.

— Taa... — zgodził się Hagrid. — Ale... coś widziałeś? Coś niezwykłego?

— Mars jasno dziś płonie — powtórzył Ronan, a Hagrid wpatrywał się w niego z wyraźną niecierpliwością. — Niezwykle jasno.

— Tak, ale mnie chodzi o coś niezwykłego trochę bliżej domu. Więc jak, zauważyłeś coś dziwnego?

I tym razem centaur odpowiedział dopiero po chwili.

— Las skrywa wiele tajemnic.

Coś się za nim poruszyło i Hagrid podniósł kuszę, ale był to tylko drugi centaur, tym razem czarnowłosa i czarnoskóra, i trochę bardziej dziki niż Ronan.

— Cześć, Zakało — przywitał go Hagrid. — W porządku?

— Dobry wieczór, Hagridzie, mam nadzieję, że nic ci nie dolega?

— Jakoś się żyje. Słuchaj, właśnie pytałem Ronana, może widziałeś ostatnio coś dziwnego? W lesie jest ranny jednorożec... może coś o tym wiesz?

Zakała podszedł i stanął obok Ronana. Spojrzał w niebo.

— Mars jasno dziś płonie — oświadczył krótko.

— To już słyszeliśmy — burknął niezbyt uprzejmie Hagrid.

— No dobra, gdyby któryś z was coś zobaczył, niech da mi znać... Musimy iść.

Harry i Hermiona weszli za nim do lasu, oglądając się za siebie, póki Ronan i Zakała nie znikli za drzewami.

— Nigdy nie liczcie na prostą odpowiedź od centaury — powiedział ze złością Hagrid. — Sakramenckie centaury. Nic, tylko gapią się w gwiazdy. Nie obchodzi ich nic, co jest bliżej niż księżyc.

— Dużo ich tu jest? — zapytała Hermiona.

— Całkiem sporo... Przeważnie trzymają się razem. Ale mówię wam, niedobrze mi się robi, jak muszę ich o coś zapytać. Okropnie skryte stworzenia... wiedzą o wielu sprawach, ale bardzo trudno coś z nich wydusić.

— Myślisz, że to, co wcześniej słyszeliśmy, to był centaur? — zapytał Harry.

— A tobie to brzmiało jak kopyta? Nie, to coś całkiem innego. Gdyby mnie kto pytał, to bym powiedział, że to było coś, co zabija jednorożce... Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszałem.

Brnęli dalej przez ciemny, gęsty las. Harry wciąż zerkał nerwowo przez ramię. Miał nieprzyjemne uczucie, że są obserwowani. Jak dobrze, że idzie z nimi Hagrid z kuszą! Ścieżka zakręciła i nagle Hermiona chwyciła Hagrida za rękę.

— Hagridzie! Tam! Czerwone iskry, oni są w niebezpieczeństwie!

— Zostańcie tutaj! — krzyknął Hagrid. — Nie ruszajcie się ze ścieżki i czekajcie na mnie!

Usłyszeli, jak przedziera się przez krzaki. Stali, patrząc na siebie, bardzo wystraszeni, aż odgłosy łamanych gałęzi ucichły i słychać było tylko szelest liści wokół nich.

— Chyba nie myślisz, że coś im się stało, co? — szepnęła Hermiona.

— Malfoy mnie nie obchodzi, ale jeśli coś się stało Neville'owi... To przez nas znalazł się tutaj.

Minuty wlokły się jedna za drugą. Teraz słuch im się wyostrzył i słyszeli każde westchnienie wiatru, każdy trzask gałązki. Co się dzieje? Gdzie są inni?

W końcu głośny łoskot obwieścił powrót Hagrida. Za nim szli Malfoy, Neville i Kłem. Hagrid był wściekły. Okazało się, że to Malfoy zakradł się za Neville'a i dla żartu złapał go nagle za szyję. Neville ze strachu wystrzelił czerwone iskry. — Będziemy mieć szczęście, jeśli teraz uda nam się cokolwiek znaleźć — burczał Hagrid. — Cały las postawiliście na nogi! No dobra, robimy zmianę... Neville, zostaniesz ze mną i z Hermiona, a ty, Harry, pójdziesz z Kłem i tym kretynem. Przykro mi — dodał szeptem, zwracając się do Harry'ego — ale ciebie tak łatwo nie przestraszy, a musimy szukać dalej.

Tak więc Harry ruszył dalej z Malfoyem i Kłem. Szli jakieś pół godziny, zagłębiając się coraz bardziej w puszcze, aż ścieżka zrobiła się tak wąska, a las tak gęsty, że trudno było nią iść. Ślady krwi też były coraz bardziej obfite. Harry zauważył plamy krwi na pniu grubego drzewa, jakby biedne zwierzę kilkakrotnie otarło się o pień, słaniając się z bólu. Przed nimi, przez splątane gałęzie wielkiego dębu, prześwitywała polana.

— Zobacz... — szepnął, wyciągając rękę, by zatrzymać Malfoya.

Na polanie widać było jakąś jasną plamę. Wyszli ostrożnie na skraj polany.

Był to jednorożec, niestety już martwy. Harry po raz pierwszy w życiu ujrzał coś tak pięknego i tak smutnego. Długie, smukłe nogi spoczywały pod dziwnymi kątami, a grzywa rozsypała się perłowobiałą kaskadą na ciemnych liściach.

Harry zrobił krok i nagle zamarł w miejscu, słysząc odgłos skradania się. Krzak na skraju polanki zadrżał... A potem z cienia wyłoniła się zakapturzona postać, pełznąca tuż przy ziemi, jak polujący drapieżnik. Harry, Malfoy i Kieł stali, jakby wrosli w ziemię. Zakapturzona postać zbliżyła się do ciała jednorożca, przywarła do jego zranionego boku i zaczęła chłeptać krew.

— AAAAAA!

To Malfoy wrzasnął przeraźliwie i pomknął w las. Za nim czmychnął Kieł. Zakapturzona postać podniosła głowę i spojrzała prosto na Harry'ego. Krew jednorożca ściekała po jej płaszczu. A potem podniosła się i skoczyła ku Harry'emu, który nie był w stanie ruszyć się ze strachu.

Głowę przeszył mu ból tak straszny, jakiego jeszcze nigdy nie doznał; jakby blizna na czole rozpałała się do białości. Na pół oślepiiony bólem zachwiał się i zaczął cofać, gdy nagle usłyszał za sobą tętent kopyt i coś śmignęło nad nim, nacierając na zakapturzona postać.

Harry osunął się na kolana. Straszliwy ból minął dopiero po dwóch lub trzech minutach. Kiedy podniósł głowę, tamtego widma już nie było. Stał nad nim centaur — ale nie Ronan i nie Zakała. Ten wyglądał na młodszego, miał jasne włosy i złotawą sierść.

— Nic ci nie jest? — zapytał centaur, pomagając Harry'emu wstać.

— Nie... dzięki... Co to było?

Centaur nie odpowiedział. Miał niesamowite niebieskie oczy, zupełnie jak dwa blade szafiry. Spojrzał uważnie na Harry'ego, zatrzymując wzrok na bliźnie, która teraz wyraźnie znaczyła czoło chłopca.

— To ty jesteś chłopcem Potterów — powiedział. — Lepiej wracaj do Hagrida. W puszczy nie jest bezpiecznie... zwłaszcza dla ciebie. Potrafisz jeździć konno? Byłoby o wiele szybciej.

Uklęknął na przednie nogi, aby Harry mógł wspiąć się na jego grzbiet.

— Nazywam się Firenzo — dodał.

Z drugiej strony polany rozległ się tętent kopyt. Ronan i Zakała wypadli z zarośli; ich spocone boki wznosiły się i opadały w rytmie szybkiego oddechu.

— Firenzo! — zagrział Zakała. — Co ty wyprawiasz? Masz człowieka na grzbiecie! Co za wstyd! Zachowujesz się jak zwykły muł!

— Nie widzisz, kto to jest? — odpowiedział Firenzo. — To chłopiec Potterów. Im szybciej opuści las, tym lepiej.

— Co mu powiedziałaś? — warknął Zakała. — Pamiętaj, Firenzo, że zostaliśmy zaprzysiężeni. Nie możemy sprzeciwić się wyrokowi nieba. Czyż nie wiemy z biegu planet, co ma się wydarzyć?

Ronan pogrzebał kopytem w ziemi, wyraźnie zakłopotany.

— Jestem pewny, że Firenzo chciał jak najlepiej — powiedział ponurym tonem.

— Jak najlepiej! A niby co my mamy z tym wspólnego? Centaury zajmują się odczytywaniem przyszłości z gwiazd! Nie jesteśmy po to, żeby uganiać się po lesie jak osły za jakimiś zbłąkanymi ludźmi!

Firenzo niespodziewanie stanął dęba, tak że Harry musiał złapać się jego grzywy, żeby nie spaść.

— Nie widzisz tego jednorożca? — ryknął Firenzo.

— Nie wiesz, dlaczego musiał umrzeć? A może planety nie podzieliły się z tobą tym sekretem? Bo jeśli chodzi o mnie, Zakało, to będę walczył z wrogiem, który czai się w tym lesie! Tak, ramię w ramię z ludźmi, jeśli będę musiał. I zawrócił w miejscu, a potem — z Harrym na grzbiecie

— pogalopował między drzewa, zostawiając na polanie Ronana i Zakałę.

Harry nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

— Dlaczego Zakała tak się wścieka? — zapytał. — I przed czym chcesz mnie uratować?

Firenzo zwolnił, ostrzegł Harry'ego, żeby pochylił nisko głowę, by nie uderzyć w jakąś gałąź, ale nie odpowiedział na jego pytania. Szedł stępą przez las tak długo, iż Harry stracił już nadzieję, że czegoś się od niego dowie. Przedzierał się właśnie przez szczególnie gęsty kawałek kniei, kiedy Firenzo nagle się zatrzymał.

— Harry Porterze, czy wiesz, do czego się używa krwi jednoroźca?

— Nie — odpowiedział Harry, zaskoczony tym dziwnym pytaniem. — My używamy tylko rogu i włosów z ogona... no wiesz, do sporządzania eliksirów.

— To dlatego, że zabicie jednoroźca jest potworną zbrodnią — rzekł Firenzo. — Zdolny jest do niej tylko ktoś, kto nie ma nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Krew jednoroźca zapewnia życie każdemu, kto ją wypije, nawet jeśli będzie o cal od śmierci, ale za straszliwą cenę. Jeśli zabije coś niewinnego i bezbronnego, zostanie na zawsze przeklęty i będzie wiódł nędzne życie, a właściwie pół—życie.

Harry wpatrywał się w tył głowy centaura, jakby nakrapianej srebrem w blasku księżyca.

— Ale kto mógłby się na to odważyć? Jeśli ma się być przeklętym na zawsze, to chyba lepsza jest śmierć, prawda?

— Prawda — zgodził się Firenzo — chyba, że jest ci to potrzebne, żeby wypić coś innego... coś, co pozwoli ci odzyskać dawną siłę i obdarzy wielką potęgą... coś, co sprawi, że nigdy nie umrzesz. Harry Potterze, czy wiesz, co jest teraz ukryte w szkole?

— Kamień Filozoficzny! No tak... Elikzir Życia! Ale nie rozumiem, kto...

— Tak ci trudno domyślić się, kto czekał tyle lat, by odzyskać władzę, kto chce za wszelką cenę przeżyć, czekając na swoją wielką szansę?

Harry poczuł się tak, jakby żelazna dłoń zacisnęła się nagle wokół jego serca. Przypomniał sobie, co powiedział mu Hagrid w ów wieczór, kiedy spotkali się po raz pierwszy: “Niektórzy opowiadają, że umarł. Ja uważam, że to bzdura, skoro on już prawie nie był człowiekiem, to niby co w nim miało umrzeć?”

— Chcesz powiedzieć, że to był... Vol...

— Harry! Harry, nic ci się nie stało? Ścieżką biegła ku nim Hermiona, a za nią kroczył, sapiąc głośno, Hagrid.

— Nic mi nie jest — powiedział Harry, nie bardzo wiedząc, co mówi. — Hagridzie, jednorożec jest martwy, leży tam, na polanie.

— Tutaj cię zostawię — mruknął Firenzo, kiedy Hagrid poszedł, żeby obejrzeć jednorożca. — Jesteś już bezpieczny.

Harry ześliznął się z jego grzbietu.

— Życzę ci powodzenia, Harry Potterze — rzekł Firenzo. — Już nieraz się zdarzało, że mylnie odczytywano przyszłość z gwiazd. Przytrafiało się to nawet centaurom. Mam nadzieję, że to właśnie taki przypadek.

Odwrócił się i pogalopował w ciemną puszczy. Harry stał, czując, jak wstrząsają nim dreszcze.

Ron usnął w ciemnym pokoju, czekając na ich powrót. Kiedy Harry nim potrząsnął, krzyknął coś o faulach w quidditchu i otworzył oczy. Wkrótce jednak rozbudził się

całkowicie, gdy Harry zaczął mu opowiadać o tym, co on i Hermiona przeżyli w Zakazanym Lesie.

Harry był tak rozgorączkowany, że nie mógł usiąść spokojnie. Chodził tam i z powrotem przed kominkiem. Wciąż cały się trząsał.

— Snape chce wykraść Kamień dla Voldemorta... Voldemort czeka w puszczy... a myśmy przez cały czas myśleli, że Snape chce się po prostu wzbogacić...

— Przestań wymawiać to imię! — powiedział Ron przerażonym szeptem, jakby się bał, że Voldemort może być gdzieś w pobliżu.

Harry go nie słuchał.

— Firenzo mnie uratował, choć nie powinien... Zakała się wściekał... mówił o przeciwstawianiu się temu, co jest zapisane w gwiazdach... o powrocie Voldemorta... Zakała uważa, że Firenzo powinien pozwolić Voldemortowi zabić mnie... Myślę, że to też jest zapisane w gwiazdach...

— Przestań wymawiać to imię! — syknął Ron.

— Więc teraz możemy tylko czekać, aż Snape wykradnie Kamień — ciągnął Harry, nie zwracając na niego uwagi — a wtedy Voldemort będzie już mógł tu przyjść i skończyć ze mną raz na zawsze... No cóż, Zakała pewnie się ucieszy.

Hermiona zrobiła przerażoną minę, ale próbowała go pocieszyć.

— Harry, wszyscy mówią, że Sam—Wiesz—Kto boi się tylko Dumbledore'a. Dopóki Dumbledore tu będzie, Sam—Wiesz—Kto nie ośmieli się ciebie tknąć. A w ogóle, skąd wiesz, że centaury się nie mylą? Mnie to wszystko przypomina wróżenie z kart, a profesor McGonagall mówi, że to bardzo mało ścisła dziedzina magii.

Niebo już pobladło, kiedy w końcu poszli do swoich sypialni, z piaskiem w oczach i suchością w gardłach. Lecz nie był to koniec nocnych niespodzianek.

Kiedy Harry odchylił koc i prześcieradło, znalazł swoją pelerynę—niewidkę, równo pod nimi złożoną. Ktoś przypiął do niej karteczkę ze słowami:

Na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

PRZEZ KLAPE W PODŁODZE



Kiedy w następnych latach Harry wspominał ten okres, nie mógł sobie przypomnieć, jak mu się udało zdać wszystkie egzaminy mimo towarzyszącego mu wciąż strachu, że w każdej chwili może się przed nim pojawić Voldemort. A jednak dni mijały jeden za drugim i nic nie wskazywało, by ktoś zdołał zabić lub przechytryć Puszka, strzegącego klapy w podłodze korytarza na trzecim piętrze.

Było bardzo gorąco, zwłaszcza w wielkich klasach, gdzie odbywały się egzaminy pisemne. Prace pisali specjalnymi piórami, które zostały zaczarowane w taki sposób, żeby ściąganie było niemożliwe.

Mieli również egzaminy z praktyki. Profesor Flitwick wzywał ich pojedynczo do klasy, żeby sprawdzić, czy potrafią sprawić zaklęciem, by ananas tańczył po stole. Profesor McGonagall kazała im zmieniać mysz w tabakierkę; punkty dostawało się za ładny kształt i ozdoby, a traciło, kiedy tabakierka miała wąsy. Snape dyszał im nad karkami, kiedy próbowali sobie przypomnieć, jak się robi napój powodujący zanik pamięci.

Harry starał się jakoś znieść przeszywające bóle czoła, które go nękały od czasu nocnej wyprawy do puszczy. Neville uważał, że to wyjątkowo paskudny przypadek nerwicy egzaminowej, ale prawda była taka, iż Harry budził się w nocy, dręczony swoim dawnym koszmarem sennym, tyle że teraz było jeszcze gorzej, bo pojawiała się również zakapturzona postać zboczona krwią.

Ron i Hermiona nie widzieli tego, co Harry zobaczył na leśnej polanie, nie mieli na czołach bolesnych blizn i być może dlatego nie przejmowali się tak Kamieniem, jak on. Voldemort budził w nich lęk, to oczywiste, ale nie nawiedzał ich w snach, a poza tym tak byli zajęci nauką, że nie mieli czasu na zamartwianie się, co knuje Snape albo ktokolwiek inny.

Ostatni egzamin był z historii magii. Jeszcze tylko jedna godzina odpowiadania na pytania dotyczące zbzikowanych starych czarodziejów i wynalazców samomieszających się kociołków i będą wolni, wolni przez cały cudowny tydzień, po którym nastąpi ogłoszenie wyników. Kiedy duch profesora Binnsa powiedział im, żeby odłożyli pióra i zwinęli pergaminy, nawet Harry przyłączył się do radosnych wiwatów całej klasy.

— To było o wiele łatwiejsze, niż myślałam — powiedziała Hermiona, kiedy razem ze wszystkimi wyszli na zalane słońcem błonie przed zamkiem. — Niepotrzebnie się uczyłam Kodeksu Honorowego Wilkołaków z 1637 roku i o powstaniu Elfrika Gorliwego.

Po każdym egzaminie Hermiona lubiła jeszcze raz przejść przez pytania testowe, ale Ron oświadczył, że na samą myśl o tym robi mu się niedobrze, więc poszli nad jezioro i usiedli na trawie w cieniu drzewa. Bliźniacy Weasleyowie i Lee Jordan drażnili czułki olbrzymiej ośmiornicy, która wygrzewała się na płyciźnie.

— Koniec z nauką — westchnął z ulgą Ron, rozciągając się na trawie. — Mógłbyś wreszcie przestać się krzywić na cały świat, Harry, mamy przed sobą cały tydzień, zanim się dowiemy, jak nam źle poszło, więc nie ma co się martwić na zapas.

Harry pocierał sobie czoło.

— Och, chciałbym wiedzieć, co to znaczy! — wybuchnął ze złością. — Ta blizna bardzo mi dokucza... to już wcześniej się zdarzało, ale nigdy tak często, jak teraz.

— Idź do pani Pomfrey — poradziła mu Hermiona.

— Nie jestem chory. Myślę, że to ostrzeżenie... Coś nam grozi...

Rona nic nie było w stanie zaniepokoić: było za gorąco.

— Harry, wyluzuj się, Hermiona ma rację, póki Dumbledore jest w pobliżu, Kamień jest bezpieczny. Zresztą nic nie wskazuje na to, że Snape znalazł jakiś sposób, by przejść obok Puszka. Już raz prawie stracił nogę, więc nie będzie próbował po raz drugi. A prędzej Neville zagra w reprezentacji Anglii w quidditcha, niż Hagrid pozwoli, by coś się stało Dumbledore'owi.

Harry pokiwał głową, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że o czymś zapomniał i że było to coś ważnego. Kiedy próbował im to wyjaśnić, Hermiona powiedziała:

— To przez te egzaminy. Ja też obudziłam się w nocy i zaczęłam przeglądać notatki z transmutacji, dopóki nie przypomniałam sobie, że już to zdaliśmy.

Harry był jednak pewny, że to poczucie niepewności nie miało nic wspólnego z nauką. Patrzył na sowę, szybującą ku szkole na tle jasnego, niebieskiego nieba. Hagrid był jedyną osobą, od której dostawał listy. Hagrid nigdy by nie zdradził Dumbledore'a. Hagrid nigdy by nie powiedział nikomu, jak sobie poradzić z Puszczkiem... nigdy... ale...

Nagle zerwał się na nogi.

— Dokąd idziesz? — zapytał Ron sennym głosem.

— Coś mi przyszło do głowy — rzekł Harry. Był blady.

— Musimy iść i zobaczyć się z Hagridem. Natychmiast.

— Po co? — zdziwiła się Hermiona, ale posłusznie wstała.

— Nie wydaje się wam to trochę dziwne — powiedział Harry, kiedy wspinali się na porośnięte trawą zbocze — że Hagrid od dawna marzył o smoku, a tu nagle pojawia się jakiś obcy właśnie z jajem smoka? Ilu ludzi chodzi sobie spokojnie z jajem smoka w kieszeni, choć wiadomo, że to jest sprzeczne z prawem? No i taki facet od razu trafia na Hagrida. Uważacie, że to przypadek? A dlaczego ja nigdy na kogoś takiego nie trafiłem?

— O czym ty mówisz? — zapytał Ron, ale Harry nie odpowiedział, pędząc już przez błonia ku skrajowi lasu.

Hagrid siedział w fotelu przed chatką; miał podwinięte spodnie i rękawy i łuskał groch do wielkiej miednicy.

— Cześć — powitał ich z uśmiechem. — No jak, już po egzaminach? Macie czas, żeby się czegoś napić?

— Tak, pro... — odpowiedział Ron, ale Harry przerwał mu:

— Nie, bardzo się spieszymy, Hagridzie. Muszę cię o coś spytać. Pamiętasz tę noc, kiedy wygrałeś Norberta? Jak wyglądał ten nieznajomy, z którym grałeś w karty?

— A bo ja wiem — odrzekł Hagrid obojętnym tonem. — Był w płaszczu z kapturem.

Cała trójka uniosła brwi i wytrzeszczyła oczy.

— Co się tak dziwicie? W Świńskim Łbie zawsze jest sporo różnych dziwaków... To ten pub w wiosce. Może był nielegalnym sprzedawcą smoków, ja wiem? Nie widziałem jego twarzy, przez cały czas miał ten kaptur.

Harry osunął się na kolana obok miski z grochem.

— O czym z nim rozmawiałeś, Hagridzie? Wspomniałeś w ogóle o Hogwarcie?

— Może i wspomniałem — powiedział Hagrid, marszcząc czoło. — Taaa... zapytał mnie, co ja robię, a ja mu powiedziałem, że jestem tu gajowym... Pytał, jakie tu są zwierzęta... więc mu powiedziałem... no i... tego... że najbardziej to chciałbym mieć smoka... a wtedy... czy ja wiem, nie bardzo pamiętam, bo... tego... no, on wciąż mi stawiał... Zaraz... taa, powiedział, że ma jajo smoka i moglibyśmy o nie zagrać w karty... Ale chciał wiedzieć, czy umiałbym się nim zaopiekować, no wiecie, czy dam sobie radę... więc mu powiedziałem, że jak dałem sobie radę z Puszkiem, to i ze smokiem sobie poradzę...

— A on... on się zainteresował Puszkiem? — zapytał Harry, starając się zachować spokój.

— No... taaa... pytał się, czy dużo takich trójgłowych piesków biega sobie wokół Hogwartu, więc mu powiedziałem, że Puszek to pestka, jeśli tylko wie się, jak go uspokoić... no... trzeba tylko mu na czymś zagrać, a robi się łagodny jak baranek i zasypia...

Nagle zrobił przerażoną minę.

— Cholibka! Nie powinienem tego mówić! — wybełkotał. — Zapomnijcie o tym! Hej... dokąd lećcie?

Harry, Ron i Hermiona nie odezwali się do siebie ani jednym słowem, póki nie zatrzymali się w sali wejściowej, która wydała im się bardzo chłodna i ponura po jasnych, nagranych słońcem błoniach.

— Musimy iść do Dumbledore'a — oświadczył Harry. — Hagrid powiedział temu nieznanemu, jak przejść obok Puszka, a pod tym kapturem ukrywał się albo Snape, albo sam Voldemort... Łatwo mu poszło, jak tylko spał

Hagrida. Mam nadzieję, że Dumbledore nam uwierzy. Może nam też pomóc Firenze, jeśli tylko Zakała go nie powstrzyma. Gdzie jest gabinet Dumbledore'a?

Rozejrzeli się wokoło, jakby się spodziewali, że zobaczą jakąś wskazówkę. Nigdy im nie powiedziano, gdzie mieszka Dumbledore i jeszcze nigdy nie spotkali nikogo, kto by tam był.

— Trzeba po prostu... — zaczął Harry, ale urwał, bo w wielkiej sali rozległ się nagle donośny głos.

— Co wy tu robicie?

Była to profesor McGonagall, niosąca wielki stos książek.

— Chcemy się zobaczyć z profesorem Dumbledore'em — wypaliła Hermiona, a Harry i Ron uznali to za przejaw dużej odwagi.

— Zobaczyć się z profesorem Dumbledore'em? — powtórzyła McGonagall, jakby uznała to za bardzo podejrzaną zachciankę. — A po co?

Harry przełknął ślinę... no tak, po co...

— To tajemnica — odpowiedział, ale zaraz tego pożałował, bo nozdrza profesor McGonagall zadrgały niebezpiecznie.

— Profesor Dumbledore opuścił szkołę dziesięć minut temu — oznajmiła chłodnym tonem. — Otrzymał pilną sowę z Ministerstwa Magii i natychmiast poleciał do Londynu.

— Nie ma go? — prawie krzyknął Harry. — Już go nie ma?

— Profesor Dumbledore to bardzo znana osobistość i jego czas jest bardzo drogi.

— Ale to bardzo ważne.

— Czy mam rozumieć, Potter, że to coś, co chcecie mu powiedzieć, jest ważniejsze od Ministerstwa Magii?

— Pani profesor — powiedział Harry, odrzucając wszelkie względy ostrożności — to naprawdę bardzo ważne... Chodzi o Kamień Filozoficzny...

Profesor McGonagall mogła się spodziewać wszystkiego, ale nie tego. Książki wypadły jej z rąk, ale nawet się nie schyliła, żeby je podnieść.

— Skąd wiesz o... — wycedziła przez zęby.

— Pani profesor... myślę... nie, ja wiem, że Sn... że ktoś chce wykraść Kamień. Muszę porozmawiać z profesorem Dumbledore'em.

Wpatrywała się w niego podejrzliwie, wyraźnie nadał wstrząśnięta tym, co usłyszała.

— Profesor Dumbledore wraca jutro — powiedziała w końcu. — Nie wiem, w jaki sposób dowiedziałeś się o Kamieniu, ale możesz być pewny, że nikt nie może go wykraść, jest zbyt dobrze strzeżony.

— Ale, pani profesor...

— Potter, ja naprawdę wiem, o czym mówię — przerwała mu, schyliła się i zebrała książki. — Na waszym miejscu poszłabym do parku i cieszyła się z pięknej pogody.

Ale oni tego nie zrobili.

— To będzie dziś w nocy — powiedział Harry, kiedy profesor McGonagall oddaliła się na tyle, że nie mogła go usłyszeć. — Snape dzisiaj w nocy przejdzie przez klapę w podłodze. Wie już wszystko, co chciał wiedzieć, a teraz pozbył się Dumbledore'a. To on wysłał tę sowę. Założę się, że w Ministerstwie Magii bardzo się zdziwią, kiedy zobaczą Dumbledore'a.

— Ale co możemy... — Hermiona nagle urwała. Harry i Ron odwrócili się, widząc jej przerażone spojrzenie. Za nimi stał Snape.

— Dzień dobry — powiedział uprzejmym tonem.

Wytrzeszczyli na niego oczy.

— W taki piękny dzień nie powinniście tutaj siedzieć

— dodał z dziwnym, pokrętnym uśmiechem.

— My właśnie... — zaczął Harry, nie mając najmniejszego pojęcia, co powiedzieć dalej.

— Powinniście być trochę ostrożniejsi — rzekł Snape.

— Ktoś może pomyśleć, że znowu coś knujecie. A Gryffindor stracił już chyba przez was dość punktów, prawda?

Harry spłonął rumieńcem. Odwrócili się, żeby wyjść na zewnątrz.

— Ostrzegam cię, Potter — zawołał Snape — jeszcze jedna nocna eskapada, a osobiście dopilnuję, żeby cię wyrzucono ze szkoły. Życzę miłego dnia.

I odszedł w kierunku pokoju nauczycielskiego.

Na schodach zewnętrznych Harry zwrócił się do dwójki przyjaciół.

— Posłuchajcie, co musimy zrobić — wyszeptał. — Jedno z nas musi pilnować Snape'a... poczekać przy pokoju nauczycielskim i śledzić go, kiedy wyjdzie. Hermiono, ty będziesz najlepsza.

— Dlaczego ja?

— To jasne — powiedział Ron. — Możesz udąć, że czekasz na profesora Flitwicka. Och, panie profesorze — zaczął przemawiać wysokim głosem — tak się denerwuję, chyba się pomyliłam w pytaniu czternastym B...

— Zamknij się — warknęła Hermiona, ale zgodziła się pójść i pilnować Snape'a.

— A my zaczaimy się przy wejściu do korytarza na trzecim piętrze — powiedział Harry do Rona. — Idziemy.

Ale ta część planu nie wypaliła. Gdy tylko doszli do drzwi oddzielających Puszka od reszty szkoły, pojawiła się tam profesor McGonagall i tym razem natychmiast straciła panowanie nad sobą.

— Co, może wam się wydaje, że trudniej was minąć niż pokonać kilka potężnych zaklęć? Mam już dość tych bzdur! Jeśli się dowiem, że któreś z was znalazło się w pobliżu tych drzwi, Gryffindor straci kolejne pięćdziesiąt punktów! Tak, Weasley, ukarzę cały dom, choć jestem jego opiekunem!

Wrócili do pokoju wspólnego.

— No, przynajmniej Hermione pilnuje Snape'a — powiedział Harry, gdy nagle dziura w portrecie Grubej Damy otworzyła się i wyskoczyła z niej Hermione.

— Przykro mi, Harry! — jęknęła. — Snape wyszedł i zapytał mnie, co tam robię, więc powiedziałam, że czekam na Flitwicka, a Snape poszedł, żeby go wywołać i... Flitwick wyszedł, a Snape sobie poszedł... i nie wiem, gdzie teraz jest.

— No tak, więc pozostało tylko jedno — powiedział Harry. Pobladł, a oczy mu błyszczały. — Dzisiaj w nocy spróbuję dostać się do Kamienia przed Snape'em.

— Zwariowałeś! — krzyknął Ron.

— Nie możesz tego zrobić! — zaperzyła się Hermione. — Po tym, co usłyszeliśmy od Snape'a i McGonagall? Wyrzucą cię!

— NO TO CO? — krzyknął Harry. — Nie rozumiecie? Jeśli Snape dorwie się do Kamienia, Voldemort wróci! Nie wiecie, co było, kiedy już raz próbował przejąć tu władzę? Jeśli teraz tego dokona, w ogóle nie będzie już żadnej szkoły, z której będą mogli kogokolwiek wyrzucić! Zamieni ją w kupę gruzów albo zrobi tu szkołę czarnej magii! Utracenie jakichś punktów w ogóle przestało mieć znaczenie, nie rozumiecie tego? Co, może myślicie, że jak Gryffindor zdobędzie puchar, to Voldemort zostawi was i wasze rodziny w spokoju? Jeśli mnie złapią, zanim dostanę się do Kamienia, to trudno, wrócę do Dursleyów i będę czekał, aż Voldemort tam mnie dopadnie, po prostu umrę trochę później, bo nigdy, przenigdy nie stanę po stronie czarnej magii! Tej nocy wejdę tam i żadne z was mnie

nie powstrzyma! Voldemort zabił moich rodziców, zapomnieliście o tym?

— Masz rację, Harry — powiedziała cicho Hermiona.

— Użyję peleryny—niewidki — dodał Harry. — Całe szczęście, że ją odzyskałem.

— Chyba zmieścimy się pod nią we troje? — zapytał Ron.

— We troje?

— A co, myślisz, że pozwolimy ci pójść samemu?

— No pewnie, że nie — powiedziała Hermiona. — Myślisz, że bez nas dasz sobie radę? No dobra, pójdę i poszperam w moich książkach, może znajdę coś, co się przyda...

— Ale jeśli nas nakryją, was też wyrzucą.

— Mnie nie — oznajmiła ponuro Hermiona. — Flitwick powiedział mi w tajemnicy, że u niego dostałam sto dwadzieścia punktów. Po czymś takim nie mogą mnie wyrzucić.

Po kolacji cała trójka siedziała w pokoju wspólnym, czekając z niepokojem na nadejście nocy. Nikt im nie przeszkadzał; żaden z Gryfonów nie zamierzał odzywać się do Harry'ego. Po raz pierwszy był z tego rad. Hermiona przeglądała swoje notatki, mając nadzieję znaleźć choć jedno z zaklęć, które mieli pokonać. Harry i Ron wiele ze sobą nie rozmawiali. Każdy rozmyślał nad tym, co zamierzają zrobić.

Pokój powoli się wyludniał; wszyscy rozchodzili się do sypialni.

— Lepiej weź ten płaszcz — mruknął Ron, kiedy w końcu wyszedł Lee Jordan i zostali sami.

Harry pobiegł na górę do ciemnego dormitorium. Wyciągnął pelerynę i nagle zauważył flet, który Hagrid podarował mu na Boże Narodzenie. Schował go do kieszeni — jakoś nie czuł się zbyt dobrze usposobiony do śpiewania Puszczowi kołysanek.

Wrócił do salonu.

— Lepiej okryjmy się peleryną już tutaj. Upewnimy się, że zakryje wszystkich... bo jeśli Filch zobaczy jedną z naszych stóp wędrującą sobie po korytarzu...

— Co robicie? — rozległ się głos z ciemnego kąta pokoju.

Z odwróconego do nich tyłem fotela wstał Neville, ściskając swoją ropuchę, która sprawiała wrażenie, jakby znowu zatęskniła za wolnością.

— Nic, Neville, nic — odpowiedział Harry, szybko chowając pelerynę za plecami. Neville spojrzał na ich twarze.

— Znowu gdzieś wychodzicie — rzekł.

— Coś ty? — Hermione udała zdziwienie. — Nigdzie nie idziemy. Dlaczego nie kładziesz się do łóżka, Neville?

Harry zerknął na stary zegar koło drzwi. Nie można było dłużej czekać, Snape mógł już teraz usypiać Puszka.

— Nie wolno wam nigdzie iść — oświadczył Neville. — Znowu was złapią. Gryffindor znowu przez was ucierpi.

— Ty nic nie rozumiesz, Neville — rzekł Harry. — To bardzo ważne.

Ale Neville był w stanie wskazującym na przyпіływ rozpaczliwej odwagi.

— Nie pozwolę wam! — krzyknął i stanął przed portretem Grubej Damy. — Nie przejdziecie! Ja... Będę się bił!

— Neville! — ryknął Ron. — Odejdź od dziury i nie bądź kretynem...

— Nie nazywaj mnie kretynem! — wrzasnął Neville.

— Nie złamiecie już żadnego punktu regulaminu! A ty sam mi mówiłeś, że bym się nikomu nie poddawał!

— Tak, ale nie mówiłem o nas. Neville, nie wiesz, co robisz.

Zrobił krok w jego stronę, a Neville wypuścił z rąk ropuchę, która natychmiast skorzystała ze sposobności i znikła w ciemnym kącie.

— Nie wiem? No to chodź, spróbuj! — krzyknął Neville, podnosząc pięści. — Jestem gotowy! Harry zwrócił się do

Hermiony.

— Zrób coś — jęknął. Hermiona zbliżyła się do Neville'a.

— Neville, bardzo mi przykro, naprawdę, ale muszę to zrobić.

I podniosła różdżkę.

— Petrificus Totalus! — zawołała, celując różdżką w Neville'a.

Ręce Neville'a przyłgnęły do boków. Nogi złączyły się razem. Całe ciało zeszywniało. Zachwiał się i upadł na twarz na podłogę, sztywny jak tablica.

Hermiona podbiegła i przewróciła go na plecy. Miał zaciśnięte szczęki, więc nie mógł mówić. Tylko oczy się poruszały, spoglądając na nich z przerażeniem.

— Co mu zrobiłaś? — wyszeptał Harry.

— Pełne porażenie ciała — odpowiedziała z żalem.

— Och, Neville, wybacz mi.

— Musieliśmy to zrobić, nie ma czasu na wyjaśnienia — dodał Harry.

— Zrozumiesz to później, Neville — rzekł Ron, kiedy przestąpili nieruchome ciało i naciągnęli na siebie pelerynę— niewidkę.

Ale wszyscy troje poczuli, że pozostawienie Neville'a, leżącego bez ruchu na podłodze, nie wróży dobrze. Teraz cień każdego posągu wyglądał jak Filch, a każdy poświst wiatru brzmiał jak rzucający się na nich gdzieś z góry Irytek.

Kiedy stanęli u stóp schodów, zobaczyli Panią Norris, czającą się w pobliżu szczytu.

— Och, kopnijmy ją raz, ale zdrowo — szepnął Ron w ucho Harry'emu, ale ten potrząsnął głową. Ominęli kocicę ostrożnie, a ona zwróciła na nich swoje rozjarzone ślepie, ale się nie poruszyła.

Nie spotkali nikogo aż do schodów wiodących na trzecie piętro. W połowie schodów Irytek obluzowywał chodnik, tak,

żeby ktoś się wywrócił.

— Kto tam? — zapytał nagle, kiedy wspinali się ku niemu. Zmrużył swoje wstrętne czarne oczy. — Wiem, że tu jesteś, chociaż cię nie widzę. Kim jesteś, ghulem, widmem czy jakimś głupim kotem z pierwszego roku?

Uniósł się w powietrze i polatywał nad schodami, patrząc na nich z ukosa.

Harry wpadł na genialny pomysł.

— Irytku — powiedział ochryplym szeptem — tak się składa, że Krwawy Baron ma swoje powody, aby być niewidzialnym.

Mało brakowało, a Irytek runąłby w dół i zleciał ze schodów, tak się przestraszył. Odzyskał równowagę, kiedy był już blisko nich.

— Och, najmocniej przepraszam, wielmożny panie Baronie — powiedział przymilnym tonem. — To mój błąd, moja pomyłka... nie widziałem pana... no tak, bo jest pan niewidzialny... raczy wybaczyć staremu Irytkowi ten głupi żart...

— Mam tu sprawę do załatwienia — zachrypiał Harry.

— Tej nocy trzymaj się od tego miejsca z dala.

— Ależ oczywiście, wasza wielmożność — odrzekł Irytek, unosząc się ponownie w powietrze. — Jestem pewny, że wszystko pójdzie po myśli szanownego pana Barona. Nie będę przeszkadzał.

I poszybował w głąb ciemnego korytarza.

— Wspaniale, Harry! — szepnął Ron. Po kilku chwilach byli już u drzwi korytarza na trzecim piętrze — drzwi, które były otwarte.

— No i stało się — powiedział cicho Harry. — Snape już przeszedł obok Puszka.

Widok tych otwartych drzwi uprzytomnił im w pełni, co zamierzają zrobić. Stali, milcząc i kuląc się pod peleryną.

— Jeśli chcecie wracać — szepnął Harry — nie będę miał do was pretensji. Możecie wziąć pelerynę, nie będzie mi już potrzebna.

— Nie bądź głupi — powiedział Ron.

— Idziemy — oświadczyła Hermiona.

Harry pchnął uchylone drzwi. Zaskrzypiały okropnie, a potem rozległo się dudniące warczenie. Wszystkie trzy nosy psa zwróciły się w ich kierunku, marszcząc się i wężąc.

— Co tam leży przy jego łapach? — zapytała szeptem Hermiona.

— Wygląda jak harfa — powiedział Ron. — Pewno Snape ją zostawił.

— Bestia musiała się obudzić, gdy tylko przestał grać — rzekł Harry. — No, to spróbujmy...

Przyłożył flet Hagrida do ust i zaczął dmuchać. Nie przypominało to żadnej melodii, ale już po pierwszych tonach pies przymknął wszystkie trzy pary oczu. Harry ostrożnie nabrał powietrza i grał dalej. Powoli ucichło warczenie — potwór zachwiał się lekko, a potem osunął na kolana i w końcu padł na podłogę, pogrążony w głębokim śnie.

— Nie przestawaj grać — ostrzegł Harry'ego Ron, kiedy wysliznęli się spod peleryny i zaczęli skradać ku klapie w podłodze. Kiedy zbliżyli się do trzech olbrzymich głów, poczuli gorący, cuchnący oddech.

— Chyba uda się nam podnieść tę klapę, co? — szepnął Ron, zerkając ponad grzbietem psa. — Chcesz iść pierwsza, Hermiono?

— Nie, nie chcę!

— No dobra.

Ron zacisnął zęby i ostrożnie przestąpił łapy psa. Pochylił się i pociągnął za kółko w klapie, a ta natychmiast się otworzyła.

— Co tam widzisz? — zapytała nerwowo Hermiona.

— Nic... tu jest ciemno... nie ma jak zejść, trzeba tam wskoczyć.

Harry, który wciąż grał na flecie, pomachał drugą ręką, żeby zwrócić uwagę Rona na siebie.

— Chcesz wejść pierwszy? Jesteś pewny? — zapytał Ron.
— Nie wiem, jak tam jest głęboko. Daj flet Hermionie, żeby się nie obudził.

Harry podał jej flet. W ciągu kilku sekund ciszy pies warknął i drgnął, ale gdy tylko Hermiona zaczęła grać, znowu zapadł w głęboki sen.

Harry przelazł przez psa i zajrzał w ciemną dziurę. Nie było widać dna.

Opuścił się w dół i zawisł na samych palcach. Potem spojrzał na Rona i rzekł:

— Jeśli coś mi się stanie, nie włączcie za mną. Idźcie prosto do sowiarni i wyślijcie sowę do Dumbledore'a, dobrze?

— Jasne — odpowiedział Ron.

— Mam nadzieję, że za chwilę się zobaczymy...

I puścił się. I zaczął spadać, spadać, spadać, czując podmuch zimnego, wilgotnego powietrza na twarzy, aż...

PLUMP. Wylądował na czymś miękkim. Odetchnął z ulgą, usiadł i pomacał naokoło, bo jeszcze się nie przyzwyczyił do ciemności. Wyglądało na to, że siedział na czymś w rodzaju rośliny.

— W porządku! — krzyknął w stronę jasnego kwadracika wielkości znaczka pocztowego, który majaczył nad jego głową.
— Miękkie lądowanie, możecie skakać!

Ron skoczył i wylądował tuż obok niego.

— Z czego to jest? — zapytał, gdy odzyskał oddech.

— Nie wiem, to chyba jakaś roślina. Myślę, że jest tutaj, żeby złagodzić upadek. Hermiono, skacz!

Odległe tony fletu nagle ucichły. Usłyszeli głośne szczerzenie, ale Hermiona zdążyła skoczyć. Wylądowała z

drugiej strony Harry'ego.

— Musimy być gdzieś bardzo głęboko pod szkołą — powiedziała.

— Dobrze, że to coś tu rośnie — zauważył Ron.

— Dobrze? — wrzasnęła Hermiona. — Popatrzcie na siebie!

Zerwała się na nogi i przywarła do wilgotnej ściany. Nie przyszło to jej łatwo, bo w tej samej chwili, gdy wylądowała, roślina zaczęła oplatać jej nogi grubymi pędami. Harry i Ron byli już uwięzieni — łądygi oplotły im nogi tak mocno, że zaczęły drętwieć.

Hermionie udało się uniknąć ich losu tylko dlatego, że w porę to spostrzegła. Teraz patrzyła, przerażona, jak koledzy szamocą się, próbując uwolnić nogi, ale im rozpaczliwiej szarpali za łądygi, tym ciaśniej i mocniej ich oplatały.

— Nie ruszajcie się! — krzyknęła Hermiona. — Wiem co to jest... to diabelskie sidła!

— Och, jak to dobrze, że wiemy, jak to się nazywa, to naprawdę wielka ulga! — warknął Ron, odchylając się, bo złowrogie pędy już sięgały mu szyi.

— Cicho bądź, próbuję sobie przypomnieć przeciwzakęcie!

— No to się pospiesz, nie mogę oddychać! — wysapał Harry, walcząc ze splotem zaciskającym się wokół jego piersi.

— Diabelskie sidła, diabelskie sidła... Co mówiła profesor Sprout?... Ze to lubi ciemność i wilgoć...

— Więc zapal coś! — wykrztusił Harry.

— Tak... no jasne... ale tu nie ma drewna! — krzyknęła Hermiona, wykręcając sobie ręce.

— CZY TY ZWARIOWAŁAŚ? — zawył Ron. — JESTEŚ CZARODZIEJKĄ CZY NIE?

— Och, tak! — powiedziała Hermiona, wyciągnęła różdżkę i machnęła nią, mruczając coś pod nosem. Z różdżki wyleciały niebieskie płomienie, takie same, jakimi kiedyś podpaliła szatę Snape'a. Po chwili obaj chłopcy poczuli, że uścisk

diabelskich łądyg słabnie — kurczyły się i cofały przed światłem i ciepłem. W końcu opadły z nich i byli wolni.

— Całe szczęście, że przykładałaś się do zielarstwa, Hermiono — powiedział Harry, gdy stanął obok niej przy murze, ocierając pot z czoła.

— Tak — dodał Ron — i całe szczęście, że Harry nie stracił głowy w kryzysowej sytuacji... “Tu nie ma drewna”, słowo daję...

— Tędy — rzeki Harry, wskazując na kamienny korytarz. Była to zresztą jedyna droga, którą mogli dokądkolwiek pójść.

Prócz odgłosów własnych kroków słyszeli tylko ciche kapanie wody. Korytarz biegł w dół, co przypomniało Harry’emu wizytę w podziemiach Gringotta. Nie było to miłe wspomnienie, zwłaszcza kiedy pomyślał o smokach strzegących podobno skrytek w skarbcu... Jeśli spotkają smoka, i to dorosłego... Jeśli Norbert był jeszcze mały, to dorosły...

— Słyszycie? — szepnął Ron.

Harry wyteżył słuch. Gdzieś z przodu dochodziły ciche szelesty i jakby pobrzękiwanie.

— Myślisz, że to duch?

— Nie wiem... mnie to przypomina skrzydła...

Doszli do końca korytarza i zobaczyli jasno oświetloną komnatę o wysokim sklepieniu, pełną małych, niezwykle barwnych ptaszków, kłębiących się i wirujących w powietrzu. Po drugiej stronie były ciężkie drewniane drzwi.

— Myślisz, że rzucą się na nas, jak będziemy szli przez komnatę? — zapytał Ron.

— Chyba tak — odpowiedział Harry. — Nie wyglądają zbyt groźnie, ale jeśli rzucą się całą chmarą... No, ale nie mamy wyboru... Biegnę.

Wziął głęboki oddech, zasłonił twarz rękami i pobiegł przez komnatę. Spodziewał się ukłuć ostrych dziobów i pazurów, ale

nic takiego się nie wydarzyło. Dotarł do drzwi bez przeszkód. Nacisnął na klamkę — drzwi były zamknięte.

Po chwili dobiegli do niego Ron i Hermiona. Wszyscy razem napierali na drzwi, ale ani drgnęły, nawet wówczas, kiedy Hermiona użyła zaklęcia Alohomora.

— No i co teraz? — zapytał Ron.

— Te ptaki... przecież nie mogą tu być dla dekoracji — powiedziała Hermiona.

Popatrzyli na ptaki, szybujące ponad ich głowami, połyskujące, podzwaniające cicho w powietrzu... Podzwaniające?.

— To nie ptaki! — krzyknął nagle Harry. — To są klucze! Uskrzydłone klucze... popatrzcie uważnie. To znaczy, że... — Rozejrzał się wokoło, podczas gdy Ron i Hermiona przypatrywali się stadu latających kluczy. — Tak! Popatrzcie! Miotły! Musimy złapać właściwy klucz!

— Ale tu są setki: kluczy!

Ron przyjrzał się uważnie dziurce od klucza.

— Musimy szukać dużego, staroświeckiego... prawdopodobnie srebrnego, jak klamka.

Każde chwyciło miotłę i poderwało się w powietrze, śmigając między rojami skrzydlatych kluczy. Wymachiwali rękami, zakręcali nagle, nurkowali, ale zaklęte klucze umykały tak szybko, że nie można było złapać choćby jednego.

Ale w końcu Harry był szukającym, i to najmłodszym szukającym w tym stuleciu. Miał wrodzony talent dostrzegania tego, czego nie widzieli inni. Po minucie szybowania pośród chmary tęczowych skrzydełek dostrzegł wielki srebrny klucz, który miał jedno skrzydło skrzywione, jakby już ktoś go raz złapał i w pośpiechu wpychał w dziurkę.

— To ten! — zawołał do dwójki przyjaciół. — Ten wielki... tam... nie, tam... z jasnoniebieskimi skrzydłami... z jednej strony pióra są powykrzywiane.

Ron pomknął w kierunku wskazanym przez Harry'ego, rąbnął w sklepienie i o mały włos nie spadł z miotły.

— Musimy go okrążyć! — zawołał Harry, nie spuszczając wzroku ze srebrnego klucza. — Ron, ty od góry...

Hermiono, trzymaj się niżej i nie pozwalaj mu zlecieć w dół... a ja spróbuję go złapać. Dobra, TERAZ!

Ron zanurkował, Hermiona wystrzeliła w górę, a Harry poszybował prosto na klucz, który pofrunął w kierunku ściany. Harry wychylił się i z niezbyt przyjemnym chrzęstem przygwoździł klucz jedną ręką do kamiennego muru. Radosne okrzyki Rona i Hermiony odbiły się echem po wysokiej komnacie.

Szybko wylądowali, a Harry pobiegł do drzwi, ściskając w rękę wrywający się klucz. Wepchnął go szybko do dziurki i przekręcił, a klucz natychmiast wyskoczył i uleciał w powietrze.

— Gotowi? — zapytał Harry z ręką na klamce.

Kiwnęli głowami. Harry otworzył drzwi.

Następna komnata była tak ciemna, że początkowo nic nie widzieli. Jednak kiedy weszli do środka, zapłonęło światło i ich oczom ukazał się zdumiewający widok.

Stali na skraju olbrzymiej szachownicy, za czarnymi figurami, które były większe od nich i wyrzeźbione z czarnego kamienia. Naprzeciw nich, po drugiej stronie komnaty, stały w dwóch rzędach białe figury. Harry emu, Ronowi i Hermionie dreszcz przebiegł po plecach — wysokie figury nie miały twarzy.

— A co teraz zrobimy? — szepnął Harry.

— To przecież jasne, nie? — odpowiedział Ron. — Musimy zagrać i wygrać drogę przez pokój. Za białymi figurami widniały kolejne drzwi.

— Ale jak? — zapytała Hermiona.

— Chyba będziemy musieli sami łązić po szachownicy — powiedział Ron.

Podszedł do czarnego skoczka i wyciągnął rękę, żeby go dotknąć. Koń natychmiast zaczął grzebać kopytami po kamiennej posadzce, a rycerz zwrócił ku Ronowi głowę w przyłbicy.

— Czy mamy... ee... przyłączyć się do was, żeby przejść na drugą stronę?

Czarny rycerz skinął głową. Ron odwrócił się do przyjaciół.

— Zaraz, niech pomyślę... Wydaje mi się, że musimy zastąpić trzy czarne figury...

Harry i Hermiona stali spokojnie, dając mu czas do namysłu. W końcu oznajmił:

— Słuchajcie, nie obrażcie się, ale nie jesteście najlepsi w szachach...

— Dobra, nie obrażamy się — przerwał mu Harry. — Po prostu nam powiedz, co mamy robić.

— No więc tak... Harry, zajmij miejsce tego gońca, a ty, Hermiono, stań na miejscu tej wieży.

— A ty?

— Ja będę skoczkiem.

Figury chyba to usłyszały, bo kiedy skończył, skoczek, goniec i wieża odwróciły się plecami do białych figur i zeszły z szachownicy, pozostawiając trzy puste miejsca dla Harry'ego, Rona i Hermiony.

— Białe zawsze zaczynają — powiedział Ron, zerkając na szachownicę. — Tak... zobaczcie...

Biały pion posunął się do przodu o dwa pola.

Ron zaczął kierować czarnymi figurami. Przenosiły się posłusznie tam, gdzie im polecił. Harry'emu drżały kolana. A jeśli przegrają?

— Harry... przesunij się o cztery pola w prawo.

Pierwszego prawdziwego wstrząsu doznali, kiedy stracili drugiego skoczka. Biała królowa przewróciła go na posadzkę i powlokła poza szachownicę, gdzie został, leżąc twarzą w dół.

— Musiałem na to pozwolić — powiedział Ron, ale minę miał lekko przerażoną. — Hermiono, teraz możesz zbić tego gońca. No, bierz go.

Za każdym razem, gdy zrobili zły ruch, białe były bezlitosne. Wkrótce pod ścianą piętrzył się stos czarnych figur. Dwukrotnie Ron dostrzegł w ostatniej chwili, że Harry i Hermiona są zagrożeni. On sam miotał się po szachownicy, zbijając prawie tyle samo białych figur, ile stracili czarnych.

— Już jesteśmy blisko — mruknął nagle. — Zaraz, niech pomyślę... niech pomyślę...

Biała królowa zwróciła ku niemu oblicze bez twarzy.

— Tak... — powiedział cicho Ron — jest tylko jedno wyjście... muszę dać się zabić.

— NIE! — krzyknęli Harry i Hermiona.

— To są szachy! — szepnął Ron. — Trzeba ponosić ofiary! Zrobię ruch o jedno pole do przodu, ona mnie zbije... a ty, Harry, będziesz mógł zamalować ich króla!

— Ale...

— Chcesz powstrzymać Snape'a czy nie?

— Ron...

— Słuchaj, jeśli się nie pospieszysz, on może wykraść Kamień!

Nie było innego wyjścia.

— Gotów? — zawołał Ron, a twarz mu pobladła. — Idę tutaj... a jak wygracie, nie marudźcie, tylko...

Zrobił krok do przodu, a biała królowa natychmiast się na niego rzuciła i uderzyła go w głowę kamienną ręką. Padł na posadzkę. Hermiona krzyknęła, ale nie ruszyła się ze swojego pola. Biała królowa zwlokła Rona poza szachownicę. Wyglądał, jakby zemdłał.

Harry zrobił trzy kroki w lewo.

Biały król zerwał koronę z głowy i cisnął mu ją pod nogi. Wygrali. Figury rozstały się i skłoniły, pozostawiając im wolną drogę do drzwi. Harry i Hermione rzucili ostatnie rozpaczliwe spojrzenie na Rona i przebiegli przez drzwi do następnej komnaty.

— A jeśli on...

— Nic mu nie będzie — powiedział Harry, starając się przekonać samego siebie. — Co mamy dalej?

— Była już Sprout ze swoimi diabelskimi sidłami, Flitwick musiał zakląć te klucze, McGonagall zaczarowała szachy... to znaczy, że czekają nas zaklęcia Quirrella i Snape'a...

Doszli do kolejnych drzwi.

— W porządku? — szepnął Harry.

— Wchodź.

Harry pchnął drzwi.

Obrzydliwy zapach uderzył ich w nozdrza, aż musieli zakryć twarze szatami. Oczy zaszyły im łzami, ale zdołali zobaczyć na podłodze trolla, jeszcze większego od tego, którego kiedyś spotkali. Leżał jak martwy, z krwawym guzem na czole.

— No dobrze, że nie musimy z nim walczyć — szepnął Harry, kiedy przeszli ostrożnie nad jedną z potężnych nóg. — Szybko, zwiewajmy stąd, bo tracę oddech.

Otworzył następne drzwi i oboje zawahali się, nie wiedząc, co ich czeka za nimi, ale zobaczyli tylko stół, a na nim siedem butelek różnego kształtu, ustawionych w równym rzędzie.

— To robota Snape'a — powiedział Harry. — Co mamy zrobić?

Przekroczyli próg i natychmiast buchnął za nimi ogień, odcinając im powrotną drogę. Był to jednak zwykły ogień: płomienie miały barwę purpury. W tej samej chwili czarne płomienie ogarnęły drzwi w przeciwległej ścianie. Znaleźli się w pułapce.

— Zobacz! — Hermione chwyciła zwój pergaminu leżący obok butelek. Harry zajął jej przez ramię i razem odczytali następujące słowa:

*Groza czyha za wami, a szczęście przed wami,
Dwie z nas wam pomogą, żadna nie omami,
Jedna z siedmiu pozwoli pójść dalej przed siebie,
Inna pozwoli wrócić temu, który jest tu potrzebie,
Dwie z nas kryją zacne wino pokrzywowe,
Trzy truciznę wsączą w serce oraz w głowę.
Wybieraj, jeśli nie chcesz cierpieć tutaj wiecznie,
Oto cztery wskazówki, jak przeżyć bezpiecznie:
Pierwsza: jakkolwiek chytrze trucizna się skrywa,
Jest zawsze z lewej strony tego, co dala pokrzywa;
Druga: różną mają zawartość butelki ostatnie,
Lecz jeśli chcesz iść naprzód, nie pij płynu z żadnej;
Trzecia: różne mają flaszki kształty i wymiary,
Lecz najmniejsza i największa kryją dobre czary;
Czwarta: obie drugie od końca smak podobny mają,
Choć wyglądem całkiem się nie przypominają.*

Hermiona głośno westchnęła, a Harry ze zdumieniem zobaczył uśmiech na jej twarzy.

— Wspaniale — powiedziała. — To nie jest magia, to logika. Zwykła zagadka. Wielu najpotężniejszych czarodziejów nie ma pojęcia o logice. Dla nich to pułapka bez wyjścia.

— A dla nas nie?

— Oczywiście, że nie. Mamy tu wszystko, czego nam potrzeba. Siedem butelek: w trzech jest trucizna, w dwóch wino, jedna przeprowadzi nas bezpiecznie przez czarny ogień, a jedna cofnie nas do ognia purpurowego.

— Ale skąd mamy wiedzieć, którą wypić?

— Daj mi minutę.

Hermiona przeczytała tekst kilka razy. Potem przeszła tam i z powrotem wzdłuż stołu, mrucząc coś do siebie i wskazując palcem na różne butelki. W końcu klasnęła w dłonie.

— Mam — oznajmiła. — Najmniejsza butelka przeprowadzi nas przez czarny ogień, do Kamienia. Harry spojrzał na mały flakonik.

— Tego płynu jest tak mało, że wystarczy tylko dla jednej osoby. Zaledwie jeden mały łyżeczek. Popatrzyli po sobie.

— A która pozwoli przejść z powrotem przez purpurowe płomienie?

Hermiona wskazała na pękatą butelkę, ostatnią po prawej stronie.

— Wypijesz to — rzekł Harry. — Tak, posłuchaj mnie. Wróc i zajmij się Ronem. Weźcie miotły z komnaty z uskrzydłonymi kluczami. Pozwolą wam unieść się tym szybem aż do kłapy w podłodze i przelecieć nad Puszką. Potem lećcie prosto do sowiarni i wyślijcie Hedwigę do Dumbledore'a. Potrzebujemy jego pomocy. Może mi się uda powstrzymać Snape'a przez pewien czas, ale chyba nie na długo. Nie mogę z nim się równać.

— Ale, Harry... a jeśli jest z nim Sam—Wiesz—Kto?

— No cóż... Raz już miałem szczęście — odpowiedział Harry, wskazując na swoją bliznę. — Może dopisze mi i tym razem.

Hermionie drżały wargi. Nagle podskoczyła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Hermiono!

— Harry... wiesz, jesteś naprawdę wielkim czarodziejem.

— Ty jesteś o wiele lepsza — powiedział Harry, bardzo zmieszany, kiedy go puściła.

— Ja! Książki! I trochę inteligencji! Są ważniejsze rzeczy... przyjaźń i męstwo... i... och, Harry... bądź ostrożny!

— Ty wypij pierwsza — rzekł Harry. — Jesteś pewna, która jest która, tak?

— Oczywiście.

Łyknęła zdrowo z pękatej butelki i wstrząsnęła się.

— To nie była trucizna? — zapytał Harry z niepokojem.

— Nie... ale przypomina lód.

— Szybko, idź, bo to może działać krótko.

— Powodzenia... bądź ostrożny...

— IDŹ!

Hermiona odwróciła się i przeszła przez purpurowe płomienie.

Harry wziął głęboki oddech i podniósł mały flakonik. Stał twarzą do czarnych płomieni.

— No to idę — powiedział i jednym łykiem wypił zawartość.

Poczuł się rzeczywiście tak, jakby krew zamieniła mu się w lód. Odstawił flakonik i ruszył naprzód; zobaczył, jak czarne płomienie liżą mu ciało, ale ich nie czuł — przez chwilę nie widział nic prócz ciemnego ognia — i oto był już po drugiej stronie, w ostatniej komnacie.

Ktoś już tam był, ale nie był to Snape. I nie był to nawet Voldemort.

ROZDZIAŁ

SIEDEMNASTY

CZŁOWIEK

O DWÓCH TWARZACH



Był to Quirrell.

— To pan? — krzyknął Harry zduszonym głosem. Quirrell uśmiechnął się.

— Tak, to ja — powiedział spokojnie. — Zastanawiałem się, czy spotkamy się tutaj, Harry Potterze.

— A ja myślałem, że... Snape...

— Severus? — Quirrell roześmiał się, ale tym razem nie był to jego zwykły nerwowy chichot, ale krótki, zimny i ostry śmiech. — Tak, Severus wygląda na takiego, prawda? Nieźle mieć takiego Severusa, który krąży po szkole jak wyrośnięty nietoperz. Kto by mógł podejrzewać tego b—b—biednego j—j—jąkałę, p—profesora Quirrella?

Harry nie mógł w to uwierzyć. To nie może być prawda, to jakiś podstęp albo żart.

— Ale Snape próbował mnie zabić!

— Nie, nie. To ja próbowałem cię zabić. Twoja przyjaciółka, panna Granger, zupełnie przypadkowo wpadła na mnie, kiedy biegła, żeby podpalić Snape'owi szatę. No wiesz, na tym meczu quidditcha. Przerwała mój kontakt wzrokowy z tobą. A już tak niewiele brakowało! Jeszcze parę sekund, a strąciłbym cię z miotły. Udałoby mi się to wcześniej, gdyby Snape nie mruczał przeciwzaklęć, żeby cię uratować.

— Snape próbował mnie uratować^

— Oczywiście — powiedział Quirrell chłodnym tonem. — A jak myślisz, dlaczego chciał sędziować w następnym meczu? Tylko dlatego, żeby się upewnić, że nie zrobię tego po raz drugi. Śmieszne, doprawdy... I tak bym nic nie zrobił, bo na widowni był Dumbledore. A wszyscy inni nauczyciele myśleli, że Snape chce odebrać Gryfonom zwycięstwo! Nie przysporzyło mu to popularności... I po co to całe marnotrawstwo czasu, skoro i tak zabiję cię tej nocy? Quirrell strzelił palcami. W powietrzu pojawiły się grube sznury, które oplotły całe ciało Harry'ego.

— Jesteś za bardzo wścibski, Potter. Tacy długo nie pożyją. I po co włóczyłeś się po szkole w Noc Duchów? Musiałeś mnie zobaczyć na trzecim piętrze?

— To pan wpuścił tego trolla?

— Oczywiście. Trolle to moja specjalność. Chyba widziałeś, jak urządziłem tego tam, w komnacie? Niestety, kiedy wszyscy biegali jak opętani po całym zamku, szukając trolla, Snape, który już zaczął mnie podejrzewać, poszedł prosto na trzecie piętro i przeszkodził trollowi zatłuc cię na śmierć. No i ten głupi trójgłowy pies... Nie udało mu się odgryźć Snape'owi nogi, a powinien to zrobić gładko. A teraz, Potter, siedź spokojnie. Muszę najpierw zbadać to interesujące zwierciadło.

Dopiero teraz Harry spostrzegł, co znajduje się za Quirrellem. Było to Zwierciadło Ain Eingarp.

— To lustro jest kluczem do odnalezienia Kamienia — mruknął Quirrell, przyglądając się uważnie ramie zwierciadła. — Ze też ten Dumbledore coś takiego wymyślił... No, ale nasz kochany dyrektor jest w Londynie... Kiedy wróci, ja będę już daleko.

Jedyne, co przyszło Harry'emu do głowy, to odwrócenie uwagi Quirrella od zwierciadła.

— Widziałem ciebie i Snape'a w puszczy — wybełkotał.

— Zgadza się — rzekł beztrąsko Quirrell, obchodząc lustro, by przyjrzeć się, co jest z tyłu. Śledził mnie, próbując odkryć, jak daleko się posunąłem. Przez cały czas mnie podejrzewał. Chciał mnie nastraszyć... Mnie, który ma po swojej stronie lorda Voldemorta!...

Wyszedł zza lustra i wpatrzył się w nie pożądlwym wzrokiem.

— Widzę Kamień... przekazuję go mojemu panu i mistrzowi... ale gdzie on jest?

Harry nateżył wszystkie mięśnie, ale sznury nie puszczały. Musi odwrócić uwagę Quirella od lustra... Quirrell nie może się skupić...

— Ale przecież Snape sprawiał wrażenie, że mnie nienawidzi.

— Och, tak... Trudno powiedzieć, by darzył cię sympatią. Był w Hogwarcie razem z twoim ojcem, nie wiedziałeś o tym? Nie znosili się. No, ale nigdy nie życzył ci śmierci.

— Parę dni temu słyszałem, jak pan szlocha ze strachu... myślałem, że Snape panu grozi...

Po raz pierwszy przez twarz Quirella przemknął cień strachu.

— Czasami — powiedział — posłuszeństwo mojemu panu i mistrzowi sprawia mi... ee... pewną trudność... To wielki czarodziej, a ja jestem słaby i...

— To znaczy, że to on był z panem w tej pustej klasie?

— On jest ze mną wszędzie — odpowiedział cicho Quirrell. — Spotkałem go, kiedy podróżowałem dookoła świata. Byłem wtedy głupim młokosem, miałem zupełnie śmieszne poglądy na dobro i zło. Lord Voldemort pokazał mi, jak bardzo się myliłem. Nie ma czegoś takiego, jak dobro i zło, jest tylko władza i potęga... I mnóstwo ludzi zbyt słabych, by osiągnąć władzę i potęgę... Od tego czasu służyłem mu wiernie, choć nie była to łatwa służba. Był wobec mnie bezlitosny — tu

zadrzał nagle — i chwiała mu za to. Błędów łatwo nie wybaczał. Kiedy nie udało mi się wykraść Kamienia z podziemi Gringotta, był bardzo niezadowolony. Ukarał mnie... postanowił, że odtąd będzie mnie pilnował...

Harry przestał go słuchać. Przypomniał sobie swoją wyprawę na ulicę Pokątną... Jak mógł być takim głupcem? Przecież widział tam Quirrella, sam ścisnął mu rękę w Dziurawym Kotle!

Quirrell zaklął pod nosem.

— Nie rozumiem... Czyżby Kamień był wewnątrz lustra? Może powinienem je rozbić?

W głowie Harry'ego trwała rozpaczliwa gonitwa myśli.

W tej chwili pragnę tylko jednego, pomyślał, znaleźć Kamień przed Quirrellem. Więc jeśli spojrzę w lustro, ujrzę siebie, szukającego Kamienia... a to oznacza, że zobaczę, gdzie jest ukryty! Tylko... jak spojrzeć w lustro, żeby Quirrell nie zorientował się, co chcę zrobić?

Spróbował przesunąć się w lewo, dostać się jakoś przed lustro, ale tak, żeby Quirrell tego nie zauważył. Sznury oplatające mu nogi w kostkach były jednak zaciśnięte tak mocno, że zdołał tylko przesunąć się o kilkanaście centymetrów i przewrócił się. Quirrell nie zwracał na niego uwagi. Wciąż mówił sam do siebie.

— Co to lustro robi? Jak działa? Pomóż mi, mistrzu! I nagle, ku przerażeniu Harry'ego, rozległ się głos, który zdawał się wychodzić z samego Quirrella.

— Użyj chłopca... Użyj chłopca... Quirrell odwrócił się do Harry'ego.

— Tak... Potter... chodź tutaj.

Klasnął w dłonie, a sznury natychmiast opadły. Harry podniósł się.

— Chodź tutaj — powtórzył Quirrell. — Spójrz w lustro i powiedz mi, co widzisz.

Harry podszedł do niego.

Muszę kłamać, myślał gorączkowo. Muszę patrzeć w lustro i mówić, że widzę coś innego.

Quirrell stanął tuż za nim. Harry poczuł dziwny zapach, który zdawał się wydobywać z jego turbana. Zamknął oczy, zrobił jeszcze dwa kroki w kierunku lustra i otworzył oczy.

Najpierw ujrzał swoje odbicie, blade i przerażone. Jednak w chwilę później odbicie uśmiechnęło się do niego, włożyło rękę do kieszeni i wyjęło czerwony kamień. Potem wyraźnie mrugnęło i włożyło kamień z powrotem do kieszeni, a kiedy to zrobiło, Harry poczuł, że coś ciężkiego wpadło do jego prawdziwej kieszeni. Trudno mu było w to uwierzyć, ale w jakiś sposób zdobył Kamień Filozoficzny.

— No i co? — zapytał niecierpliwie Quirrell. Harry zebrał w sobie całą odwagę.

— Widzę siebie ściskającego dłoń Dumbledore'a — wymyślił naprędce. — Ja... ja zdobyłem Puchar Domów dla Gryffindoru.

Quirrell znowu zaklął.

— Odejdź — powiedział.

Harry odsunął się na bok i poczuł Kamień na swoim udzie. Czy uda mu się z nim uciec?

Nie zdążył jednak zrobić nawet pięciu kroków, kiedy piskliwy głos przemówił ponownie, choć Quirrell nie poruszył wargami.

— On kłamie... On kłamie...

— Potter, wracaj! — krzyknął Quirrell. — Powiedz mi prawdę! Co tam zobaczyłeś? Głos znowu przemówił.

— Ja z nim porozmawiam... twarzą w twarz...

— Mistrzu, nie jesteś dość silny!

— Mam dość siły... do tego...

Harry poczuł, jakby diabelskie sidła oplotły mu nogi. Nie mógł poruszyć żadnym mięśniem. Sparaliżowany, patrzył, jak

Quirrell podnosi ręce i zaczyna rozwijać swój turban. Co to znaczy? Turban spadł na podłogę. Bez niego Quirrell wydał się nagle śmiesznie mały. A potem powoli się odwrócił.

Harry byłby wrzasnął, ale nie mógł wydać żadnego dźwięku. Tam, gdzie powinien być tył głowy Quirrella, ujrzał twarz — najstraszniejszą twarz, jaką widział w życiu. Była kredowobiała, miała okropne czerwone oczy i szparki zamiast nosa, jak wąż.

— Harry Potterze... — wyszeptała twarz. Harry chciał się cofnąć, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— Widzisz, co ze mnie zostało? — zapytała twarz. — Zaledwie cień i mgła... Pojawiam się tylko wtedy, gdy mogę wstąpić w czyjeś ciało... ale zawsze byli i są tacy, co użyczają mi swoich serc i umysłów... Krew jednoroźca trochę mnie wzmocniła... na parę tygodni... widziałeś, jak Quirrell pił ją dla mnie w puszczy... Lecz kiedy zdobędę Elikسير Życia, stworzę sobie nowe ciało... własne... A teraz... dlaczego nie oddajesz mi Kamienia, który spoczywa w twojej kieszeni?

A więc wiedział. Harry nagle odzyskał czucie w nogach. Cofnął się.

— Nie bądź głupcem — warknęła twarz. — Lepiej uratuj własne życie i przyłącz się do mnie... bo inaczej skończysz tak, jak twoi rodzice... Umarli, błagając mnie o litość...

— KŁAMCA! — krzyknął nagle Harry. Quirrell szedł ku niemu tyłem, tak, aby Voldemort wciąż go widział. Upiorna twarz uśmiechała się szyderczo.

— Jakie to wzruszające... — syknęła. — Zawsze ceniłem męstwo... Tak, chłopcze, twoi rodzice byli dzielni... Najpierw zabiłem twojego ojca, walczył odważnie do końca... ale twoja matka wcale nie musiała umrzeć... próbowała cię ochronić... A teraz oddaj mi Kamień, chyba że chcesz umrzeć na próżno.

— NIGDY!

Harry skoczył ku ognistym drzwiom.

— ŁAP GO! — krzyknął Voldemort i w następnej chwili Harry poczuł na swoim przegubie stalowy uścisk ręki Quirrella. Igła ostrego bólu przeszła mu czoło i sięgnęła mózgu. Zawył z bólu i z całej siły szarpnął uwięzioną ręką. Ku swojemu zaskoczeniu poczuł, że Quirrell go puścił. Ból w głowie zelżał. Rozejrzał się nieprzytomnie, szukając wzrokiem Quirrella — ten kulił się w kącie, przyglądając się swoim palcom, które pokryły się bąblami.

— Złap go! ZŁAP GO! — krzyknął Voldemort, a Quirrell rzucił się całym ciężarem na Harry'ego, zbijając go z nóg. Leżąc na posadzce, Harry znowu poczuł uścisk rąk Quirrella, tym razem na szyi, a ból w czole prawie go oślepił, lecz nie na tyle, by nie dostrzegł grymasu bólu na twarzy przeciwnika.

— Mistrzu! — zawył Quirrell — nie mogę go utrzymać... moje ręce... moje ręce...

I chociaż nadal przygważdżał go do podłogi kolanami, puścił jego szyję i spojrzał na swoje dłonie — jakby poparzone do żywej kości i jaśniejące.

— A więc zabij go, głupcze, skończ z nim raz na zawsze! — zaskrzeczał Voldemort.

Quirrell uniósł rękę, by rzucić śmiertelne zaklęcie, lecz Harry instynktownie złapał go obiema dłońmi za twarz...

— Aauuu!

Quirrell stoczył się z niego, a jego twarz również pokryły bąble. Harry zrozumiał: Quirrell nie mógł znieść dotyku jego skóry, bo sprawiało mu to straszliwy ból. I natychmiast dostrzegł w tym swoją jedyną szansę.

Zerwał się na nogi i złapał go mocno za rękę. Quirrell wrzasnął i zaczął się z nim szamotać — w głowie Harry'ego narastał ból — już go oślepił — słyszał tylko wrzaski Quirrella i wycie Voldemorta: "ZABIJ GO! ZABIJ GO!", i jeszcze jakieś inne głosy, może wewnątrz głowy, wołające: "Harry! Harry!"

Poczuł, że Quirrell wyrywa rękę z jego uścisku, że wszystko jest stracone... i zaczął się zapadać w ciemność... w dół... coraz niżej... i niżej...

Coś złotego błysnęło mu nad głową. Znicz! Chciał go złapać, ale ręce miał jak z ołowiu.

Zamrugął. To wcale nie był znicz. To para okularów. Jakie to dziwne.

Znowu zamrugął. Pojawiła się uśmiechnięta twarz Albusa Dumbledore'a.

— Dobry wieczór, Harry.

Harry wytrzeszczył oczy. A potem sobie przypomniał.

— Panie profesorze! Kamień! To był Quirrell! Zdobył Kamień! Panie profesorze, szybko...

— Uspokój się, kochany chłopcze, masz trochę przestarzałe wiadomości. Quirrell nie ma Kamienia.

— Więc kto go ma? Panie pro...

— Harry, uspokój się, proszę, bo pani Pomfrey zaraz mnie stąd wyrzuci.

Harry przełknął ślinę i rozejrzał się. Zdał sobie sprawę, że musi być w skrzydle szpitalnym. Leżał w łóżku, w białej pościeli, a obok stał stolik, zastawiony czymś, co przypominało wystawę sklepu ze słodyczami.

— To prezenty od twoich przyjaciół i wielbicieli — powiedział rozpromieniony Dumbledore. — To, co się wydarzyło w podziemiach, jest ścisłą tajemnicą, więc, oczywiście, wie o tym cała szkoła. Przypuszczam, że to twoi przyjaciele, panowie Fred i George Weasleyowie są odpowiedzialni za próbę przysłania ci tutaj sedesu. Zapewne uważali, że to cię rozbawi. Pani Pomfrey uznała to jednak za sprzeczne z wymogami higieny i skonfiskowała ów dar.

— Jak długo tu jestem?

— Trzy dni. Pan Ronald Weasley i panna Granger bardzo się ucieszą, że odzyskałeś świadomość. Bardzo się o ciebie

niepokoiłi.

— Ale, panie profesorze... Kamień...

— Widzę, że trudno zająć twoją uwagę czym innym. No więc dobrze. Profesorowi Quirrellowi nie udało się odebrać ci Kamienia. Przybyłem na czas, żeby temu przeszkodzić, chociaż muszę przyznać, że sam radziłeś sobie zupełnie nieźle.

— Pan tam był, panie profesorze? Dostał pan wiadomość przez sowę Hermiony?

— Musieliśmy się minąć w powietrzu. Jak tylko dotarłem do Londynu, zaraz zrozumiałem, że powinienem być w miejscu, które dopiero co opuściłem. Zdażyłem wrócić i ściągnąć z ciebie Quirrella...

— To był pan.

— Bałem się, że przybędę za późno.

— Mało brakowało... Czułem, że już dłużej nie wytrzymam... że odbierze mi Kamień...

— Ten wysiłek prawie odebrał ci życie. Przez chwilę myślałem, że już to się stało. A jeśli chodzi o Kamień, to został zniszczony.

— Zniszczony? — powtórzył Harry. — Przecież pana przyjaciół... Nicolas Flamel...

— Wiesz o Nicolasie? — zdziwił się Dumbledore. — No, no, naprawdę nieźle się spisałeś. Wszystko jak należy. No cóż, uciałem sobie z Nicolasem małą pogawędkę i zgodziliśmy się, że tak będzie najlepiej.

— Ale to oznacza, że on i jego żona umrą...

— Mają dość Elixiru Życia, żeby pozabawić swoje sprawy, a potem... tak, umrą.

Dumbledore uśmiechnął się na widok zdumienia na twarzy Harry'ego.

— Komuś tak młodemu, jak ty może to wydać się niewiarygodne, ale dla Nicolasa i Perenelli to coś takiego, jak położyć się do łóżka po długim, bardzo długim dniu.

Ostatecznie dla należycie zorganizowanego umysłu śmierć to tylko początek nowej wielkiej przygody. A ten Kamień... cóż, to wcale nie była taka wspaniała rzecz. Sam pomyśl: tyle pieniędzy i lat życia, ile zechcesz! Dwie rzeczy, których ludzkie istoty pragną najbardziej... Tylko że ludzie mają wrodzony talent do wybierania właśnie tego, co dla nich najgorsze.

Harry leżał cicho, pogrążony w myślach. Dumbledore mruczał coś pod nosem i wpatrywał się w sufit.

— Panie profesorze — zaczął Harry. — Tak sobie myślę... Nawet jeśli nie ma już Kamienia, to jednak Vol... to znaczy Sam—Wiesz—Kto...

— Nazywaj go Voldemortem, Harry. Zawsze nazywaj rzeczy po imieniu. Strach przed imieniem wzmacnia strach przed samą rzeczą.

— Tak, panie profesorze. No więc Voldemort może próbować innych sposobów, żeby wrócić, prawda? To znaczy... on nie zginął, tak?

— Tak, Harry, on nie zginął. Nadal gdzieś jest. Może szuka innego ciała, żeby w nie wstąpić... Nie jest do końca żywy, więc nie można go zabić. Pozostawił Quirrella, pozwolił mu umrzeć; swoim zwolennikom okazuje tyle samo zmiłowania, co wrogom. Niemniej, Harry, pamiętaj, że jeśli nawet udało ci się opóźnić odzyskanie przez niego mocy, trzeba będzie kogoś innego, kogoś, kto jest gotów walczyć z nim następnym razem, choć i jemu walka będzie się wydawała beznadziejna, tak jak tobie... a jeśli znowu uda się pokrzyżować plany Voldemorta... i znowu... może w końcu już nigdy nie odzyska dawnej mocy.

Harry pokiwał głową, ale natychmiast tego pożałował. A potem powiedział:

— Panie profesorze, jest jeszcze wiele innych rzeczy, o których chciałbym się dowiedzieć... prawdy...

— Prawdy — westchnął Dumbledore. — Prawda to cudowna i straszliwa rzecz, więc trzeba się z nią obchodzić

ostrożnie. Odpowiem jednak na twoje pytania, chyba iż uznam, że istnieją rozsądne powody, by odpowiedzi nie udzielić. I proszę cię z góry, żebyś mi wówczas wybaczył. Oczywiście nie będę kłamał.

— No więc... Voldemort powiedział, że zabił moją matkę tylko dlatego, że próbowała go powstrzymać, aby mnie nie zabił. Ale dlaczego chciał zabić właśnie mnie?

Dumbledore westchnął po raz drugi.

— Niestety, na pierwsze pytanie, które mi zadałeś, nie mogę ci odpowiedzieć. Nie dzisiaj. Nie teraz. Kiedyś się tego dowiesz... a teraz przestań o tym myśleć. Kiedy będziesz starszy... wiem, że przykro ci tego słuchać... ale dowiesz się wszystkiego, kiedy będziesz na to przygotowany. Harry zrozumiał, że nie powinien nalegać.

— Ale dlaczego Quirrell nie mógł mnie dotknąć?

— Twoja matka oddała za ciebie życie. Jedyłą rzeczą, której Voldemort nie potrafi zrozumieć, jest miłość. Nie wiedział, że tak wielka miłość pozostawia wieczny ślad. Nie bliznę, nie znak widzialny... Jeśli ktoś kocha nas aż tak bardzo, to nawet jak odejdzie na zawsze, jego miłość będzie nas zawsze chronić. Ta miłość jest w twojej skórze. Quirrell, pełen nienawiści, żądz i ambicji, dzielący ciało i duszę z Voldemortem, nie mógł cię dotknąć właśnie dlatego. Mękę sprawiało mu samo dotknięcie kogoś naznaczonego czymś tak dobrym.

Dumbledore zainteresował się nagle jakimś ptaszkiem, który przysiadł na parapecie, co pozwoliło Harry'emu otrzeć łzy prześcieradłem.

— A ten płaszcz, sprawiający, że jest się niewidzialnym? — zapytał, kiedy odzyskał głos. — Wie pan, kto mi go przysłał?

— Ach... tak się zdarzyło, że twój ojciec zostawił go mnie, a ja pomyślałem, że może ci się przydać. — W oczach Dumbledore'a pojawiły się wesołe błyski. — Bardzo użyteczna

rzecz... Twój ojciec zakładał go najczęściej po to, żeby zakradać się do kuchni, kiedy tu był.

— I jest jeszcze coś...

— Wal śmiało.

— Quirrell i Snape...

— Profesor Snape, Harry.

— Tak, on... Quirrell powiedział, że Snape mnie nienawidzi, bo nienawidził mojego ojca. Czy to prawda?

— No, raczej się nie lubili. Ale chyba nie tak, jak ty i pan Malfoy. A twój ojciec zrobił coś, czego Snape nie mógł mu wybaczyć.

— Co?

— Uratował mu życie.

— Co?

— Tak... — powiedział Dumbledore, jakby się nad czymś zastanawiał. — To śmieszne, jak działają ludzkie umysły, prawda? Profesor Snape nie mógł znieść myśli, że ma dług wdzięczności wobec twojego ojca... Myślę, że właśnie dlatego tak się starał, żeby cię ochronić w tym roku, bo czuł, że to w jakiś sposób wyrównuje ten dług. A potem mógłby już spokojnie nienawidzić twojego ojca...

Harry starał się to zrozumieć, ale znowu rozboleła go głowa, więc zrezygnował.

— Panie profesorze, jeszcze jedno...

— Tylko jedno?

— W jaki sposób Kamień znalazł się w mojej kieszeni?

— Ach, cieszę się, że o to zapytałeś. To jeden z moich bardziej udanych pomysłów, a między nami mówiąc, coś z tego wynika. Widzisz, Kamień mógł się dostać tylko w ręce kogoś, kto go chciał znaleźć — znaleźć, a nie wykorzystać, bo inaczej zobaczyłby w lustrze nie Kamień, ale samego siebie wytwarzającego złoto albo pijącego Elixir Życia. Niezły pomysł, co? Nawet mnie samego mój mózg czasami

zaskakuje... No, ale dość pytań. Radzę ci zabrać się do tych słodyczy. Ach! Fasolki wszystkich smaków Bertiego Botta! W młodości miałem pecha, natrafiając na fasolkę o smaku wymiocin i od tego czasu raczej za nimi nie przepadam... ale ten kolor to chyba toffi, co?

Uśmiechnął się i włożył do ust złotobrazową fasolkę, po czym zakrzuszył się i wymamrotał:

— Niestety! Woszczyzna z uszu!

Pani Pomfrey, pielęgniarka, była miłą kobietą, ale bardzo zasadniczą.

— Tylko pięć minut — błagał Harry.

— Wykluczone.

— Wpuściła pani profesora Dumbledore'a...

— Oczywiście, jest przecież dyrektorem, to całkiem co innego. Potrzebujesz odpoczynku.

— Odpoczywam, leżę spokojnie, naprawdę. Och, pani Pomfrey, proszę...

— No dobrze. Ale tylko pięć minut. I pozwoliła wejść Ronowi i Hermionie.

— Harry!

Harry odniósł wrażenie, że Hermiona chce rzucić mu się na szyję, ale na szczęście w porę się opamiętała, bo jego głowa ciężko by to zniosła.

— Och, Harry, już myśleliśmy, że... Dumbledore tak się niepokoił...

— Cała szkoła o niczym innym nie mówi — rzekł Ron. — Co się naprawdę stało?

Była to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy prawdziwa relacja jest jeszcze bardziej dziwna i ekscytująca niż najdziwsze pogłoski. Harry opowiedział im wszystko: o Quirrellu, o zwierciadle, o Kamieniu, o Voldemorcie. Ron i Hermiona byli wdzięcznymi słuchaczami: dech im zapierało

we właściwych momentach, a kiedy Harry powiedział, kto był pod turbanem Quirrella, Hermiona aż zapiszczała.

— Więc Kamień przepadł na zawsze? — westchnął w końcu Ron. — I Flamel po prostu umrze?

— Ja też się zmartwiłem, ale Dumbledore uważa, że... zaraz, jak to było... “dla należycie uporządkowanego umysłu śmierć jest tylko początkiem nowej wielkiej przygody”.

— Zawsze mówiłem, że on jest trochę stuknięty — powiedział Ron, sprawiając wrażenie, jakby nim jednak wstrząsnęło, że aż tak bardzo.

— A co było z wami? — zapytał Harry.

— Ja wróciłam bez przeszkód — odpowiedziała Hermiona. — Doprowadziłam Rona do stanu używalności... trochę to trwało... pobiegliśmy do sowiarni, żeby przesłać wiadomość, ale spotkaliśmy Dumbledore’a w sali wejściowej... już wiedział... bo powiedział tylko: “Harry już tam jest, tak?” i popędził na trzecie piętro.

— Myślisz, że on chciał, żebyś to zrobił? — zapytał Ron.

— Przecież przysłał ci tę pelerynę—niewidkę i w ogóle.

— No wiecie — wybuchnęła Hermiona — jeśli tak było... to znaczy... to okropne... mogłeś zginąć.

— Nie, to nie tak — powiedział Harry z namysłem.

— To dziwny facet, ten Dumbledore. Myślę, że chciał mi dać szansę. Chyba wiedział, co się tutaj dzieje. Wiedział, co zamierzamy zrobić i zamiast nas powstrzymać, pomagał nam, żebyśmy potrafili tego dokonać. Uczył nas. To nie był przypadek, że pozwolił mi odkryć, jak działa to lustro. Jakby uważał, że mam prawo zmierzyć się z Voldemortem, jeśli tylko zdołam...

— Taak, Dumbledore to stuknięty facet, zgadza się — stwierdził Ron, jakby chciał powiedzieć: “przecież mówiłem”.

— Słuchaj, Harry, musisz do jutra wyzdrowieć. No wiesz, jest zakończenie roku. Ślizgoni wygrali, to jasne... nie zagrałeś w

ostatnim meczu quidditcha i Krukoni nas rozgromili... ale żarcie będzie ekstra.

W tym momencie wpadła pani Pomfrey.

— Siedzicie tu już od piętnastu minut, a teraz WYNOCHA — oświadczyła stanowczo.

* * *

Harry przespał mocno całą noc i rano czuł się już zupełnie dobrze.

— Chcę iść na ucztę — powiedział pani Pomfrey, kiedy już poustawiała porządnie wszystkie pudła ze słodyczami. — Będę mógł, prawda?

— Profesor Dumbledore mówi, że mam ci na to pozwolić — odpowiedziała z przekąsem, jakby uważała, że profesor Dumbledore nie zdaje sobie sprawy z ryzyka takiej decyzji. — I masz gościa.

— Och, wspaniale. Kto to taki?

Zanim skończył mówić, przez drzwi przecisnął się Hagrid. Jak zwykle w każdym wnętrzu, tak i tutaj wyglądał, jakby był o wiele za duży. Usiadł obok Harry'ego, spojrzał na niego i zalał się łzami.

— To wszystko... moja... sakramencka... wina! — załkał, ukrywając twarz w dłoniach. — Powiedziałem tej odnodze piekła, jak uśpić Puszka! Sam mu powiedziałem! Tylko tego nie wiedział, a ja mu powiedziałem! Ja sam! Mogłeś umrzeć! Przeze mnie! Wszystko przez to jajo smoka! Już nigdy nie wypiję ani kropelki! Powinni mnie wywalić na zbity pysk i kazać żyć wśród mugoli!

— Hagridzie! — Harry był wstrząśnięty tym wybuchem żalu i skruchy, a także widokiem strumieni łez znikających w gęstej brodzie. — Hagridzie, przecież on i tak by do tego jakoś

doszedł, w końcu mówimy o Voldemorcie, odkryłby to sam, nawet gdybyś mu nie powiedział.

— Mogłeś umrzeć! — zawył Hagrid. — I nie wypowiadaj tego imienia!

— VOLDEMORT! — ryknął Harry i to Hagridem tak wstrząsnęło, że przestał szlochać. — Zmierzyłem się z nim i nazywam go po imieniu! Głowa do góry, Hagridzie, uratowaliśmy Kamień, już go nie ma, Voldemort nie może go użyć. Weź czekoladową żabę, mam ich mnóstwo...

Hagrid wytarł nos ręką i powiedział:

— To mi o czymś przypomniało. Mam dla ciebie prezent.

— Ale to nie jest kanapka z mięsem gronostaja? — zapytał z niepokojem Harry, czym w końcu zmusił Hagrida do cichego chichotu.

— Nie. Dumbledore dał mi wczoraj dzień wolny, żebym mógł to zrobić. Mógł mnie wylać, a jednak... no... tego... masz.

Wyciągnął coś, co wyglądało jak ładna, oprawiona w skórę książka. Harry otworzył ją z ciekawością. W środku było pełno czarodziejskich fotografii. Z każdej strony uśmiechali się i machali do niego rękami jego rodzice.

— Wysłałem sowy do wszystkich kolegów szkolnych twoich starych, prosiłem o zdjęcia... wiedziałem, że nie masz ani jednego... podoba ci się?

Harry nie był w stanie wypowiedzieć słowa, ale Hagrid to zrozumiał.

Wieczorem Harry zszedł na dół na uroczyste zakończenie roku. Pani Pomfrey marudziła tak długo, osłuchując go, opukując i zaglądając w oczy i do gardła, że kiedy wszedł do Wielkiej Sali, wszyscy już tam byli. Sala była udekorowana na zielono i srebrno — barwy Slytherinu. Ślizgoni zdobyli puchar domów po raz siódmy z rzędu. Nad stołem nauczycielskim wisiał olbrzymi transparent z ich godłem, srebrnym wężem.

Kiedy Harry wszedł, rozległy się zduszone okrzyki, potem zaległa cisza, a po chwili wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Usiadł na swoim miejscu przy stole Gryfonów, między Ronem a Hermioną, i starał się nie zauważać, że ludzie wstawali, by go lepiej widzieć.

Na szczęście po chwili wkroczył Dumbledore. Gwar podnieconych głosów ucichł.

— Minał jeszcze jeden rok! — zaczął Dumbledore wesołym głosem. — Jeszcze jeden rok dobiegł końca, a ja muszę was trochę pomęczyć ględzeniem staruszka, zanim wszyscy zatopimy zęby w tych wybornych potrawach. Cóż to był za rok! Na szczęście wasze głowy są teraz trochę mniej puste niż na początku... i macie całe lato na opróżnienie ich przed początkiem następnego roku... A teraz, jak mi się wydaje, muszę przejść do ogłoszenia wyników waszego współzawodnictwa. Oto jak się przedstawia tabela: czwarte miejsce zajmuje Gryffindor, trzysta dwanaście punktów, trzecie Hufflepuff, trzysta pięćdziesiąt dwa punkty, Ravenclaw ma czterysta dwadzieścia sześć punktów, a Slytherin czterysta siedemdziesiąt dwa.

Przez stół Ślizgonów przewaliła się burza oklasków, wrzasków i głośnego tupania. Harry zobaczył, jak Draco Malfoy wali swoim pucharem w stół. To było straszne.

— Tak, tak, dobrze się spisaliście, Ślizgoni — rzekł Dumbledore. — Trzeba jednak wziąć pod uwagę ostatnie wydarzenia.

W sali zaległa cisza. Z twarzy Ślizgonów spęzły uśmiechy.

— Emmm — odchrząknął Dumbledore. — Mam tu trochę punktów do rozdania w ostatniej chwili. Zobaczmy, co tutaj mamy. Tak... Najpierw... pan Ronald Weasley...

Ron spurpurowiał; wyglądał jak rzodkiewka, która wylegiwała się zbyt długo na słońcu.

— ...za rozegranie przez niego najlepszej od wielu lat partii szachów nagradzam Gryffindor pięćdziesięcioma punktami.

Od wiwatów Gryfonów zadygotało zaczarowane sklepienie: gwiazdy wyraźnie zamigotały. Percy wrzeszczał do innych prefektów:

— To mój brat! Mój najmłodszy brat! Wygrał w szachy z olbrzymami!

W końcu znowu zrobiło się cicho.

— Po drugie... panna Hermioną Granger... za użycie przez nią chłodnej logiki w obliczu ognia nagradzam Gryffindor pięćdziesięcioma punktami.

Hermioną ukryła twarz w rękach; Harry był pewny, że zalała się łzami. Gryfoni zupełnie powariowali — mieli już sto punktów więcej.

— No i po trzecie... pan Harry Potter — rzekł Dumbledore, a na sali zaległa głucha cisza. — ... Za jego zimną krew i rzadko spotykaną odwagę nagradzam Gryffindor sześćdziesięcioma punktami.

Rozległ się ogłuszający ryk. Ci, którzy byli w stanie jednocześnie dodawać i ryczeć, zrozumieli, że Gryffindor miał już czterysta siedemdziesiąt dwa punkty — dokładnie tyle samo, co Slytherin. Zdobyliby puchar domów, gdyby Dumbledore dał Harry'emu choćby jeden punkt więcej.

Dumbledore podniósł rękę. Sala natychmiast ucichła.

— Są różne rodzaje męstwa — powiedział z uśmiechem. — Trzeba być bardzo dzielnym, by stawić czoło wrogom, ale tyle samo męstwa wymaga wierność przyjaciołom. Dlatego nagradzam dziesięcioma punktami pana Neville'a Longbottoma.

Ktoś, kto by stał na błoniach przed zamkiem, mógłby pomyśleć, że w Wielkiej Sali nastąpił jakiś potężny wybuch, tak głośny był wrzask Gryfonów. Harry, Ron i Hermiona wstali, rycząc w niebogłose, kiedy Neville, blady jak papier,

zniknął w tłumie, który rzucił się na niego, by go uściskać, poklepać i podrzucić w powietrze. Harry, wciąż krzycząc, trącił łokciem Rona i wskazał na Malfoya, który osłupiał, jakby ktoś rzucił na niego zakłęcie porażenia ciała.

— Co oznacza — zawołał Dumbledore, przekrzykując burzę aplauzu, bo teraz również Krukoni i Puchoni czcili wrzaskiem przegraną Ślizgonów — że trzeba będzie trochę zmienić dekoracje.

Klasnął w dłonie. W mgnieniu oka zielone draperie zmieniły się na szkarłatne, srebro stało się złotem, olbrzymi wąż Slytherinu zniknął, a na jego miejscu pojawił się lew Gryffindoru. Snape wymienił uścisk dłoni z profesorem McGonagall, zmuszając się do okropnego uśmiechu. Dostrzegł spojrzenie Harry'ego, a Harry zrozumiał, że stosunek Snape'a do niego nie zmienił się ani na jotę. Ale teraz przestało go to już obchodzić. Wszystko wskazywało na to, że w przyszłym roku życie w Hogwarcie wróci do normy.

Był to najwspanialszy wieczór w życiu Harry'ego, lepszy od zwycięstwa w quidditchu, od Bożego Narodzenia czy od powalenia górskiego trolla... Wiedział, że ten wieczór będzie wspominał do końca życia..

Harry prawie zapomniał, że nie ogłoszono jeszcze wyników egzaminów, ale w końcu musiało to nastąpić. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, zarówno on, jak i Ron dostali dobre oceny. Hermione, rzecz jasna, miała najlepsze wyniki spośród wszystkich pierwszoroczniaków. Nawet Neville jakoś przeszedł, bo jego dobre stopnie z zielarstwa zrównoważyły fatalne oceny z eliksirów. Mieli nadzieję, że Goyle, który był równie głupi jak nikczemny, zostanie wywalony, ale jakoś przeszedł, co Ron skwitował gorzką uwagą, że nie można mieć wszystkiego naraz.

Nie wiadomo kiedy ich szafy opustoszały, a kufry same się zapakowały, Neville znalazł swoją ropuchę w kącie toalety,

każdy otrzymał krótką notatkę, przypominającą, że w czasie wakacji nie wolno im używać żadnych zaklęć (“Co rok mam nadzieję, że o tym zapomną”, stwierdził ponuro Fred Weasley), pojawił się Hagrid, aby ich przewieźć łódkami przez jezioro, i już siedzieli w ekspresie do Londynu, gawędząc i śmiejąc się, a za oknami wagonów robiło się coraz bardziej zielono i porządnie. Pociąg mijał miasteczka mugoli, a oni pogryzali fasolki wszystkich smaków Bertiego Botta i zanim się spostrzegli, już ściągali szaty czarodziejów i wkładali kurtki i płaszcze, aby po chwili wysypać się na peron numer dziewięć i trzy czwarte na dworcu King’s Cross.

Opuszczenie peronu zajęło trochę czasu. Przy barierce stał stary, pomarszczony strażnik, który wypuszczał ich dwójkami lub trójkami, żeby nie wywołać paniki wśród mugoli nagłym wyskoczeniem ze ściany całego tłumu chłopców i dziewcząt.

— Tego lata musicie do nas przyjechać — powiedział Ron.
— Wyślę wam sowy.

— Dzięki — odrzekł Harry. — Będę miał czego wyczekiwać.

Szli, potrąceni przez ludzi, ku bramie wiodącej do świata mugoli. Padały okrzyki:

— Cześć, Harry!

— Do zobaczenia, Potter!

— Zawsze sławny — dodał Ron, szczerząc do niego zęby.

— Z wyjątkiem miejsca, w którym się za chwilę znajdę — mruknął Harry.

Przeszedł przez bramę razem z Ronem i Hermioną.

— O, jest, mamó, to on, zobacz! To była Ginny Weasley, młodsza siostra Rona, ale wcale nie wskazywała na niego.

— Harry Potter! — zapiszczała. — Patrz, mamó! Widzę...

— Uspokój się, Ginny, to nieładnie pokazywać kogoś palcem.

Pani Weasley obdarzyła ich ciepłym uśmiechem.

— Rok był trudny? — zapytała.

— Oj, tak — odpowiedział Harry. — Bardzo dziękuję za karmelki i sweter, pani Weasley.

— Och, to nic takiego, kochaneczku.

— Gotowy?

To ostatnie pytanie warknął wuj Vernon, nadal purpurowy na twarzy, nadal obdarzony wielkimi wąsami i nadal wściekły na Harry'ego, który stał przed stacją w tłumie zwykłych ludzi, trzymając klatkę z sową.

— Pan jest pewno z rodziny Harry'ego — zagadnęła go przyjaźnie pani Weasley.

— Można i tak powiedzieć — odrzekł wuj Vernon.

— Pospiesz się, chłopcze, nie będę marnować całego dnia. I odszedł. Harry zwrócił się do Rona i Hermiony.

— Do zobaczenia w lecie.

— Mam nadzieję, że będziesz miał... ee... dobre wakacje — powiedziała Hermiona, patrząc niepewnie na oddalającego się wuja Vernona, wstrząśnięta tym, że można być aż tak niemitym.

— Och, na pewno — rzekł Harry, a oni zdziwili się, widząc złośliwy uśmiech na jego twarzy. — Oni nie wiedzą, że nie wolno nam wykorzystywać magii w domu. Tego lata trochę sobie poużywam na Dudleyu.

KILKA SŁÓW OD TŁUMACZA, CZYLI KRÓTKI PORADNIK DLA DOCIEKLIWYCH

Książka o Harrym Porterze została przełożona z języka angielskiego i jej akcja rozgrywa się w Anglii. Dlatego występują w niej pewne słowa, a zwłaszcza nazwy własne, które niewiele znaczą dla tych, którzy wolą uczyć się na pamięć różnych zaklęć niż przykładać się do angielskiego.

Uważam jednak, że dobrze jest wiedzieć, że tak naprawdę jakiś profesor nazywa się Trzmiel, a prefekt to nie tylko ksiądz katecheta. Dla tych osób zamieszczam poniżej krótki słowniczek nazw i terminów, które coś po angielsku znaczą, które nie wiadomo, co znaczą i skąd się wzięły, albo które z takich czy innych powodów zostały przetłumaczone tak, a nie inaczej.

Zachęcam do własnych dalszych badań językowych, zwłaszcza jeśli ktoś będzie miał możliwość spotkać jakiegoś czarodzieja lub choćby zwykłego mugola z Anglii.

UWAGA! po wydaniu dwóch pierwszych tomów wnikliwi czytelnicy zwrócili uwagę na pewną liczbę błędów lub niekonsekwencji w przekładzie, redakcji i korekcie. Różne były tego przyczyny; jedną z nich jest prawie na pewno zakłęcie Maltranslatora, które rzucił na oba teksty jakiś zażarty wróg Harry'ego Pottera, nie mogący się pogodzić z jego sławą i psocący w różnych tłumaczeniach, nie tylko w polskim. Wydawnictwo znalazło już jednak odpowiednie przeciwzakłęcie i mam nadzieję, że odtąd błędów będzie mniej, choć zdajemy sobie sprawę z tego, że wróg nadal działa. W tym NOWYM wydaniu uwzględniono większość poprawek. Tym wszystkim, którzy błędy odnaleźli, dziękuję w imieniu własnym i czytelników.

DOMY — ang. houses, to “domy”, w których mieszkają uczniowie angielskich szkół z internatem. Każdy dom ma swojego opiekuna jednego z profesorów — i prefekta, czyli “starszego” lub “gospodarza”. O życiu i zwyczajach w takich domach można przeczytać w powieści R. Kiplinga Stalky i Spółka. W Hogwarcie nie były to osobne domy, ale wyodrębnione części zamku, np. wieże, jak w wypadku Gryffindoru. Zob. GRYFFINDOR, HUFFLEPUFF, RAVENCLAW, SLYTHERIN.

DORMITORIUM — po łacinie to po prostu “sypialnia”, określenie to zachowało się nie tylko w klasztorach, ale i w starych angielskich szkołach z internatem.

DRACO — czytaj: drako, imię Malfoya, okropnego Ślizgona; warto wiedzieć, że draco to po łacinie “wąż” albo “smok”, Drakon był wyjątkowo okrutnym tyranem (por. drakońskie prawa), a “draka” — już każdy wie, co znaczy. Nazwisko “Malfoy” też ma dość złowrogię znaczenie, bo mai znaczy “zły” (z łaciny poprzez starofrancuski), afoy “wiara”, “słowo” (również ze starofrancuskiego); najbliższym polskim odpowiednikiem całego słowa byłby chyba przymiotnik “wiarołomny”.

DUMBLEDORE — czytaj: damblodo(r), nazwisko słynnego dyrektora Hogwartu; warto wiedzieć, że dumbledore to po prostu “trzmiel”.

DYPTAM — łacińska nazwa *Dictamnus albus*, roślina z rodziny rurowatych, o dużych różowych kwiatach i torebkowatych owocach, wydzielająca silną balsamiczną woń. Do czego ją się wykorzystuje, można przeczytać w Tysiącu magicznych ziół i grzybów, znanym podręczniku Phyllidy Spore.

FILCH — czytaj: fylcz, nazwisko woźnego w Hogwarcie; uczniowie zapewne czerpali pewną przyjemność z faktu, że po angielsku filch to “zwałdzić coś”, “ściągnąć cichaczem”.

GRYFFINDOR — nazwa jednego z czterech domów w Hogwarcie. Griffin to “gryf, czyli lew o głowie i skrzydłach orła, a końcówka or może mieć coś wspólnego ze złotem, ale i z wybrzeżem; zachęcam do dalszych studiów. Mieszkańców Gryffindoru nazywano potocznie Gryfonami.

HOGWART — nazwa zamku gdzieś w Szkocji, w którym mieści się Szkoła Magii i Czarodziejstwa; być może pochodzi od nazwiska pierwszego właściciela okolicznych gruntów albo od najpopularniejszego zajęcia najdawniejszych ich

mieszkańców, czyli hodowli świń, bo pobliska wioska nosi nazwę Hogsmeade. Warto bowiem wiedzieć, że hog to po angielsku “wieprz”, a wart to “kurzajka” lub “brodawka”, ale w XIX wieku również “podoficer”, a w gwarze uczniowskiej “kot”, czyli uczeń pierwszego roku. (Co do odmiany, por. np. Harvard).

HOOCH — czytaj huucz, nazwisko nauczycielki opiekującej się rozgrywkami quidditcha; po angielsku brzmi niezbyt przystojnie, bo hooch to “gorzałka” lub “bimber”.

HUFFLEPUFF — nazwa jednego z czterech domów w Hogwarcie; nazwa przywodzi na myśl “chuch” i “pyk”, cokolwiek to znaczy, a także “puch” i “puf”.

IRYTEK POLTERGEIST — ang. Peeves Poltergeist, odpeeve, “irytować”, “rozdrażniać”; poltergeist to termin oznaczający pewne dziwne zjawisko paranormalne, polegające na robieniu hałasów i przemieszczaniu różnych przedmiotów przez bliżej nie znane nam siły. KAFEL — jedna z czterech piłek do quidditcha. Nazwa polska pochodzi wprost z angielskiego quaffle, co kojarzy się ze słowem quaff, oznaczającym “pić coś łąpczywie, żłopać”. Może kiedyś w Anglii po zdobyciu kaflem gola żłopano piwo? W każdym razie niemieccy gracze w quidditcha też używają tego angielskiego terminu w formie fonetycznej: Der Quaffel.

KAMIEŃ FILOZOFICZNY — łac. lapis philosophorum, dosłownie “kamień filozofów”, tajemnicza substancja, nad stworzeniem której trzodzi się od dawna wielu alchemików — np. Arnold de Villanova, Rajmundus Lullus, mistrz Ortulanus, a w Polsce Michał Sędziwój, którego Tractatus de lapide philosophorum został nie tak dawno przetłumaczony na język polski.

LONGBOTTOM — nazwisko Neville’a, po angielsku znaczy “Długo—zadek” albo “Chudozadek”, o czym warto wiedzieć,

żeby lepiej wczuć się w sytuację i tak już biednego, bo wciąż wplątującego się w różne niemiłe przygody chłopca.

MIOTŁY — ang. broomsticks, znany i u nas środek lokomocji, popularny zwłaszcza wśród czarownic. Nie wiadomo skąd, na Śląsku pojawiło się fonetyczne spolszczenie angielskiej nazwy w piosence “O północy na brumstyku”.
Badania etymologiczne w toku.

MUGOLE — ang. Muggles (czytaj: magls), czyli wszyscy zwykli, nie—magiczni ludzie. Pochodzenie tego słowa nie jest jasne, jako że sam podział na mugoli i zwykłych ludzi ma prastary rodowód. Większość badaczy odrzuca związek z najbardziej popularnym angielskim znaczeniem słowa mug “kubek”, “kufel”; inne, bardziej interesujące etymologów znaczenie słowa muggles to “frajerzy”, “naiwniacy”, “tumany”. Od czasu polskiego przekładu dwóch pierwszych tomów powieści o Harrym Potterze termin ten stał się już tak popularny, że funkcjonuje jako nazwa pospolita, więc w tym nowym poprawionym wydaniu piszemy go z małej litery.

NOC DUCHÓW — ang. Halloween, w Anglii i w Ameryce dzień 31 października, w którym dzieci (a czasem i dorośli) przebierają się za duchy i straszą, często używając do tego wydrążonej dyni ze świeczką w środku. W Anglii, gdzie, jak wiadomo, duchy straszą częściej niż w innych krajach, istnieje tradycja, że w wigilię Wszystkich Świętych duchy zmarłych, które nie “spoczęły w pokoju”, nękają żyjących, by im ten spokój zapewnili. Specjalnie nie zostawiłem nazwy angielskiej, bo uważam, że i tak już za dużo wprowadza się w Polsce nazw i zwyczajów angielskich.

POTTER — nazwisko bohatera książki, dość popularne w Anglii, znaczące dosłownie “garncarz”; ciekawostką jest fakt, że potter to również czasownik, który może znaczyć “grzebać się”, “dłubać”, ale i “włóczyć się”, “wałęsać”.

PREFEKT — ang. *prefect* to nie ksiądz katecheta ani naczelnik policji w Paryżu, tylko wybrany spośród uczniów “starszy” internatu szkolnego, a więc coś w rodzaju naszego “starosty” czy “gospodarza” klasowego. Zob. *DOMY*.

PRIVET DRIVE — czytaj: Prywyw Draiw, nazwa uliczki, przy której stał dom Dursleyów, dosłownie znaczy “uliczka Ligustrowa”. Ligustr to rodzaj krzewu ozdobnego, zwany u nas również kocierpką, ale nie przełożyłem tej nazwy, bo to tak jakby Anglik nazwał warszawską ulicę Obozową *Camp Street*, a miasto Łódź *Boat City*.

PUDDING — to specjalność angielska (na szczęście), nie zawsze tożsama z naszym pocziwym budyniem, bo często słona (np. z mięsa lub szpinaku) i mająca postać wodnistej papki. Gotuje się to na parze. Pudding bożonarodzeniowy jest zwykle z dodatkiem rodzynek, śliwek, porzeczek, i przypraw korzennych.

QUIDDITCH — czytaj: kłyddycz, gra czarodziejów, której zasady zostały w tej książce jasno wyłożone. Nawet w dziele *Quidditch* przez wieki nie opowiedziano się jednoznacznie, skąd nazwa gry pochodzi i co oznacza, podając wiele hipotez. Można sięgnąć do słownika łacińskiego, ale ostrzegam, poszukiwania będą żmudne. Pewną wskazówką może być fakt, że w języku angielskim istnieje pochodzące z łaciny słowo *quiddity*, które oznacza, “sedno sprawy”, “istotę rzeczy”, ale także “wykręty” i “wybiegi”. W Polsce, gdzie ta gra również jest popularna, przyjęła się nazwa angielska, podobnie jak w wypadku innych sportów, takich jak tenis, rugby czy boks. Bardziej swojskie brzmienie przybrały natomiast terminy występujące w tej grze. Zob.: *KAFEL*, *TŁUCZKI*, *ZNICZ*. *RAYENCLAW* — nazwa jednego z czterech domów w Hogwarcie; *roven* to “kruk”, a *claw* to “szpon” lub “pazur”; może dlatego mieszkańców tego domu nazywano potocznie *Krukunami*.

SLYTHERIN — nazwa jednego z czterech domów w Hogwarcie; pochodzi od nazwiska jego legendarnego założyciela, ale samo znaczenie jest dość tajemnicze. Najbliższe skojarzenia to coś obślizgłego, śliskiego albo ślizgającego się (*slither*), ale też coś chytrego i cwaniackiego (*s/y*). Mieszkańców tego “domu” nazywano w gwarze uczniowskiej Ślizgonami, co kierowałoby naszą uwagę ku pierwszemu skojarzeniu, zwłaszcza że godłem Slytherinu był wąż. *SPROUT* — nauczycielka zielarstwa o bardzo odpowiednim nazwisku, bo *sprout* to “kiełek”, “pęd”.

STOPA — rniara angielska, równa 30,48 cm. Zachowałem tę oryginalną miarę, bo akcja książki dzieje się przecież w Anglii i to w dość tradycyjnej szkole, a tam nadal mierzą w calach, stopach, jardach i milach. Bez specjalnej tabelki ani rusz!

TIARA — spiczaste nakrycie głowy dorosłych czarodziejów, a także uczniów Hogwartu. W oryginale *hat*, czyli dosłownie “kapelusz”, ale po polsku kapelusz to zwykle nakrycie głowy z wypukłą główką i rondem, natomiast *tiara* to nakrycie głowy perskich magów (według tradycji Trzej Magowie — w Polsce zwani Królami — mieli na głowach właśnie tiary, podobnie jak do dziś prawdziwy, niekomercyjny święty Mikołaj)

TŁUCZKI — dwie z czterech piłek do quidditcha, niejako obdarzone własnym życiem; są bardzo złośliwe i starają się strącić graczy z mioteł. Cios zadany taką piłką przypomina walnięcie tłuczkiem, stąd zapewne polska nazwa, podobnie jak i angielska: *bludger*, co może pochodzić od słowa *bludgeon*, oznaczającego “pałkę” lub “maczugę”. Na wschodzie Polski to słowo jest rodzaju żeńskiego (*ta tłuczka*), natomiast na Śląsku i Podhalu rodzaju męskiego (*ten tłuczek*).

TRANSMUTACJA — dziedzina magii polegająca na przemienianiu jednych rzeczy w drugie.

ULICA POKĄTNA — angielska Diagon Alley. Polski odpowiednik zachowuje coś z greckiego źródłosłowu diagonios (przekątna), a jednocześnie oddaje tajny charakter owej uliczki w świecie mugoli. W tym wypadku tłumaczę nazwę ulicy, bo takie “pokątne” ulice czarodziejów bywają i w innych krajach. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać, jak mówi Hagrid.

ZNICZ — ang. snitch, najważniejsza z czterech piłek do quidditcha, obdarzona srebrnymi skrzydełkami. Polska nazwa to fonetyczne zapożyczenie z angielskiego, jednak tam w języku potocznym znaczy coś zupełnie innego, a mianowicie “ukraść coś chyłkiem”, “zwędzić”, ale także “donisiciel”, “kapuś” (gwara przestępcza) albo “człowiek, który potrafi zmyślać różne rzeczy” (gwara uczniowska).